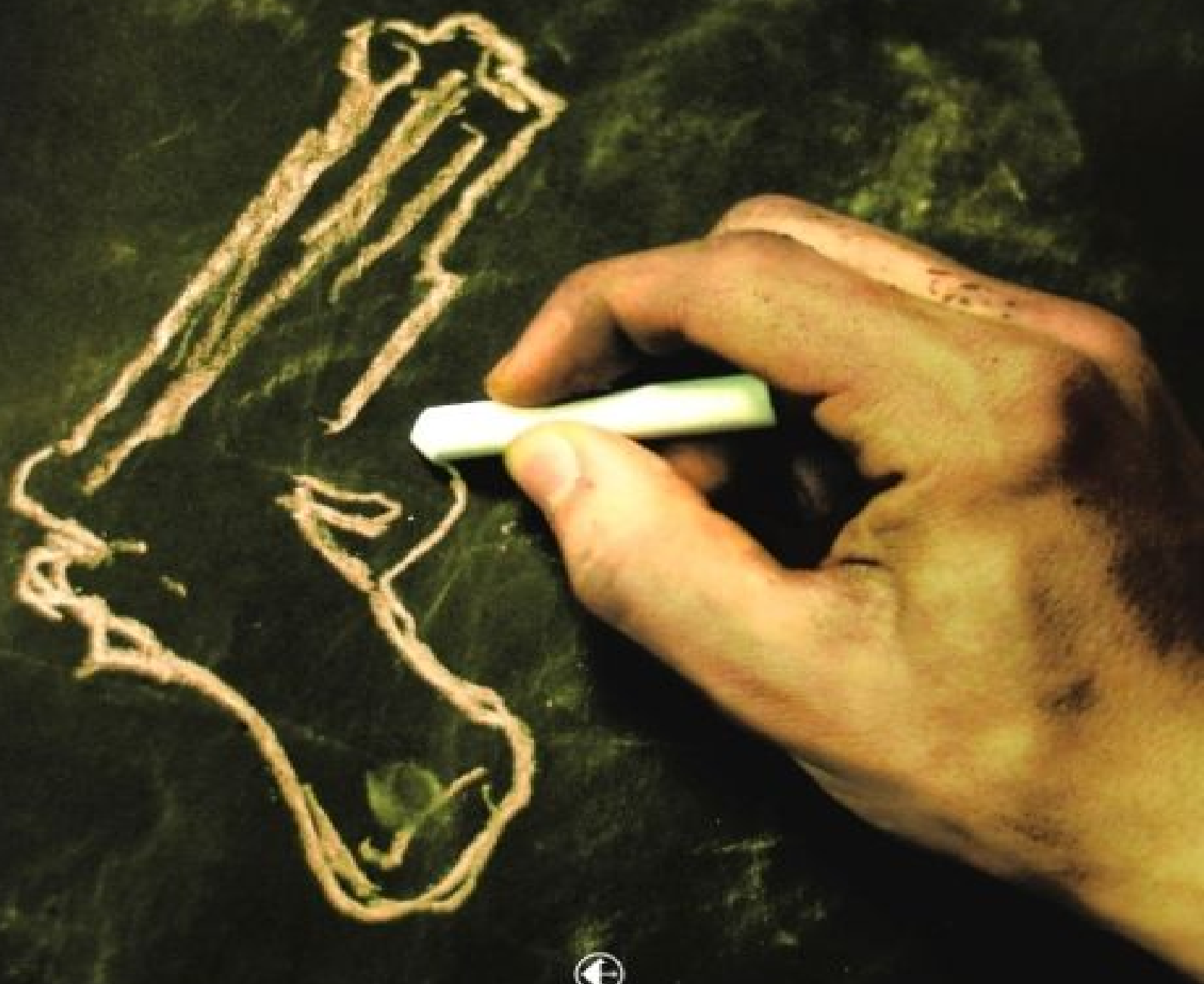


KONTRAPUNKTY

MICHAŁ

CETNAROWSKI

I DUSZA MOJA



powergraph

MICHAŁ
CETNAROWSKI
I DUSZA MOJA

KONTRAPUNKTY



powergraph

Warszawa 2013

COPYRIGHT © 2013 by Michał Cetnarowski
COPYRIGHT © 2013 by Powergraph
COPYRIGHT © 2013 for the cover illustration by Rafał Kosik i Jan Kosik

WYDANIE I

ISBN 978-83-61187-73-8

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

REDAKCJA Katarzyna Sienkiewicz-Kosik
KOREKTA Maria Aleksandrow
ILUSTRACJA NA I OKŁADCE Rafał Kosik i Jan Kosik
PROJEKT GRAFICZNY I OKŁADKA Rafał Kosik
SKŁAD Powergraph

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



WYDAWCA

Powergraph sp. z o.o.
Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./faks: 22 834 18 25
www.powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail: powergraph@powergraph.pl

„Nastała noc: ocknęły się wszystkie pieśni kochających.

I dusza moja jest pieśnią kochającego”.

Fryderyk Nietzsche

Prolog

godzina 6.45

Budzik w telefonie jak co rano zagrał główny motyw z *Rocky'ego*. Wstawaj, tygrysie, trzeba znów brać się za bary z życiem, już za piętnaście siódma. Ostatnio coraz trudniej było mu uwierzyć pełnym energii dźwiękom piosenki.

Wyłączył budzik i zamrugał, bez przekonania próbując wyegzorcyzmować nadchodzący ból głowy. Jerzy Horowitz miał czterdzieści sześć lat, bliznę na podbródku, ślad po wystających prętach płotu, przez który próbował przeskoczyć w dzieciństwie jako Indianin, uciekający z Old Shatterhandem przed rabusiami bydła, wycięty wyrostek robaczkowy i zoperowane więzadło w prawym kolanie, które strzeliło mu na nartach w Białce Tatrzańskiej, już w wolnej Polsce, był w trakcie sprawy rozwodowej, nie miał stałej pracy, na koncie zostały mu trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt dwa złote i tego dnia miał umrzeć.

Wstał wolno, przeczesał siwiejące na skroniach włosy, ciągle gęste, skierował się bez przekonania pod prysznic. Za oknem przez marcowe chmury z trudem przedzierał się poniedziałkowy świt. Wielki Tydzień

zaczynał się jak długi i bolesny poród. Horowitz odkręcił kurek i skrzywił się kwaśno pod sitkiem prysznic. Przynajmniej do tej pory ten poniedziałek nie różnił się niczym od swoich poprzedników.

Zapowiadał się długi dzień.

godzina 7.54

Wioleta paliła papierosa na działkach za szkołą i słuchała, jak na imprezie najlepiej zrobić laskę. Stały razem z Agatą i Lidią, która trzy miesiące temu zaczęła prowadzić bloga, dwa miesiące temu straciła dziewictwo na jednej z pierwszych osiemnastek w tym roku, a przed miesiącem zdecydowała się zająć sprawą z naukowego punktu widzenia. Postanowiła sprawdzić, jak te sprawy wyglądają u ich znajomych ze szkoły i regularnie publikować relacje z takich badań na nowym seks-blogu. Liczba wejść wzrosła jej natychmiast, o kilkaset, a potem kilka tysięcy dziennie, a Lidka założyła sobie plan wydania tego za rok jako książki, zaraz po napisaniu matury. Miała czas, żeby zbierać materiały.

— A więc — kontynuowała poważnym tonem — zakładanie prezerwatywy w tym momencie to nie jest najlepszy pomysł.

— A, no wiesz... AIDS? — Agata strzepnęła popiół z L&M Linka. Było zimno. Poprawiła puchową kurteczkę.

Lidka wzruszyła ramionami.

— Jak chcesz sobie żuć kondoma, to nikt ci nie broni. Kaśka, ta z ekonomika, która mi o tym opowiedziała, potem całą imprezę nie mogła się

pozbyć takiego potwornego smaku... no, wiecie, jakbyście krede jadły. Albo zasypkę dla dzieci.

— Skąd wiesz?

Lidka się zmieszała. Wioleta słuchała, wstydząc się tego, o czym mówią koleżanki, rumieniąc się z tego powodu i jeszcze bardziej wstydząc się tego swojego wstydu. Miała siedemnaście lat, ciemnoblond włosy do ramion, mały nosek, po mamie, piersi w rozmiarze B, które za nic nie chciały urosnąć, i ciągle była dziewicą. Do tej pory nie przeszkadzało jej to za bardzo, ale od kiedy Lidka, jej najlepsza przyjaciółka, poszła na tę pamiętną osiemnastkę u Michała, to teraz Wioletta rozmawiając z nią, czuła się nieco nieswojo. Nie żeby nigdy nie poruszały tych tematów, Elka Remcz jeszcze w gimnazjum straciła cnotę w krzakach na komersie, i to już wtedy było szkolną sensacją. Pierwszego pornosu też oglądały razem, z wypiekami na twarzy, na wakacjach, kiedy obie miały po czternaście lat, a rodzice Lidki wyjechali w sobotę na długie popołudniowe zakupy do Wrocławia. Kiedyś się nawet pocałowały, pijane, na kolonii w Łebie, ale potem obróciły wszystko w żart. Jeszcze dziś czasami przypominały sobie tamten wieczór i śmiały się, kiedy chciały sobie dogryźć.

Ale co innego rozmawiać o filmach, a co innego zniknąć z imprezy, pojechać samochodem rodziców chłopaka na pola za Strzeszowicami, a potem zrobić to na tylnym siedzeniu, z trudem ściągając majtki i spodnie, kiedy para unosi się wokół głów i oddechy dymią alkoholem. W porównaniu z tym Wioleta mogła się najwyżej pochwalić kilkunastoma wejściami dziennie na stronę Lidki, żeby sprawdzić komentarze i to, czy przyjaciółka nie wkleiła właśnie nowego wpisu. Ale do tego nigdy by się przed Lidką nie przyznała.

— No, wiecie... — po chwili wahania Lidka ściszyła teatralnie głos. Wyglądała na naprawdę zażenowaną. — Ja, no... No, wiecie, sama spróbowałam.

— No co ty? Komuś loda zrobiłaś? — Wioleta nie wytrzymała. — Nic nie powiedziałaś? I na blogu nie napisałaś...

— Nie no, spokojnie, jeszcze się taki nie narodził. — Dziewczyna odrzuciła włosy z czoła, zaciągnęła się papierosem, odzyskując werwę.

Stały na drodze przy płocie przed działkami, za którym widać było nagie, zimowe drzewa i altanki na narzędzia z oknami zabitymi dyktą. Od strony szkoły chronił je stary murek z czerwonej cegły, poaustriacki jeszcze, na którego filarach rozciągnięto nieszczelną drucianą siatkę; przez dziury w płocie uczniowie chodzili po piłkę, kiedy ta przeleciała nad ogrodzeniem w czasie wuefu, albo na przerwach wymykali się na papierosa. Budynek szkoły był wybudowany z takiej samej ciemnoczerwonej, wpadającej w czerń cegły.

— Ale badania to badania. Po maturze to ja zamierzam być sławna, gdybyście jeszcze nie wiedziały, tak się załatwia indeks do łódzkiej Filmówki. No więc kupiłam prezerwatywy.

— Gdzie, w kiosku? — Agata, koleżanka Lidki z klasy, pokręciła z niedowierzaniem głową. — Ja bym się chyba zjarała ze wstydu.

— Nie no, oczywiście że nie w kiosku. Wrzuciłam je do zakupów w Kauflandzie, specjalnie poszłam za mamę po ryż i pierś z kurczaka.

— No i?

Lidka odchrząknęła.

— No i je spróbowałam...

— Spróbowałaś? Żułaś jak orbitkę?

— Jasne, a koń jeszcze siedem kilometrów biegł potem bez głowy. Nie no. Normalnie, na banana założyłam, jak na necie.

Wioleta wyobraziła sobie Lidkę uprawiającą seks oralny z obciągniętym lateksem bananem. Agata nie ustępowała. Była wyraźnie podekscytowana.

— Co za wariatka... I jakie były?

— Noo, jak mówiłam. Straszny syf. A smakowe nie lepsze.

— To smakowe też kupiłaś? Lubisz to, suko, przyznaj się — charakterystycznie przeciągnęła sylaby.

— No wiesz, jeśli to miałyby pomóc...

— E tam, ty normalnie nienormalna jesteś. — Agata skrzywiła się z udawanym obrzydzeniem. — Ja to już chyba wolałabym się nawalić, i tyle. Wtedy to samo pójdzie, a tobie i tak już nic nie przeszkadza.

Lidka się uśmiechnęła.

— Ojtam, ojtam, nie panikuj. Po prostu chcę, żeby na podstawie mojej książki nakręcili coś lepszego niż „Seks w wielkim mieście”. A o to trzeba się postarać.

Od strony szkoły dobiegł ich przytłumiony dźwięk dzwonka. Dziewczyny zgasiły papierosy, wrzuciły do buzi po tik tacu i ruszyły na zajęcia. Wioleta miała pierwszą fizę, potem polski i biologię. Co zrobić, pod koniec fizyki na pewno będzie myślała o fellatio, na wzory na ruch ciała i panią Zielińską, nudną jak ropucha, mocnych nie ma. Zapowiadał się zwyczajny dzień.

— To jak? — Lidka zagadnęła ją, kiedy już znalazły się w budynku. Uczniowie właśnie z ociąganiem wchodzili do klas. — Po szkole jedziemy do Wrocka połączyć po Dominikańskiej?

— No jasne, i tak nie mam nic innego do roboty. Nie chce mi się wracać do chaty.

— Aż tak źle z ojcem?

— Nie. Gorzej. Ja już teraz się nie dziwię, czemu matka go rzuciła.

— A tam od razu rzuciła. Może jeszcze wróci.

Zaczęły wchodzić po schodach, niosąc niedbale przerzucone przez ramię niewielkie plecaczki z jednym zeszytem i książką do polaka. Agata została z tyłu. Wioleta miała lekcje na drugim piętrze, klasa Lidki na trzecim. Szkoła w budynku po starych austriackich koszarach to był prawdziwy labirynt.

— Gównu, a nie wróci. Ty byś wróciła? Z Anglii? Tutaj? Zobaczysz, na wakacjach ja też do niej wyjadę, i w ten sposób skończą się wszystkie problemy na chacie.

— A matura?

— Mam czekać cały rok? Tutaj? To ja mam w dupie maturę. Po co mi matura w Anglii?

— No wiesz, może się jeszcze przydać.

— Tam to mi się tylko język przyda, po co mi jakaś polska matura? No, i ewentualnie twoja książka, jak już ją wydasz. Żebym wiedziała, co z tym językiem zrobić...

Uśmiechnęły się.

Wioleta nie chciała rozmawiać o mamie. Kiedy zaczynała, z trudem dobierała słowa, nie bardzo umiała nazwać to, co czuła, a gdy wreszcie to robiła, bała się tego, co znajdowała za tymi słowami. Kiedy rozmawiała o matce, nawet z Lidką, w zasadzie tylko z Lidką, zaraz była rozdrażniona.

— No a co będzie ze mną? Sama w tej budzie nie wytrzymam.

— A ja nie wytrzymam z ojcem. Przecież to kompletny frajer, nic mu się w życiu nie udało.

— Wszyscy mężczyźni to kutasy, nie zapominaj o tym. Tylko tyle, i aż tyle. To też może być ich dobra strona...

Wioleta wydeła wargi.

— Daj spokój. Przecież to mój ojciec — wymówiła to tak, jakby próbowała wypluć zużytą prezerwatywę, która przypadkowo zsunęła się z wyprężonego banana.

— Sama daj spokój. To tylko kolejny poniedziałek, taki sam jak wszystkie. Zobaczysz, jeszcze będzie dziś fajnie.

— Tak, tak, jasne. To najgorszy poniedziałek w moim życiu — z uśmiechem powtórzyła ich wspólne hasło. Witwały się nim na początku każdego tygodnia.

Horowitz wcisnął kilka razy przycisk z zaznaczonym plusem, żeby pogłośnić radio. Profesjonalny głos dokonywał właśnie na Trójce porannego przeglądu prasy.

Sznurek samochodów włókł się w kierunku Wrocławia w standardowym wężu. Strzeszowice stanowiły noclegownię miasta, jak Oława, Jelcz-Laskowice czy Oleśnica. Dwadzieścia osiem tysięcy mieszkańców to nie jest szczególnie oszałamiająca liczba, zwłaszcza wobec ponad sześćsettyśięczonego Wrocławia, ale jeśli dodać do tego zakłady farbiarskie, dużą hurtownię budowlaną, niedawno wybudowane Carrefoura i Aldika, starą fabrykę obuwia, jeszcze z czasów PRL-u, i nową linię produkcyjną Volkswagena, która nie zmieściła się już na wrocławskich Bielanych, to w miasteczku żyło się całkiem znośnie. Przynajmniej do niedawna, do chwili, kiedy Volkswagen nie zaczął się sypać i zwalniać ludzi.

Osiedle domków jednorodzinnych powiększało się w ostatnich latach z kwartału na kwartał, wieczorami na rynku można było spotkać więcej młodzieży, niż Horowitz pamiętał ze swoich czasów w strzeszowickim ogólniaku, jakby miasteczko nie zdawało sobie sprawy z diagnoz o zapaści demograficznej w następnym pokoleniu. Ludzie w czasach kryzysu ciągnęli do dużych miast jak mrówki do roztopiających się na rozgrzanym asfalcie landrynek. Ci, którzy nie chcieli zamieszkać w centrum – lub nie było ich na to stać – lądowali w takich Oławach i Strzeszowicach. Horowitz zredukował bieg, kiedy cały sznur samochodów zaczął zwalniać.

Do Wrocławia było dwadzieścia osiem kilometrów. Zazwyczaj o tej porze, kiedy większość mieszkańców Strzeszowic wyjechała już do pracy, tę drogę pokonywało się w dwadzieścia–dwadzieścia pięć minut. Ale i tak postarał się wyruszyć dziś wcześniej, choć na rozmowę umówiony był dopiero na 8.30, i to na Żmigrodzkiej, więc nie musiał prawie w ogóle wjeżdżać w miasto. Powoli zbliżał się do Wrocławia; auta zwolniły jeszcze bardziej. Spojrzał na zegarek na nadgarstku, znoszony niewyszukany casio z prostokątną kopertą na skórzanym pasku, który nosił na co dzień i nauczył

się patrzeć w jego beznamienne, odmierzające czas oblicze mechanicznie, regularnie, jakby zażywał lekarstwo. No tak, tak, kurwa mać. Przynajmniej dwóch rzeczy można być w tym mieście pewnym: niekończących się remontów mostów i jebanych korków. Dziennikarz w radiowych wiadomościach, jak to miał w zwyczaju od przeszło roku, mówił właśnie o następnej fali kryzysu, nadchodzącej dokładnie tak, jak to przewidziały mądre telewizyjne głowy, o potrzebie dalszego zaciskania pasa, kolejnych zwolnieniach i problemach na rynku pracy. Tego akurat Horowitz słuchać nie musiał. Od dwóch miesięcy mógłby być idealnym bohaterem jednego z talk-show o kryzysie albo, w zależności od potrzeb i kroju marynarki, ekspertem w którejś z debat wszytkowiedzących polityków w niebieskich koszulach, sztywnych kołnierzykach i o opalonych na solarium twarzach. Dziś też jechał na rozmowę kwalifikacyjną.

Jak co rano zastanowił się, czy Beata już wstała do pracy, pod angielskim zasnutym niskimi chmurami niebem. Jak co rano sklął się za to i po raz kolejny przyrzekł sobie o tym nie myśleć. Dodał gazu, wrzucił czwórkę, auta przyspieszyły. Jakiś przedstawiciel handlowy w okratowanym oplu merivie wyskoczył ze sznura aut i wyrwał się dziko do przodu, tańcząc niebezpiecznie na wąskiej drodze, nie zważając na widoczne już światła samochodów jadących z naprzeciwka. Horowitz skrzywił się. Niedługo on też będzie się tak ścigać z czasem w samochodzie służbowym wziętym w leasing?

Życie zaczęło mu się sypać jakiś rok temu. Dziś oczywiście potrafiłby określić nawet dokładny tydzień, kiedy to się zaczęło, może dzień, jakby się postarał, a jakże. Kiedyś nawet próbował, po dużej wódce pitej w samotności ciemnego pokoju, kiedy Wioleta już poszła spać, na biurku byczyła stara lampka z czterdziestowatową żarówką, a on prawie czuł, jak z każdą minutą coraz bardziej traci kontrolę nad własnym życiem, i znów nie mógł zasnąć. Rano, kiedy przyzwyczał się do bólu głowy, bo dawno tyle nie wypił, uśmiechnął się bez radości na wspomnienie nocnych

przemyśleń, z dostojnym fatalizmem, jak na czterdziestosześcioletka przystało, i dał sobie spokój z tłumaczeniem życia według recept z telewizyjnych seriali. Łatwo było odczytywać znaki zapowiedzianej straty po czasie, gdy wszystko wydawało się oczywiste i wyraźne. Wtedy, kiedy żył – kiedy przeżywał życie – nic nie było oczywiste i nie układało się w czytelny wzór; gdyby się układało, być może potrafiłby temu przeciwdziałać.

Lewy prosty rzeczywistości zaskoczył go i trafił na miękkie podczas rozmowy z Karolem. Horowitz pracował u niego w firmie długie szesnaście lat, zaczynali jeszcze w czasach polskiego dzikiego kapitalizmu, w szalonych latach dziewięćdziesiątych, kiedy nosiło się dresy z kreszu i załatwiała biznesy, wożąc na tylnym siedzeniu łady torby wypchane zielonymi i purpurowymi, pięcio- i dziesięcioletnimi banknotami z Szopenem i Wyspiańskim. Jako inżynier budowy maszyn, nawet bez magisterki, której nie zdążył już zrobić, bo właśnie zaczynała się nowa Polska, mógł zapewne załapać się lepiej, ale wtedy pomysł na własną firmę zajmującą się instalacją i sprzedażą okien wydawał się kopalnią pieniędzy.

Po pierwszym okresie, kiedy już odbili się od dna i wywalczyli swoją niszę na rynku, przez jakiś czas rzeczywiście tak było. To były jego lata tłuste. Wakacje w Turcji (a jakże), nowy Ford Taurus (a jakże), narty w Austrii (a jakże) i kolonie letnie dla Wiolety (tak, tak), podczas których wymykał się wcześniej z pracy, wracał szybciej do domu, w którym czekała już Beata, a potem kochali się na podłodze w ich sypialni (a jakże), nie ściągając przeпоconych ubrań i objając się boleśnie na twardym parkiecie, a potem biorąc długą wspólną kąpiel i uśmiechając się do siebie z przymkniętymi leniwie powiekami.

A później przyszło załamanie rynku budowlanego, w kilka miesięcy ceny skoczyły o kilkaset procent (jak się śmiali z Karolem, najłatwiej było wtedy zarobić na cegłach i pustakach, jeśli ktoś kupił je przed boomem, a potem odsprzedał bez wysiłku trzy razy drożej), co początkowo nie było dla

nich żadnym problemem, ludzie nadal musieli gdzieś mieszkać, a na pewno wymieniać okna w starych domach, a więc dalej się budowali, choć kredytów nie dostawało się już na solenną obietnicę spłaty i piękny uśmiech małżonki.

Wkrótce banki jeszcze bardziej przykręciły kurek z kredytami, tak, to wiedział nie tylko z radia, a oni w firmie musieli się uspokoić i ograniczyć inwestycje, ale sytuacja w ich branży i tak wciąż wydawała się stabilna. Przecież w jednej chwili nie stanęły budowy i remonty w całej Polsce, wszyscy w tym samym momencie nie przestali potrzebować nowych okien. Kryzys na wielu płaszczyznach to było początkowo wydarzenie czysto medialne, arena do dialektycznego popisu ekonomistów, przeżywających swój moment sławy. Do czasu, aż Karol, formalnie ciągle jego szef i właściciel firmy, choć Horowitz czuł się bardziej jego współnikiem niż podwładnym, zaprosił go na lunch i powiedział o swoich inwestycjach.

Grając na giełdzie, utopił sporo pieniędzy, mówił z nieco przekrwionym wzrokiem, ale dalej, nienagannie ubrany, nosił srebrnego timexa za trzy tysiące tak, jakby się z nim urodził. To naprawdę nie były małe sumy, mówił. Żeby się utrzymać z innymi inwestycjami, musi sprzedać firmę. Jeśli Horowitz chce, może ją odkupić. Wymienił sumę, po znajomości, wiadomo. Horowitz bez mrugnięcia przełknął nabrany na widelec kęs sałatki, choć nagle zrobiło mu się sucho w ustach i gdyby to nie było oznaką słabości, a w biznesie, nawet na tym poziomie, nie mógł sobie na taką pozwolić, wypiłby duszkiem stojącą przed nim szklankę niegazowanej wody mineralnej z cytryną, a potem zamówił do niej drugą, po brzegi wypełnioną kruszonym lodem, i pięćdziesiąt gramów czystej. Szybko przeanalizował wszystkie za i przeciw. Chciał kupić, no jasne. Przecież to wciąż był dobry interes. Bank miał jednak inne zdanie. Sytuacja na rynkach finansowych zaczęła wariować, pożyczek nie dawano wcale albo przydzielano je według absurdałnego klucza, wyglądało, jakby je udzielano

na chybił trafił. On pieniędzy nie dostał. A nowy właściciel go nie potrzebował. Wtedy też coraz bardziej zaczęło się psuć między nim i Beatą.

Burza nad horyzontem zbierała się oczywiście od dłuższego czasu. Czasem chciałby, żeby wszystko zaczęło się pieprzyć z powodu pieniędzy, bo wtedy mógłby wyjaśnić sobie własne klęski z najprostszego klucza, przyłożyć zachowanie Beaty do klasycznych szablonów, których nauczyły ich jeszcze „Dynastia” i „Santa Barbara”. Ale był już za stary, żeby oszukiwać samego siebie tak łatwo.

Zaczął się tak, jak podobne rzeczy zaczynają się najczęściej: przestali ze sobą rozmawiać. Kilka zdawkowych ogólników przy porannym rogaliku i kawie, jeśli zdarzyło im się wyjeżdżać z domu o tej samej porze; banał podczas kolacji z mikroweli, po której, nie dostrzegając jeszcze ciszy wokół siebie, instynktownie chowali się za rozpostartą płachtą gazety albo w szczebiocie kablówki; sobotni wyjazd do któregoś z wrocławskich marketów, czasem jeszcze, z przyzwyczajenia, coraz rzadziej, wspólna rodzinna msza w niedzielę, w czasie której myśleli już o poobiedniej drzemce i zbliżającym się poniedziałku. Nie było krzyków, tłuczonych talerzy, płaczu, wrzasków, po których mogliby się przeproszać. Nie było nawet zdrady, przynajmniej tej fizycznej, tej namacalnej, za którą można żałować i po której można zabić. Niczego.

Potem powiedziała mu o wyjeździe do Anglii na dwutygodniowe szkolenie. Nawet się nie zdziwił. Pracowała jako menedżer w firmie odzieżowej, w gruncie rzeczy podobne wyjazdy nie powinny być dla niej niczym niezwykłym. Po dwóch tygodniach, podczas kolejnej rozmowy przez telefon, nagle spiętym, przyciszonym głosem powiedziała mu o swoich planach. O nowym kontrakcie przedłużonym o trzy miesiące, pracy właśnie tam, w Anglii. Zaskoczyła go. Zdenerwował się, wściekł, ale i te emocje, przynajmniej na początku, też były jakieś sztuczne, jakby krzyczał, odgrywając rolę w polskiej telenoweli, fałszywie, bez zaangażowania. Ale i tak chciał do niej pojechać, porozmawiać, podnosił głos, groził, mówił o

Wiolecie i przypominał wspólnie spędzone lata. Czemu mu wcześniej o tym nie powiedziała? Czemu go nie spytała o zdanie? (Dziś to wiedział: wtedy już nie rozmawiali). Beata, jakby wszystko sobie dokładnie przemyślała, mówiła mu o ich trudnej sytuacji po tym, jak Karol się wykoleił, o tym, jak teraz bardzo przydadzą im się pieniądze. Pozwolił się wreszcie przekonać. Później kilkakrotnie zastanawiał się, czy już wtedy wszystko zaplanowała. Ale potem dał sobie spokój i z takimi myślami; nawet jeśli Jerzy Horowitz był przegranym dupkiem, to przynajmniej starał się być dorosłym przegranym dupkiem, który nie wygraża piorunom i nie s pluwa na chmury, kiedy pada deszcz.

Po trzech miesiącach, kiedy Oknoplast padł już ostatecznie, a on, mimo kilkunastu lat stażu na stanowisku menedżerskim, nagle stał się bezrobotnym i w przedziwny sposób nie mógł się odnaleźć na rynku pracy, Beata zadzwoniła i powiedziała o swojej decyzji. Nie wraca, zostaje w Anglii. Ich małżeństwo to fikcja, a ona potrzebuje zmiany. Jej adwokat wkrótce zgłosi się do niego z odpowiednimi papierami. O kurwa, kurwa mać. Uspokój się, Jerzy, dla mnie to też nie jest łatwe. Kurwa mać. Milczenie. A co z Wioletą? A co ma być? Za rok będzie pełnoletnia, granice są otwarte. Przyjedzie do mnie. Nie o to mu chodziło, zupełnie nie o to, ale nie miał siły jej tego tłumaczyć. Wtedy zdał sobie z tego sprawę pierwszy raz tak wyraźnie: naprawdę rozminęli się w którymś momencie życia. Wreszcie zapytał. Masz tam kogoś...? Milczenie. Jerzy... Daj spokój. Po co to utrudniać? Masz? Po chwili: nie, nie mam. Nie wiedział, czy jej wierzyć, czy nie, już nie umiał z niej czytać kłamstwa i prawdy. To koniec, Jerzy. Tak będzie najlepiej. Kurwa mać. Tak. Najlepiej. Jasny szlag.

Wzdrygnął się, kiedy na światłach przy wjeździe do Wrocławia ktoś nagle zawył klaksonem, a potem auta w karnym porządku ruszyły dalej, kolebiąc się na szynach tramwajowych i podskakując na poniemieckich kocich łbach. Spojrzał na zegarek. Do rozmowy, tym razem w firmie

budowlanej, zostało mu tylko kilkanaście minut. Cholera jasna. Wskazówka sekundnika poruszała się po okręgu z nieubłaganą regularnością.

Włączył kierunkowskaz i skręcił z głównej drogi.

Ewa Plutar dopiła kawę, wstała od stołu, bezszelestnie odsuwając krzesło, i pod zlewem we wnęce kuchennej wypłukała delikatną filiżankę z imitacji porcelany. Jasnozielone wzorki wypalone na prawie prześwitujących ściankach naczynia, jak welon, jak mgła, fantazyjnie pięły się po białej ceramicznej powierzchni. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Lubiała takie szczegóły i zwracała na nie uwagę. Pokój nauczycielski tonął w nerwowych rozmowach. Nikt się do tego nie przyznawał, ale dla wszystkich tutaj było jasne: poniedziałku w szkole najbardziej nie lubili nauczyciele. Dla wszystkich, poza Ewą.

Jeszcze raz powtórzyła w myślach konspekt pierwszej lekcji. Nie musiała, wszystko miała przygotowane, ale zrobiła to dla przyjemności. Z III E powtarzali dziś *Hamleta*. „... bo któż by ścierpiął pogardę i zniewagi świata...”. Choć słyszała i wypowiadała te słowa już tyle razy, przed uczniami udającymi uwagę i uczniami nudzącymi się jawnie, przed uczniami, którzy kiedyś wrócą sami do Szekspira, i tymi, dla których *Hamlet* do końca życia pozostanie ksywką osiłka z osiedla, kiedy powtarzała „Najpożądańszym. Umrzeć – zasnąć. Zasnąć”, wciąż przechodził ją dreszcz. Za rok, jako lekturę uzupełniającą, spróbuje do programu dołożyć *Króla Leara*, przynajmniej w najbardziej zaawansowanej klasie. Pełna krwi i cierpienia, samotności i obłędu sztuka powinna trafić do uczniów. Młodzież coraz bardziej lubiła krwawe horrory. Im bardziej krwawe, tym lepiej. Oślepiiony król Lear powinien im się spodobać. A to może wystarczy, żeby sięgnąć i przeczytać tekst do końca.

— Ewka, słuchaj... — Kiedy podchodziła do przegródki z dziennikami, zaczepiła ją historyczka, pani Aurelia Musielak.

Starsza koleżanka od trzech lat mogła już iść na emeryturę, ale nie spieszyła się z opuszczeniem szkoły. Co ja będę robić w domu?, śmiała się kokieteryjnie, kiedy ktoś poruszał ten temat. Przecież tu mam swoich wychowanków. Swoje – układała usta w dziubek – „dzieci”. Ktoś mniej zorientowany, kto nie słyszał jej w czasie przerw w pokoju nauczycielskim, kiedy nie określała uczniów inaczej niż „gnojki” czy „bachory”, mógłby się dać nabrać. Ale mówiąc „dzieci”, pani Aurelia tak naprawdę miała na myśli pieniądze. I długie godziny bezczynności przed telewizorem w domu, po trzydziestu latach dzielenia i rządzenia w klasowych przepychankach, po misternych intrygach, których nie powstydziałaby się Madame de Pompadour na dworze Ludwika XV, w zaciszu nauczycielskich gabinetów i sekretariatu francuska markiza może nawet nauczyłaby się tego i owego. Synowie Musielakowej już dawno wyjechali z rodzinami do Wrocławia i teraz zaglądali do spowitego naftaliną mieszkania rodziców z obowiązku dwa razy do roku, na święta, na kilka pełnych chaosu godzin. Z mężem wszystko, co mieli do powiedzenia, powiedzieli sobie już jakieś dwadzieścia lat temu. Działki nie uprawiała, a na psią sierść była uczulona. Pozostawała szkoła.

— ... wzięłabyś dziś za mnie zastępstwo na drugiej godzinie? Mam II B, omawiamy paryską Wielką Emigrację. Wy na polskim chyba też o tym wspominiacie?

— Ale ja...

— No przecież nie masz lekcji, Ewka, masz okienko, widziałam. Ja muszę... No wiesz, muszę coś załatwić w Urzędzie Miasta. To jak, mogę na ciebie liczyć?

Po powrocie z – niech będzie – urzędu, Ewa wiedziała to doskonale, pani Aurelia będzie miała nową fryzurę i kilka opakowań rajstop, które koleżanki ze znanstwem będą rozciągać na przerwie w pokoju nauczycielskim, tak jak robiły to zawsze, jakby nigdy nie widziały takich dziwów. A potem, kiedy już pójdzie na lekcję, obgadają solennie jej nową

fryzurę i rzuca z wyższością kilka bardzo dowcipnych uwag, tylko tak, żeby Musielakowa ich już nie słyszała. Ale z nimi pani Aurelia pracowała już dwadzieścia lat. Co innego z Ewą, dopiero trzy lata po studiach, ambitną, która jeszcze uczy się i bez większego wysiłku zbiera kolejne materiały do nauczycielskiej teczki, potrzebnej przy egzaminie na mianowanego. Ją można było prosić o wszystko, bo ona nie umiała odmówić starszym koleżankom, czyż nie?

— Tak, pani Aurelio, mam okienko. — Ewa westchnęła i wzruszyła ramionami. Trudno, zeszyty II E skończy sprawdzać w domu.

— Dzięki ci, Ewka, fajna z ciebie babka!

— To będzie u pani w gabinecie, na drugim piętrze?

— Tak, tak, oczywiście. — I już jej nie było.

Zadzwonił dzwonek.

Nauczyciele z ociąganiem dopijali kawę, szurali krzesłami, ustawiali się w kolejce po dzienniki. Z wypracowaną od lat wprawą odsuwali chwilę, w której przekroczą progi klas. Zaczynał się poniedziałek.

Ewa nie lubiła się spóźniać na lekcje nawet te kilka pierwszych minut, nawet w poniedziałek. Wzięła pod pachę dziennik i energicznym krokiem skierowała się na zajęcia. Kiedy wyszła z pokoju nauczycielskiego, zanurzyła się w gwarze szkoły. Uczniowie rozmawiali, wchodząc powoli do klas, spóźnialscy człapali na schodach, jakby wstępowali na szafot. Odpowiedziała kilka razy na „dzień dobry”, uśmiechnęła się do przechodzących dziewczyn z III D, z którymi, gdyby to nie był ten poniedziałek, miałyby dziś czwartą lekcję.

Pokój nauczycielski mieścił się na pierwszym piętrze ogromnego gmaszyska, jej gabinet znajdował się na parterze. Zależnie od drogi, którą by się wybrało, można tam było dotrzeć na kilka różnych sposobów. Ewa nigdy wcześniej nie widziała tak barokowo rozplanowanej szkoły. Części pomieszczeń i klas w rozgałęzionych niesymetrycznie skrzydłach budynku w ogóle nie używano. Jeszcze długo po tym, jak zaczęła pracę, rozległy

gmach z czerwonej cegły, trzypiętrowy, z płataniną korytarzy, po których kiedyś biegali austriaccy, a później pruscy kadeci, zwieńczony wieżą dziś już nieczynnego zegara, kojarzył jej się z zamczyskiem Gormenghast z książek Mervyna Peake'a, które próbowała czytać na studiach. *Tytusa Groana* nie zmoła, surrealistyczna wizja odrzucała, nie potrafiła jej zrozumieć. A jednocześnie z niezdrową fascynacją przypominała sobie teraz te fragmenty książki, w których opisywano strzeliste wieżycy i załamującą się w pandemonium krzywizn linię krużganków. Z I Liceum Ogólnokształcącym imienia Henryka Sienkiewicza miała tak samo. Stare mury byłych koszar fascynowały i zupełnie nie pasowały na budynek szkoły. Już raczej, gdyby tylko pozbawić ich wszechobecnego szmeru rozmów i głośnych śmiechów uczniów, kojarzyły się z miejscem nauki przyjaciół Harry'ego Pottera albo scenografią horroru.

Ewa Plutar pokonała ostatni zakręt schodów, ocieniony przez dużego fikusa w ciężkiej glinianej donicy, i skierowała się w stronę klasy. Przed drzwiami już czekała grupka uczniów.

— No nieeeee, znowu polak...? — Uczniowie rozpoczynali cotygodniowy rytuał.

— A dziękuję, Jacku, nie najgorzej.... A jak tobie minął weekend?

Koledzy chłopaka wyszczerzyli się.

— Może najpierw byś się tak przywitał z panią profesor, co, melepeto...? Zanim zaczniesz marudzić? — Ktoś go klepnął w ramię, upomniał, nie zauważyła kto. I znów zrobiło się głośno.

Uśmiechnęła się, otworzyła drzwi. Wśród ogólnego rozgardiaszu i uciszania weszli do klasy. Może trudno było ich nazwać orłami z polskiego, ale to i tak nie była najgorsza klasa.

Rafał Madera stał przy oknie, podlewał zakurzone rachityczne paprotki, które na nasłonecznionym parapecie ze wstydem śniły sen o kredowych lasach potężnych skrzypów, gdzie w zdrewniałych konarach szarpały się

skórzastoskrzydłe gady, gdy przez nieuwagę obniżyły lot i zahaczyły o rozkołysane wierzchołki, i myślał o historii. Nie tylko o swoich studiach, ale – o historii: ciężkich żarnach obracających się w znanym tylko sobie rytmie, mielących teraźniejszość i przyszłość.

Kiedy po obronie, gdy już odbił się od rzeczywistości i nie znalazł żadnej normalnej pracy, szedł z podaniem o przyjęcie do policji, słyszał wyraźnie to skrzywienie świata, tarcie kamienia o kamień, które wielu bierze za chichot historii. Początkowo jemu też się to tak kojarzyło. Ironia, myślał i pił na dyskotecę wódkę. Po to najpierw uczył się o PRL-u i TW „Ewie”, Zofii O’Bretny – drugiej żonie Jasienicy, która parząc herbatę dla znajomych-opozycjonistów, układała w głowie kolejne raporty, a potem ciemną nocą, gdy już zmyła naczynia, zgasiła lampę stojącą przy regale z książkami, kładła się w łóżku obok męża, a on zaczynał całować ją w chłodne zagłębienie nad obojczykiem i wolno gładził po brzuchu – po to studiował przez pięć lat, żeby teraz zostać policjantem? Po to czytał o ustawionych wyrokach w pokazowych procesach AK-owców, o wydarzeniach czerwcowych i zajściach na Wybrzeżu, o pałkowych suchych lasach na schodach wojewódzkich komend policji, petach gaszonych między palcami, odwróconych taboretach i zimnej wodzie na dnie celi – żeby teraz sprawdzać ławki w parku i wlepić mandaty na przejściach dla pieszych?

Kiedyś brał udział w manifestacjach Niezależnego Zrzeszenia Studentów, palił świece w rocznicę śmierci Pyjasa, robił wystawę o dowodach w sprawie morderstwa Popiełuszki. Dziś – podlewał kwiatki w strzeszowickiej komendzie policji, przed którą jeszcze w liceum palił znicze na 13 grudnia, wychodził na patrole, żeby odbębnić swoje jako posterunkowy i móc wreszcie wskoczyć gdzieś wyżej, w administrację, i gonił piętnastolatków za picie piwa na działkach w pierwsze słoneczne dni marca, choć jeszcze kilka lat temu sam zwiewał wtedy ze szkoły i z kumplami szedł katować wina na ostrogach rzecznych nad Włodawką. Daj

spokój, czasy się zmieniły, tłumaczyli mu znajomi, którzy jak on kończyli przed dwoma laty historię we Wrocławiu. To już nie milicja, nie masz się z czego tłumaczyć. I szli do policji w Prudniku, Dąbrowie Górniczej, Zawierciu czy Koninie. Praca jak praca. Lepsza nawet niż inne – niech no ci ktoś teraz podskoczy. Zresztą, pomyśl o emeryturze. No więc myślał i nikt mu nie podskakiwał, kiedy w czarnym uniformie chodził ulicami miasta, w którym się urodził, i tylko czasem niby przypadkowo odwracał głowę, gdy ktoś przechodził po pasach na czerwonym świetle. Nie chciał widzieć. Pracował.

— Te, Małolat, uważaj, bo przelejesz. — Jeden z dwóch policjantów siedzących w pokoju uniósł głowę. — Skocz no zresztą do klopa i nalej wody na herbatę, dobra? Widzisz, jaki zapierdol z papierkami jest, sam się nie wyrobię.

— Dobra, nie ma sprawy.

Więc pracował.

Odłożył plastikową konewkę na starą szafę z aktami, wziął czajnik elektryczny i poszedł do łazienki. Kiedy wrócił, oprócz dwóch funkcjonariuszy w pokoju był jeszcze Dziadek.

— No, to nikt niczego nie potrzebuje z miasta? — Starszy sierżant Edward Brudziak, zwany Dziadkiem, odwrócił się, kiedy Rafał otwierał drzwi, i skinął mu na powitanie głową.

Brudziak skończył pięćdziesiątkę i na tyle wyglądał, miał mały brzusek i gęste włosy, których mógłby mu pozazdrościć niejeden trzydziestolatek. Miał też palce o szerokich paznokciach, żółtych od nikotyny, i duże dłonie, które jeśli wierzyć opowieściom na komisariacie, w dawnych czasach, wieki temu, kruszyły pod latarniami zęby i miażdżyły wykręcane na plecach łokcie.

Rafał włączył czajnik.

— Bo jadę zatankować vento.

— Eee, Edek...?

— Edek z fabryki kredek, Małolat. Ile razy ci, kurwa, powtarzałem, żebyś mówił jak wszyscy albo zwracał się per sierżancie Brudziak...? — Dziadek wyszczerzył zęby. — Teraz to ty jesteś jeden z nas, no to nie pierdol mi tu z Edkiem jak moja stara.

— Sory, Dziadek. Znaczy, ja bym może pojechał? — Rafał popatrzył niepewnie po kolegach z pokoju. Nikt nie protestował. — No bo wiecie, mam do zapłacenia...

— Sprawę służbową masz, Małolat. A jak sprawa służbowa, to wiadomo, w czasie służbowym załatwiana. — Dziadek klepnął dłonią w blat biurka, jakby dobił wyjątkowo korzystnego targu. — No, to bierz graty i idziemy.

Brudziak wypełnił papiery na portierni i wyszli na policyjny parking. Edek jako starszy sierżant nie przychodził do pracy, żeby się ganiać z jakimiś żułami z kamienic społecznych. Ja się już swoje nazapierdalałem, powiedział kiedyś w kiblu, gdzie sikał razem z Rafałem, kiedy ten wyruszał na jeden ze swoich pierwszych patroli. Teraz w policji masz etat, pensję, za małą, wiadomo, ale stałą, emeryturę po dwudziestu latach, jeszcze się załapałeś, farciarzu, niezłe mundurowe – po co się spinać i pocić na krawężnikach? Jeszcze ci jakaś spita menda wydlubie oko śrubokrętem, a na co ci to potrzebne? Grunt to wiedzieć, kto jest swój, a kto obcy i się nie wychylać, skwitował, otrząsając pyłę nad pisuarem. A więc Rafał próbował to rozpoznać i się nie wychylał.

Wsiedli do wysłużonego wozu. Rafał odruchowo sprawdził miejsce na pasie, gdzie podczas patroli miał przypiętą kaburę z wiekowym CZAK-iem, sześciostrzałowym P-64. Teraz broni nie było, zostawili ją w komisariacie. Poczł się dziwnie. Co jak co, ale w szkółce oficerskiej polubił przynajmniej strzelanie. Po powrocie do Strzeszowic zapisał się nawet we Wrocławiu na strzelnicę i jeździł tam w każde wolne sobotnie popołudnie.

— Zapnij pasy, Małolat. He, he — Dziadek powtórzył stary dowcip. — Kazek z Jojem nie zatankowali wczoraj po patrolu, to teraz musimy

podrażować, no nie? Ale nie ma tego złego, Małolat. — Śmiał się dalej. — Jeszcze się nauczysz czegoś od starego wilka.

Rafał kiwnął głową z niewyraźnym grymasem. Jednego już zdążył się nauczyć: grunt to się nie wychylać. Po bladym marcowym niebie przelewały się mleczne chmury, słońce mieszało się z cieniem. Od czasu do czasu zrywał się zimny, porywisty wiatr i kołysał czarnymi konarami nagich drzew rosnących wzdłuż ulicy.

Wyjechali na miasto.

Pakowali sprzęt i już miał schodzić do samochodu, kiedy na jego biurku w przeszklonym newsroomie zadzwonił telefon.

— Adam Braksator, słucham? — Schylił się instynktownie, w odruchu wyrobionym po tych wszystkich latach pracy w mediach, żeby mimo gwaru rozmów prowadzonych dookoła słyszeć głos w słuchawce. — Tak, jasne, rozumiem. Ale szefie... No przecież rozmawialiśmy o tym, szykowałem się na ten temat od... Tak, wiem. Zwolnienia w Volkswagencie to nie jest temat zastępczy. Ale ja przecież nic takiego nie powiedziałem, tylko... — Chwilę słuchał, nic nie mówiąc. — Tak, kryzys. Najważniejszy. — Głos w słuchawce znów przerwał mu na dłuższą chwilę.

Dziewczyna w ceglastym żakiecie i przepisowej spódnicy za kolano, ani centymetr niżej, podeszła i z papierowym uśmiechem, nie patrząc na niego, wzięła plik kartek z jego biurka. Machnął przyzwalająco ręką.

— Tak, materiał z fabryki będzie do wydania wieczornego, jasne. Nie no, nie ma problemu, sprawę Volkswagena też śledzę na bieżąco. A kto... — zająknął się. — A kto bierze Urząd Miasta? — Jeszcze chwilę kiwał głową i odłożył słuchawkę.

Kurwa mać. Kurwa, kurwa mać! Jebani ludzie i jebany Volkswagen. Kurwa mać! Patrzył tępo w wygaszacz na ekranie płaskiego monitora i próbował zebrać myśli. Wokół dziennikarze wrocławskiej telewizji

regionalnej chowali telefony komórkowe, brali kluczyki do wozów i ruszali w teren. Nie słuchał ich śmiechów ani pozdrowień. Starał się skupić.

Kogo w Polsce obchodzą pracownicy z fabryki na jakimś zadupiu? Odkąd pod koniec 2008 zaczęto trąbić o kryzysie, wciąż upadają jakieś zakłady, ludzi wyrzucają na pysk, wstrzymuje się produkcję, ogłasza przymusowe urlopy. Kogo przed telewizorami może to jeszcze obchodzić? Przecież dopóki cię nie zwolnią, masz to wszystko w dupie. A jak już ktoś wypieprzy z roboty i ciebie, to z widza stajesz się bohaterem takiego materiału, ale wtedy tym bardziej nie chcesz tego oglądać. Adam wzruszył ramionami. Nie był cyniczny bardziej, niż to potrzebne w takim biznesie, tak przynajmniej uważał, ale tak wyglądały fakty.

Odetchnął. Daj spokój, przewalki w Urzędzie Miasta zdarzały się, zdarzają i będą zdarzały, nie ma chuja we wsi. Jeszcze trafisz swoją wielką szansę. Tylko kiedy? Zagryzł zęby, przecesał dłońmi modnie przycięte włosy. Przecież tu nie chodzi o jakiś amerykański strzał, jak z aferą Watergate. Jeśli chcesz, żeby cię zobaczyli w Warszawie, to musisz pracować nad sobą systematycznie, z materiału na materiał, stać się rozpoznawalny, kojarzony ze sprawami określonego typu. Albo wszechstronny. Przypomniał sobie, co w podręcznikach sukcesu piszą o takich chwilach. Zachowaj spokój, obróć wszystko na swoją korzyść, znajdź w nowej sytuacji dobre strony. Tylko czemu, do kurwy nędzy, do prezydenta miasta musieli wysłać akurat ekipę Józwiaka? Przecież ten stary kutas i tak już wyżej nie podskoczy. A choć spieprzony projekt remontowanej kanalizacji, łapówka w wydziale infrastruktury, ustawiony przetarg i kary umowne za opóźnienia nie były w Polsce niczym nowym, to zawsze można na tym popłynąć dalej niż na robieniu wywiadów z wychodzącymi z fabryki robotnikami o poszarzałych twarzach. Jak takie smutne mordy pokazać w dobrym ujęciu?

A, chrzanić to. Spojrzał na zegarek na nadgarstku. Sportowy Suunto był czarny, matowy, masywny, mógł wytrzymać nacisk niewielkiego

samochoodu dostawczego i sprawiał wrażenie, jakby można nim było bez problemów ogłuszyć człowieka. Adam wydał na niego sporą część pensji, ale nie tylko to sprawiało, że lubił go nosić i często spoglądał na fosforyzującą tarczę. Czując jego ciężar, wyobrażał sobie, że tyle waży czas, który trzyma w rękach: ciemna, ołowiana kula minut, bezwładnie rozpędzona, jak rozwirowany żyroskop z ciemnej materii życia, nie do zatrzymania, pulsująca mu na dłoni. Wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał numer kamerzysty.

— No cześć, Fellini. Zmiana planów. Nie jedziemy do Urzędu Miasta. — Po drugiej stronie spodziewał się jakiegoś komentarza, ale Darek Babel, chudy, spokojny i cichy Darek Babel, ciągle wiążący długie włosy w cienką kitkę, tylko słuchał. — Ale nie ma tego złego, Fellini, nie pękaj. Dostaliśmy coś lepszego. Wiesz, gdzie są Strzeszowice? No, na północ od Wrocławia. Jedziemy tam zrobić upadającą fabrykę. Znaczący zakłady Volkswagena. Dobry temat, kurna, teraz to jest społecznie na topie... Tak, wiem, dużo ujęć w pomieszczeniach. Ale pomyśl też o tym, stary, jak będzie można pokazać sam zakład, normalnie jak u, no, Lyncha prawie... — Babel znów milczał. Rafał odchrząknął i przestał się uśmiechać do słuchawki, jak uczyli na szkoleniach. — No nic, szykuj się, wyjeżdżamy za pół godziny. Pod zakładem mamy być przed dziesiątą, ale najpierw musimy precyzyjnie się przez korki. Chuj wi, czy trafimy na dobrą falę.

Rozłączył się, przesunął myszkę, na monitorze komputera zajaśniał pulpit z Halle Berry z króciutkimi włosami przystrzyżonymi na chłopaka, które styliści przez długie godziny układali tak, żeby wyglądały niedbale i naturalnie, Halle Berry w skąpym staniku ledwo podtrzymującym dwie ciężkie kule piersi, w krótkich spodenkach i z nogami, o tak, z nogami do samej ziemi.

— No, malutka, tatuś wrócił do domu — wymruczał pod nosem i się uśmiechnął. Adam Braksator to był profesjonalista, bez dwóch zdań, i niech ktoś spróbuje powiedzieć coś innego. Warunki się zmieniły; trzeba zatem

dostosować się do nowych warunków. Co w tym trudnego dla kogoś takiego jak on? — Teraz trochę popracujemy.

Zaczął sprawdzać, co znajdzie w bazie danych o Volkswagencie i Strzeszowicach. Miał jakieś pół godzinki, może trochę mniej. Tyle wystarczy, to i tak cała wieczność. Uśmiechnął się do Halle, unoszącej kpiąco kąciki ust i patrzącej wyzywająco ze zdjęcia.

Tak, zdecydowanie. Za ten wyraz twarzy mógłby kogoś zabić.

godzina 8.53

Fizyka się skończyła. Była tak nudna, jak Wioleta się spodziewała. Kogoś, kto odpowiadał za decyzję, żeby II B zaczynała tydzień od lekcji fizyki, powinno się postawić pod murem na szkolnym podwórku i rozstrzelać. Siedziały z Lidką na korytarzu na drugim piętrze i czekały na koniec przerwy.

Jeszcze w gimnazjum zastanawiała się, co chciałaby zdawać na maturze. Jak większość uczniów, nie miała pojęcia, czym chce się zająć w życiu i co tak naprawdę potrafi robić, ale jedno było pewne: to coś nie będzie miało nic wspólnego z matematyką ani fizyką. Z chemią i biologią też nie, dodawała po krótkim zastanowieniu. Znajomi z innych klas mieli podobne przemyślenia, ale potem ci starsi, po maturze, na której matma była już obowiązkowa, i tak całkiem sporą grupą wybierali się na wrocławską polibudę. Szczęśliwie matura już jej nie groziła. Pomyślała o mamie.

Pomyślała też o ojcu, który również studiował na wrocławskiej politechnice, całe wieki temu, a dzisiaj był bezrobotnym i upierdliwym dupkiem. Odwróciła twarz do okna, żeby odgonić takie myśli.

To była szkoła, poniedziałek, początek tygodnia. Coraz więcej znajomych planowało swoje osiemnastki, zaczynała się wiosna, życie

towarzystwie rozkwitało. Jeśli wierzyć reklamom, to właśnie był najlepszy czas jej życia.

To była szkoła – miejsce spotkań towarzyskich i umawiania się na wieczór, nudne lekcje to w niej tylko przykry dodatek, wcale nie najważniejszy. Jeśli chodziłoby tylko o nie, przecież już dawno nikt by tutaj nie przychodził.

To była szkoła.

Cholera, przynajmniej przez najbliższe sześć–siedem godzin nie musi sobie zawracać głowy domem. Odetchnęła. Gdyby to tylko było takie proste.

Odwróciła się do Lidki siedzącej obok na parapecie. Przerwa powoli zbliżała się ku końcowi. Dziewczyna patrzyła przez okno na szkolne podwórko, za którym przez kilkadziesiąt metrów, aż do drogi, ciągnęły się ogródki działkowe.

— Co wy teraz macie za lekcję?

Lidka oderwała wzrok od szyby.

— Ty, Wiola, widzisz te wszystkie działki? Ciekawe, czy któraś należy do rodziców kogoś z naszej paczki? Przecież idzie wiosna. Ty wiesz, jakie by tam można grille urządzać? — Lidka zmrużyła powieki.

— Ty mnie słuchasz w ogóle...? Przecież ja cię tylko zapytałam, jaką masz następną lekcję. — Wioleta już znała to spojrzenie, pojawiające się coraz częściej, odkąd Lidka zaczęła prowadzić swojego bloga. Pomysły na kolejne wpisy powoli stawały się jej obsesją.

— Czy ty wiesz, co znaczą te wszystkie altanki? Przecież to byłby hicior na moim blogasku! Patrz, a może właśnie należałoby to podzielić sezonowo, na pory roku? Numerek w altance, na łące, na plaży...?

— ... numerek na ściernisku, w igloo... To ja dziękuję, popatrzę.

— Dobra, dobra, jeszcze zobaczysz. — Lidka mrugnęła porozumiewawczo.

Drgnęły, kiedy zaterkotał dzwonek na lekcję. Zeskoczyły z parapetu.

— Dobra, Wiolka, lecę, mam gegrę z Mikołuszkiem na trzecim.

Odgarniając figlarnie rudy lok, opadający na czoło, przecież obok przechodzili właśnie chłopcy z trzeciej klasy, dziewczyna skierowała się na schody. Wyminęła polonistkę, zmierzającą w stronę klasy Wiolety.

— To z panią mamy dziś historię?

Młoda nauczycielka uśmiechnęła się, otwierając dwa zamki w solidnych, specjalnie wzmacnianych drzwiach do klasy; w gabinecie trzymano większą część szkolnego sprzętu audio-wideo i takie zabezpieczenia dyrekcja uznała za niezbędne minimum. Uczniowie wiedzieli swoje. To wszystko po to, mówiono, żeby nikt nie wykradł starej Musielakowej, kwiatu nauczycielstwa polskiego. Każdy, kto miał z nią choć jedną lekcję, wiedział, jak potrzebne były takie zabezpieczenia. Do tej pory zresztą niewykorzystane – Musielakową należało zamknąć w środku, samą, a klucze przetopić na srebrną kulę i przed drzwiami postawić kogoś z dwururką. Uczniowie byli co do tego zgodni.

— Życie jest jak pudełko czekoladek, nie słyszeliście o tym? — Nauczycielka przepuszczała uczniów przed sobą. — Nigdy nie wiecie, co was może spotkać... No, chłopaki, dalej, zapraszam do środka. Wiedza czeka.

Wioleta weszła do klasy z resztą uczniów. Próbowwała sobie przypomnieć nazwisko zastępczyni pani Aurelii. Kojarzyło jej się z Disneyem. Pluto, Plutar, jakoś tak. Nieważne. I tak każdy był lepszy od historyczki.

Młoda polonistka nie uczyła na co dzień ich klasy, ale Wioleta znała ją ze szkolnych apeli i dyskotek. I z opowieści innych uczniów. Co ciekawe, wśród nich niewiele było anegdot naprawdę dobrych, o tym jak ktoś napluł nauczycielce do kawy albo napalił się skunem na przerwie i robił sobie z niej przez całą lekcję jaja.

Nawet ludzie z jej klasy zachowywali się teraz inaczej niż zazwyczaj na historii. Nie rozmawiali za dużo, ktoś wyciągnął zeszyt, ktoś nawet z bólem

wygrzebał z plecaka podręcznik. To było dziwne i nikt nie przyznałby się do tego otwartym tekstem, ale najwyraźniej lubili młodą nauczycielkę.

Wioleta obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem, jak kobieta kobietę. Proste, myszowate włosy do ramion, luźno rozpuszczone, żakiecik, który Wioleta założyłaby chyba na pogrzeb, a i to w ostateczności, jakby chowała kogoś, kogo bardzo nie lubi. Ubiór nauczycielki więcej zakrywał, niż odkrywał, a to było niedopuszczalne. Ale i tak nie można mu było odmówić pewnej elegancji. Do tego zwyczajna twarz, bez ostrego makijażu, regularne rysy, bardzo zwyczajne. Gdyby nie te oczy.

Kiedy tylko zaczynała się lekcja, inaczej niż u innych nauczycieli, spojrzenie polonistki ożywiało się, z zainteresowaniem przesuwało od jednego ucznia do drugiego. Zwracało uwagę, przyciągało wzrok. Inaczej niż u innych „profesorów”, którzy zaszyłymi mgłą źrenicami oglądali po dzwonku inne obrazy, rajskie plaże o żółtym piasku i roznoszone przez śniadoskóre kelnerki kolorowe drinki w wysokim szkle, których nigdy nie będzie im dane zobaczyć ani spróbować. Nie, żeby nauczycieli nie było na to stać, zwłaszcza po kilku latach pracy. Mama Lidki, jeszcze kiedy żyła, pracowała jako nauczycielka niemieckiego i Wioleta miała na ten temat wyrobione zdanie. Po prostu stare pryki wołały marzyć o błękitnej wodzie i pięciogwiazdkowych hotelach, niż wziąć się w garść i wykupić sobie najtańszą wycieczkę do Tunezji.

Polonistka tymczasem była inna i Wioleta wiedziała, dlaczego uczniowie ją lubią. Po prostu jako jedna z niewielu nauczycielek nie dorobiła się jeszcze nadwagi, ubierała w każdym razie znośnie i nie miała jak dotąd wszystkiego w dupie. Jej jeszcze chciało się coś z nimi robić i wiedziała, czemu trafiła do szkoły. A przynajmniej ciągle tak sądziła, pomyślała Wioleta z krzywym grymasem. Cokolwiek by jednak mówić o strzeszowickich licealistach, mieli przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby nie wyprowadzać młodej nauczycielki z błędu i nie pozbawiać jej głupich złudzeń.

Kiedy nauczycielka zaczęła opowiadać o Czartoryskim i spróbowała wciągnąć w rozmowę o Hotelu Lambert uczniów z tylnych ławek, Wioleta przeniosła spojrzenie za okno. Wiatr za szybami przeganiał po niebie ciężkie, gęste chmury, kołysał czarnymi koronami topoli, posadzonych w równym rzędzie przy ścieżce przed działkami. Wczoraj w prognozie pogody zapowiadano opady śniegu. Ciekawe, czy spadnie? Wioleta zastanowiła się, jaka teraz mogła być pogoda w Anglii. Czy tam też jest tak zimno i wiatr wyciska z oczu łzy?

Odetchnęła. Spróbowała odgonić te myśli. Ale obrazy napływały same. Zapowiadała się długa lekcja.

Rozmowa trwała piętnaście minut i było po wszystkim. Oddzwonimy do pana, jeśli przejdzie pan do następnego etapu. Tak, oczywiście, proszę się nie martwić. I w ten sposób Horowitz na powrót siedział w samochodzie, tępo patrzył na ciągnący się ulicami Wrocławia sznur pojazdów i zaciskał dłonie na kierownicy. Z radia sączyła się jakaś słodka, łagodna melodia. Przez chwilę zastanawiał się, czy to już reklama, czy jeszcze piosenka. Ściągnięta marynarka i rozsupłany krawat leżały zmięte na tylnym siedzeniu octavii. Jerzy Horowitz był zmęczony.

Spóźnił się, oczywiście. Najpierw z resztą samochodów włókł się przedmieściami, które o tej porze, według jego założeń, powinny być już przejezdne. Nie były. Pierwszego prawa Murphy'ego dla Wrocławia powinni uczyć już w przedszkolach: jak masz jechać do miasta, wyjedź dzień wcześniej, utkniesz w korku. Potem – wtedy jeszcze mógłby zdążyć – musiał walczyć o miejsce parkingowe i kilka razy objechał pobliskie uliczki, żeby wreszcie zaparkować przed Żabką, na zakazie, i liczyć na opieszałość policji. Wracając ciężkim krokiem do auta, zastanawiał się, jaki wystawiono mu mandat i ile będzie musiał czekać na straż miejską, żeby ściągnęła z koła żółtą blokadę, za co zapłaci tyle, jakby ten kawał metalu

był ze złota. Wóz jednak stał tak, jak go zostawił, na tylnej szybie ktoś tylko wyrysował pękatego chuja i nagryzmolił BRUDAS.

Biuro przedsiębiorstwa mieściło się w starej przedwojennej kamienicy. Odrapane mury i rozpadająca się balustrada na klatce schodowej stanowiły słabą reklamę firmy budowlanej, ale Horowitz nie zamierzał wybrzydzać. Mimo nie najlepszej sytuacji na rynku planowali zatrudnić specjalistę od sprzedaży i to było dla niego najważniejsze. Ale od początku stał na przegranej pozycji.

Spóźnił się, bo ciągle miał za dużo dumy, żeby wyjechać na spotkanie godzinę wcześniej i ewentualnie przekiblować ten czas w poczekalni. Jak już się spóźnił, wchodził na spotkanie zdenerwowany. Do samych rozmów kwalifikacyjnych też nie mógł zresztą przywyknąć, choć odkąd Oknoplast się skończył, zaliczył ich już kilka. Ale po dwudziestu latach robienia dla siebie nie mógł się zdecydować, jak rozmawiać z przyszłym pracodawcą. Czy na dzień dobry lizać mu dupę, czy grać twardziela, pełne profi, najwyraźniej tylko przez przypadek albo dla sportu zmieniającego pracę, starego wyjadacza, do którego przyszły szef zaraz na drugi dzień sam zadzwoni ze łzami w oczach, przepraszając za zwłokę i wychwalając niebiosą, które zesłały mu do firmy takiego kowboja menedżerki?

Horowitz nigdy nie był zbyt dobry w płaszczeniu się, czego nie wliczał nawet do jakichś swoich zalet (czy gdyby był, jego małżeństwo wyglądałoby inaczej i trwało dalej?), po prostu nie umiał tego, tak jak niektórzy nie umieją tego pić albo podrywać dziewczyn; zatem ta droga odpadała. Ale żeby grać pewnego siebie twardziela, miał już za dużo lat i za mało propozycji, w których mógłby przebierać.

Od kiedy Oknoplast przestał mu płacić składki na ZUS, wciąż jeszcze bez nerwów wszedł do internetu, zaczął przeglądać oferty pracy dla budowlańców i menedżerów z Wrocławia i okolic. Jak się okazało, znalezienie pracy, które półtora roku wcześniej, jak przekonywali go nieliczni znajomi, byłoby formalnością, dzisiaj stawało się pierwszym

etapem twardej walki. Propozycji nie było dużo. Każda, oprócz doświadczenia, którego Horowitz miał w nadmiarze, wymagała dodatkowo tuzina uprawnień i najnowszych certyfikatów. I przede wszystkim była skierowana do osób przed trzydziestką. Nikt tego oczywiście nie pisał wprost, ale kiedy Horowitz wchodził na rozmowę, dostrzegał te spojrzenia i ptaszki odhaczane na marginesie kwestionariusza, zanim jeszcze zdążył się przedstawić i usiąść. Do pięćdziesiątki brakowało mu czterech lat i niezależnie od tego, co potrafił, na każdej takiej rozmowie czuł się jak dzieciak z liceum, który przed panią doktor musi się rozebrać i zdradzić, od ilu lat się onanizuje.

Zamiast ze spotkania na spotkanie nabierać coraz większego doświadczenia, pocił się tylko na nich coraz bardziej, a rankiem coraz dłużej spoglądał w zaparowane lustro, przyglądając się swoim zmarszczkom. Wiedział już, o kim były te nudne programy, pokazujące wywalanych na umorusany pysk stoczniowców, którzy przed kamerą nie mogą wykrztusić słowa i łamie im się głos. Wtedy był zażenowany ich zachowaniem – facet to facet i jaja trzeba mieć nawet po pięćdziesiątce, nawet z przerośniętą prostatą. Dziś wiedział, co musieli czuć, przed obiektywem reportera myśląc już o spojrzeniu żony, której przy kolacji, przy obitym ceratą stole powiedzą o wypowiedzeniu, i zastanawiając się, jak to jest po trzydziestu pięciu latach pracy w jednym miejscu stanąć w kolejce do opieki społecznej, by z resztą ojców o pomarszczonych obliczach czekać na paczkę z zapomogą na święta.

Sznur samochodów stanął na światłach, ostatnich przed wyjazdem z Wrocławia. Horowitz przecesał szpakowate włosy i zastanowił się, czemu nigdy nie nauczył się palić. Teraz taki papieros, męski, osnuwający dymem myśli, to byłoby najlepsze lekarstwo na posmak żółci w ustach i nieodległą perspektywę udania się do Urzędu Pracy, żeby zarejestrować się jako bezrobotny. Horowitzowi przysługiwał zasiłek i już dawno powinien się zarejestrować, wiedział o tym. Ale pójście do PUP-u było dla niego – tak o

tym myślał, choć wiedział, jakie to głupie – jak akt kapitulacji, wywieszenie białej flagi, złożenie broni, przypieczętowanie klęski. Dziś może miał za sobą kilka słabszych dni, a tłuste lata skończyły się bezpowrotnie, ale on dalej był mężem swojej żony (ze sprawą rozwodową w toku, ale to nic nie zmieniało), ojcem swojej córki (która w najlepszym razie uważa go za nieudacznika, w najgorszym nienawidzi), dalej był facetem. Ciągle pamiętał, co przyrzekł sobie dawno temu, jako dziecko, i wciąż nie umiał tego zapomnieć.

Na razie pomagali mu znajomi i kontakty z dawnej pracy. Wprawdzie do tej pory nie miał uprawnień architekta ani legalnego AutoCada, bo kiedy projekt był im potrzebny, zamawiali go w firmie zewnętrznej, ale przez lata poznał program i potrafił się w nim poruszać. Robił zatem drobne poprawki i weryfikował prostsze rysunki, które potem i tak wymagały pieczętarki architekta, najczęściej jakiegoś niedoświadczonego szczyła po studiach, który za swój podpis zgarniał siedemdziesiąt procent kosztów projektu. Takie zlecenia za tysiąc, tysiąc pięćset, pojawiające się raz od wielkiego dzwonu, pozwalały mu się utrzymać na powierzchni, no ale nie dało się na nich budować przyszłego życia. Gdyby Wioleta nie kończyła za rok osiemnastki i Beacie chciałoby się zza kanału La Manche toczyć o nią sądowe boje, nie miał wątpliwości, komu przyznano by opiekę nad dzieckiem. Zwłaszcza jeśli przed sądem swoją opinię wygłosiłaby również ich córka.

Horowitz zobaczył przed sobą pustą przestrzeń i wcisnął beznamiętnie gaz, na łuku, na podwójnej ciągłej wyprzedzając wlokący się autobus i wskakując między dwa samochody na chwilę przed tym, zanim z naprzeciwka mignął mu jakiś sportowy wóz, którego kierowca najpierw nerwowo zamigał długimi, a potem wcisnął z wściekłością klakson. Oddalający się dźwięk ucichł szybko w szumie silnika. Horowitz wzruszył ramionami i pogłośnił radio.

Z Wioletą zaczęło się psuć, kiedy Beata wyjechała do Anglii. Pierwsze dwa tygodnie był spokój, ale potem bomba wybuchła. Córka go unikała, na pytania odpowiadała półsłówkami, przestała wracać do domu o wyznaczonej godzinie, nie mówiła mu o wywiadówkach. Nie wiedział, czemu tak się działo, przecież to on dostawał kopniaka w dupę od żony, nie odwrotnie, ale kiedy raz spróbował o tym z Wioletą porozmawiać, długo nie umiał znaleźć właściwych słów; posiedzieli chwilę w kłopotliwym milczeniu nad parującymi kubkami stygnącej herbaty, aż wreszcie na komórkę Wiolety zadzwoniła jakaś koleżanka, córka z ulgą przeszła z kuchni do swojego pokoju, a potem, nic mu nie mówiąc, nie pytając o pozwolenie, wymknęła się z domu. Sytuacji nie poprawiło Boże Narodzenie, pierwsze, które od czasu ślubu spędzali z Beatą osobno. Pierwsze, które Wioleta spędzała bez matki. Tym razem nigdzie nie pojechali, zwłaszcza nie wyobrażał sobie niedzielnego obiadu u teściów. Po zupie grzybowej z torebki i smutnym filecie z mintaja, zjedzonym pośpiesznie i w ciszy, Wioleta zaraz zaszyła się w swoim pokoju, w którym najpierw długo rozmawiała przez telefon, najpewniej z matką, a potem jeszcze dłużej płakała. Horowitz został sam. Wyłączył telewizor i siedział w ciemnościach, nie mogąc zasnąć, nie mogąc się ruszyć, nie mogąc na powrót zacząć żyć. To nie były dobre chwile.

Sylwester nie był lepszy. Wioleta gdzieś znikła i nie odbierała telefonów do samego rana, a Horowitz, który następnego dnia zrobił jej wreszcie potężną awanturę, po której dziewczyna odzywała się do niego jeszcze mniej, ale przynajmniej mówiła, kiedy wychodzi i starała się nie wracać do domu po dwudziestej drugiej, siedział cały wieczór przed włączonym zbyt głośno telewizorem, oglądał kretyńskie programy rozrywkowe, niepokoił się coraz bardziej o córkę, która przecież była tylko na imprezie u koleżanek, nic jej nie groziło, przekonywał sam siebie, ale nie mógł w to uwierzyć, i co chwilę wracał spojrzeniem do położonego na stoliku, obok butelki, telefonu. Córka nie zadzwoniła. Beata też nie. Horowitz wreszcie

sam wybrał jej numer, najpierw przed dwunastą, a potem grubo po trzeciej, ale telefon żony cały czas był wyłączony. Przed świtem dopił wódkę, zero siedem mieszane z colą, wyłączył pilotem telewizor i usnął w fotelu. Zdążył się obudzić, wyrzygać i wziąć prysznic, zanim Wioleta wróciła do domu. Całą noc zastanawiał się, gdzie, w którym momencie, popełnił błąd, ale ani wtedy, ani później nie umiał sobie na to odpowiedzieć.

Horowitz zmienił stację na lokalną, w której zawsze puszczała żywszą muzykę, i wyminął starszego pana mimo takiej pogody mknącego na skuterze. Był na siebie zły. Tyle razy powtarzał sobie, żeby nie myśleć o tym w ten sposób, nie uciekać we wspomnienia, nie rozklejać się, nie pękać. Życie może założyło mu nelsona przed pięćdziesiątką, kiedy właśnie powinien zacząć odcinać kupony od wcześniejszych inwestycji, liczyć dolary z kolejnego miliona, który zarobił się już sam, zmienić furę na samochód klasy C i planować egzotyczne wycieczki, na które wybierzesz się z rodziną jeszcze przed emeryturą, ale to nie zmieniało niczego. Dalej musiałeś za coś jeść, opłacać czynsz, rachunki za telefon i tankować wóz. Dalej oddychałeś, goliłeś się codziennie rano, miałeś kłopoty ze spaniem i potrafiłeś się jeszcze na siebie wkurwić, jeśli było trzeba.

Horowitz z uwagą wsłuchał się w nieznaną mu piosenkę, może dźwięk wreszcie zagłuszy myśli. Za jakieś dwadzieścia minut dojedzie do Strzeszowic, kupi w kiosku Wyborczą z ofertami pracy i będzie szukał dalej. Internet był pewniejszy i czekało w nim więcej ofert, ale na internet też przyjdzie pora; przeglądanie poniedziałkowego dodatku Wyborczej z pracą stało się już jego rytuałem. Za oknem samochodu migają rozpadające się płoty zapuszczonych gospodarstw i nagie gałęzie ponurych drzew. Wyglądało to tak, jakby do Strzeszowic wiosna miała nie przyjść już nigdy.

Pierwsza poniedziałkowa lekcja, o *Hamlecie*, wyszła jej tak, jak to sobie zaplanowała. Zaraz po wejściu, nic nie mówiąc, zaczęła od sceny z *Zakochanego Szekspira*, tej z próbą *Romeo i Ethel*, córki pirata, puszczoną

na wyproszonym od dyrekcji starym odtwarzaczu DVD, którego na weekend nie odniosła do magazynu multimedialnego w pracowni starej Musielakowej. Nie lubiła zresztą gabinetu pani Aurelii. Kiedy zamykała za sobą ciężkie drzwi, za każdym razem czuła się tak, jakby ktoś zatrzaskiwał nad nią klapę bunkra i blokował włącz żelazną sztabą. A przecież nie tak powinno się czuć w szkole, przynajmniej nie w tej, którą Ewa sobie wyobrażała i próbowała urzeczywistnić na własnych lekcjach.

Gdy uczniowie przestali już rozmawiać i wszyscy z zainteresowaniem spoglądali na ekran podwieszonego na ścianie telewizora, lekcja zaczynająca się od filmu nie może być przecież zła, zawsze to kilka minut mniej do końca, Ewa przeszła do tematu zajęć. Jak się okazało, kilka osób widziało film, kilka innych oglądało nawet *Romea i Julię* Luhrmanna, raczej dla Leonarda DiCaprio niż dla Szekspira, ale to nie miało znaczenia. Nić porozumienia została nawiązana. Czytanie książek nie było mocną stroną kolejnych roczników przychodzących do liceum, ale w filmach i grach komputerowych świeżo upieczeni pierwszoklasiści czuli się naprawdę mocno. Kiedy mówiąc o kontrowersjach związanych z autorstwem dzieł Anglika, Ewa doszła do hipotezy o królowej Elżbiecie I albo jej nieślubnym synu, którzy mieli być właściwym „Szekspirem”, bardziej prawdopodobni w roli autora pozostawionych dramatów niż nieuczony stradfordczyk, nawet chłopcy przy oknie w ostatnich ławkach przestali grać w piłkarzyki na kartce z zeszytu w kratkę i podnieśli głowy. Innego wyrazu uznania nie było jej trzeba.

Teraz na szybko próbowała sobie przypomnieć, co wiedziała o Wielkiej Emigracji i przeglądała stary podręcznik do historii, który zaraz po swojej lekcji wypożyczyła ze szkolnej biblioteki.

— Pani mąż to musi być szczęśliwy człowiek — głosem Mieczysława Fogga zagaił ją kiedyś pan Włodek Kóz, wuefista, mężczyzna starej daty, krótko, po wojskowemu strzygący siwe włosy i od czterdziestu lat hodujący

sumiastego wąsa, żółtego od mocnych papierosów. — Jeśli jemu poświęca pani choćby połowę tego czasu, co naszym uczniom.

Ewa niepewnie uśmiechnęła się wtedy na te słowa i zaczerwieniła, co pan Włodek uznał za reakcję na żart i sam się stropił, bo oczywiście nie zamierzał insynuować niczego nieprzyzwoitego, niech sobie mówią co chcą o wuefistach. A Ewa po prostu nie wiedziała, co odpowiedzieć, bo nie potrafiła przekonująco kłamać, choć wielokrotnie już próbowała się nauczyć i taka umiejętność nie raz uratowałaby jej skórę, nie tylko w szkole, była tego pewna. Wyszepiała jakieś wyjaśnienie, uśmiechnęła się, oblana rozkoszną purpurą, i zmieniła temat.

Z Bartkiem wzięli ślub zaraz po studiach. Nie organizowali wielkiego przyjęcia, w jednej z wrocławskich restauracji wynajęli duży stolik na dziesięć osób, przy którym zmieściła się akurat najbliższa rodzina i świadkowie. Kolacja była udana, wypili kilka butelek wina i wieczorem śmiali się wspólnie z dowcipów i anegdot rodzinnych, lecz choć nie przyznałyby się do tego nawet przed sobą, czegoś jej wtedy brakowało. Kiedyś kobiety nakładały o północy małżeński czepiec, chowały pod nim długie panieńskie warkocze i wśród pozostałych rytuałów oczepin naprawdę przechodziły od dzieciństwa w dorosłość, od stanu panieńskiego w małżeństwo. Teraz Ewa śmiała się i słuchała o tym, jak jej młody małżonek jako dzieciak podrywał opiekunki w przedszkolu, ale coś, czego nie potrafiła nazwać, uwierało ją i burzyło nastrój. Tamtego wieczoru nie myślała jednak o tym za dużo, bo to rzeczywiście było miłe spotkanie, a ona naprawdę kochała Bartka i chciała z nim spędzić resztę życia.

Kiedy dostała pracę w Strzeszowicach, przenieśli się do miasteczka pod Wrocławiem, wynajęli niewielkie mieszkanie, dwa pokoje i aneks kuchenny, zaczęli się urządzać. Kochali się wtedy nawet częściej niż na studiach, na nowo kupionym materacu z Ikei, pod prysznicem w malutkiej łazieneczce, przy stole, przed obiadem, i pod stołem, na podłodze, po

obiedzie. Bartek był jej pierwszym facetem i to były naprawdę dobre miesiące.

Po dwóch latach nadal kochali się w sobotnie poranki, leżąc do południa w łóżku i słuchając muzyki, wypijali po pracy filiżankę kawy i raz na kilka tygodni starali się wyskoczyć do Wrocławia na jakiś lekki amerykański film. Coś się jednak zmieniło. Dalej rozmawiali o ciężkich dniach w pracy i swoich wymarzonych wakacjach, ale przed snem nie szeptali już sobie czułości i każdy zasypiał szybko na swojej połowie łóżka. Bartek, też po polonistyce, pracował jako przedstawiciel handlowy w jednej z wrocławskich hurtowni materiałów papierniczych. Sytuacja była trudna, konkurencja duża, odbiorców nie aż tylu, żeby wziąć kredyt na mieszkanie i spać z tym spokojnie. Dostawał coraz dalsze rejony do handlowania, wyjeżdżał z domu na coraz dłużej i wracał coraz później, coraz bardziej znużony.

Przed ślubem rozmawiali oczywiście o dziecku. Bartek chciał poczekać z rok, żeby się dotarli, pokorzystali ze wspólnego życia bez dodatkowych obowiązków. Jej taki poślizg też nie przeszkadzał. Po roku temat wrócił. Zaczęli się kochać bez zabezpieczeń, stosować specjalne pozycje, Ewa przeszła nawet na ułatwiającą ponoć zajście w ciążę dietę, o której wyczytała gdzieś w internecie. Bartek jednak od początku podchodził do tego bez większego entuzjazmu, tak jej się przynajmniej wydawało. Zapytała, uspokoił ją, nie, nic, wszystko w porządku, oczywiście, ja też chcę mieć dzidziusia. Po dwóch miesiącach dostał większy procent od prowizji i przydzielili mu nowy, większy rejon. zaproponował, żeby na razie dali sobie spokój z dzieckiem, żeby jeszcze poczekali. Zgodziła się, rozumiała go, sama czułaby się pewniej, gdyby na więcej było ich stać.

Od tego czasu nie wrócili do tematu dziecka. A Bartek coraz częściej podpytywał ją, czy może nie zastanawiała się nad zmianą pracy. Przedstawiciele handlowi zarabiają całkiem niezłe pieniądze, przebąkiwał, tu naprawdę można się spełnić bardziej niż w jakiejś cholernej szkole, w

której najpierw wykorzystują cię nauczyciele, z dyrekcją na czele, a potem nie dają żyć małe gnojki, które nigdy nie okażą ci najmniejszej wdzięczności. O pensji i co roku obiecywanej podwyżce nie wspominając. I wtedy naprawdę moglibyśmy uwić sobie nasze własne gniazdko, wziąć kredyt i kupić mieszkanie, wreszcie przestać płacić za wynajem. Kiwała wówczas głową i wracała do sprawdzania zeszytów, przygotowywania materiałów na kartkówki, organizowania konkursów i wyszukiwania w necie ciekawych materiałów na lekcje. Myśląc o jeźdzeniu autem przez zatłoczony Wrocław, wprasaniu się komuś do biura i zachwalaniu swoich produktów, najlepszych, najelegantszych, najtańszych, najdoskonalszych, oblewała się zimnym potem, ale nic o tym mężowi nie mówiła. Bartek coraz skrupulatniej podliczał ich rachunki i napomykał coś o przeprowadzce z powrotem do Wrocławia. Ale ona nie chciała innej pracy. Tu była jej szkoła, jej zawód, jej obowiązki, jej uczniowie. Miałyby wyjechać, rzucić to wszystko? Zaczynać od nowa?

Uśmiechali się do siebie, kochali w sobotnie ranki, jedli wspólne kolacje, mówili o kłopotach w pracy. Z każdym dniem czuła jednak, jak coś traci, jak coś, czego nie potrafi nazwać, wymyka jej się bezpowrotnie z rąk, wyslizguje niczym topniejący śnieg, przecieka przez palce. I już nie potrafiła powiedzieć, czy rzeczywiście coś straciła, czy może chłód i wilgoć na dłoniach i policzkach towarzyszyły jej zawsze, nie było nic innego, nie było nic. Próbowwała z tym walczyć, myśląc o mężu, znaleźć w sobie tę czułość, którą znajdowała na ostatnim roku studiów, ale nie opuszczało jej wrażenie, jakby mimo starań coraz bardziej przegrywała tę walkę. Kiedy się nad tym zastanawiała, ogarniał ją coraz głębszy smutek, a wtedy jeszcze więcej serca i czasu poświęcała pracy. Zaterkotał dzwonek.

Spojrzała na zegar wiszący nad drzwiami pokoju nauczycielskiego. Szybko zamknęła postrzępiony podręcznik, odruchowo wygładziła spódnicę, pospiesznie wzięła dziennik II B i skierowała się na drugie piętro, do klasy Musielakowej.

Uczniowie już czekali pod drzwiami. Z parapetów zeskoczyło kilka uczennic, chłopcy podnieśli wzrok znad wygniecionego magazynu z opisami gier komputerowych; najwyraźniej dopiero teraz dowiedzieli się o zastępstwie.

— To z panią mamy dziś historię?

Uśmiechnęła się, odgoniła wszystkie inne myśli, skoncentrowała na lekcji. Przekręciła w zamkach klucze, najpierw jeden, potem drugi.

— Życie jest jak pudełko czekoladek, nie słyszeliście o tym? Nigdy nie wiecie, co was może spotkać... No, chłopaki, dalej, zapraszam. Wiedza czeka.

Niektórzy uczniowie pokiwali głowami i wyszczerzyli się, rozpoznając cytaty z filmu. Skinęła im głową, przepuszczając w drzwiach. Weszli do klasy.

Dziadek obiecywał mu naukę – i rzeczywiście: pierwszym, czego się nauczył na wspólnym wyjeździe, było to, jak oszukiwać na kilometrach i zaoszczędzić benzynę.

— Bo to jest tak, Małolat — tłumaczył starszy sierżant, kiedy wlewał paliwo do baku, a Rafał wysiadał z samochodu kupić na stacji papierosy. — Jedziesz na patrol i masz do wyjeżdżenia tyle i tyle bajurki, czyli dasz radę spatrolować tyle a tyle kilometrów, proste, no nie? Pytanie, czy człowiek może być naraz w każdym miejscu. No oczywiście nie może, choćby się chujem nakrył, to nie da rady. Po co więc jeździć po osiedlach, opony zdzierać, wzrok męczyć, wóz zarzynać? I tak nie trafisz tam, gdzie cię potrzebują, a jak potem przyjdzie naprawdę co do czego, to łeb już cię boli i masz dość, zanim wygramolisz się z radiowozu. No tak czy nie, Małolat, tak czy nie? — pytał, a Rafał kiwał głową.

— No więc bierzesz w termos kawę i jedziesz za miasto. My tu za Strzeszowicami mieliśmy takie fajne miejsce, dawny przystanek autobusów, trzeba było wjechać trochę w pola, a dalej już tylko działki, na

które PKS dowoził emerytów. Ale jaki emeryt wybierze się tam o dziesiątej wieczorem? A jak już wybierze, to taki leśny Włodzimierz musi mieć coś na sumieniu, nie ma bata jak chuj lata. To się tam jechało, na tę zajezdnię, spokój i plaża. Światła wyłączone, muzyczka z radia cicho tnie, w tysiąca rzniesz od niechcenia, no bo jak nie, jak tak, i jakoś czas leci. Jak cię wywołają na szczekacze, bo jakiś pojebus znowu wyskoczył przez okno albo pociął żonę, to ładnie przyjmujesz zlecenie, jesteś tu a tu, znaczy, gdzieś w pobliżu zajścia, zaraz tam będziesz. Dopijasz kawę i spokojnie brykasz na, uważasz, miejsce przestępstwa. I co, źle wtedy było? No źle, ja się pytam? Społeczeństwo miało poczucie bezpieczeństwa, bo przecież nie dojeżdżało się tam później niż wtedy, kiedy krążyliśmy po mieście, a i człowiek był wypoczęty i skimać się mógł nawet, jak nic się nie działo. Ileśmy się tylko nakombinowali, żeby potem liczniki popodkręcać, benzynę ściągnąć, odmierzyć, żeby się zgadzało. Ale miał człowiek jeszcze jakąś premię, prywatnie zatankował po kosztach. No tak czy nie, ja się pytam, tak czy nie?

Rafał chciał zapytać Dziadka, po co mu to wszystko opowiada, ale nie powiedział ani słowa. Stał koło wozu, patrzył, jak starszy sierżant wyjmuje podajnik paliwa z baku i wkłada go do dystrybutora, czuł ostry zapach benzyny i zimne, marcowe powiewy wiatru na twarzy.

— Jak jesteś policjant, Małolat, to jesteś nim nawet po godzinach, zapamiętaj to sobie. To i jak zatankujesz na koszt państwa, korona im z głowy nie spadnie. — Brudziak dokończył i poszedł zapłacić za benzynę.

Po tankowaniu podjechali pod otwarty od ósmej zakład gazowniczy, gdzie Rafał chciał wyjaśnić niedopłatę. Jak wszyscy, stanął w niedługim wężyku petentów, starał się nie zachowywać ostentacyjnie i nie wyróżniać w tłumie, choć jest to trudne, kiedy jesteś chudy jak tyczka, masz metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, policyjny mundur i wystające kości policzkowe, przez które wyglądasz jak komando śmierci, które właśnie postanowiło wyrzucić sprawiedliwą pomstę na wypudrowanych urzędnikach. Kiedy

już doszedł do okienka, obsłużono go bez problemu, wysłuchano uwag i obiecano wszystko sprawdzić jeszcze raz. Nie wiedział, czy pogłoski o srogim skurwysyństwie w miejskich urzędach były przesadzone, czy czasy natapirowanych babsztyli z filmów Barei odeszły już po prostu do przeszłości, ale obsługująca go dziewczyna była młoda, uśmiechnięta, zmieszana podobnie jak on i nie miała na sobie ani grama pudru, a przynajmniej tego nie zauważył. Podziękował grzecznie i wyszedł do Dziadka popalającego papierosa w radiowozie. Małą kawalerkę, dwadzieścia pięć metrów kwadratowych plus kibel na starym popeerelowskim blokowisku, wynajmował, odkąd zaczął pracę w Strzeszowicach, ale wciąż nie mógł się przyzwycząić do samodzielności i czasem czuł się jeszcze jak stremowany student, który kiedy musi coś załatwić, z kawą i czekoladkami zasuwa do kierownika akademika.

Spod zakładu nie pojechali od razu na komendę.

— Naucz się szanować czas, Małolat. — Dziadek udzielał kolejnej nauki. — Mało masz zmartwień na głowie, ja się pytam? Młody jesteś, to ci powiem: chuja, a nie mało. Wiesz, jaka jest zawodowa choroba w policji? Ha, ha, nie alkoholizm, na to zdychają kierowcy tirów i nocne ciecie. Wrzody. Wpieprzaj smażone, póki masz jeszcze dobry bebech, bo to ci się szybko skończy, możesz mi wierzyć.

I w tamtej chwili Rafał, słuchając go z kamiennym wyrazem twarzy i potakując jak uśmiechnięty kretyńsko piesek-maskotka umieszczany przez niektórych kierowców na desce rozdzielczej, naprawdę był skłonny mu uwierzyć.

Podjechali pod dom Dziadka. Duży prostokątny klocek z betonu wybudowany został na starym osiedlu domków jednorodzinnych. Budynek, podobny do większości tamtejszych domostw i brzydki jak psia kupa, postawiono blisko parku, który tak dziś, jak i za Gierka stanowił dobre miejsce na spacer z dziećmi, a latem dawał cień i wilgotny wiatr, zawiewający znad stawu ukrytego między drzewami. Latem dom musiał się

zresztą prezentować lepiej – na oknach i kanciastej werandzie stały prostokątne brązowe donice, teraz puste, w których w lipcu pewnie kłębiły się krwistoczerwone pelargonie, a na ścianie od ulicy płożły się pod mocnym słońcem zdrewniałe badyle winorośli, ciężkie od ciemnozielonych liści. Czarny płot z kutego żelaza, otaczający budynek, wyglądał solidnie i groźnie. Czekając na Dziadka, tym razem Rafał zapalił papierosa.

Starszy sierżant wrócił po chwili, triumfalnie potrząsając opakowaniem z płytami CD, a Rafał zastanowił się, czy po to uczył się tyle czasu, żeby teraz kombinować ze starym repem i pierdolonym zomowcem, który w '89 głąskał czułym ruchem gumową pałę, jak wibrator, i czekał z niecierpliwością na pacy nyski, kiedy wreszcie rzucą gaz, dając znak do wyjścia na ulicę.

— Obiecałem Sajdakowi z dyżurki — wyjaśnił Brudziak, wsiadając do wozu i uruchamiając silnik. — No bo ile można oglądać niemieckie pornole? To zgrałem mu wszystkie *Szklane pułapki*, *Nagie bronie*, *Liberatory* z Segalem i *Psy* Pasikowskiego. Plus parę filmów dla dorosłych, ma się rozumieć. — Wyszczrzył się do Rafała. — Co ma się chłopina męczyć, jak jest lewy z internetem jak Murzyn z zapalniczką?

Włączyli się do ruchu. Objechali wolno stare osiedle, klucząc po wąskich uliczkach, minęli park, pasaż pawilonów handlowych, pojawiło się nowe osiedle domków jednorodzinnych, prężnie rozbudowujące się na peryferiach miasta. Rafał słuchał radia, słuchał Dziadka i zastanawiał się, jak długo będzie to jeszcze trwało. Patrzył za okno. Śniegowe chmury wirowały na niebie i wyglądało tak, jakby zaraz miało sypnąć białą kaszą, ale potem znów pokazywał się błękit i pomiędzy mlecznymi strzępami przebijało słońce, cień znikał i wydawało się, jakby wiosna miała przyjść już, lada moment, zaraz. Wtedy niebo znowu zasnuwały chmury i nagie, czarne gałęzie drzew chwiały się sztywno na wietrze.

Zaczynał się ostatni tydzień Wielkiego Postu i Rafał zdziwił się, jak mało czasu zostało już do Wielkanocy. Kiedyś był ministrantem i podczas

każdego adwentu i Wielkiego Postu starał się podejmować jakieś postanowienia. Czasem mu się udawało, czasem nie. Nie będę przeklinał – i nie przeklinał przez czterdzieści dni. Będę pomagał mamie i mył naczynia – i mył. Nie będę jadł słodyczy – i nie jadł. Ale miewał też gorsze strzały. Przystopuję z masturbacją – i onanizował się dalej. Odpuszczę za ściąganiem na kartkówkach – i ściągał wciąż, na każdej lekcji, aż furczało. Ale wtedy przynajmniej coś sobie obiecywał.

Jeszcze na studiach narzucał sobie jakiś rygor, czterdziestodniowy reżim, choćby niejedzenie kolacji, chociaż coraz mniej widział w tym sensu i coraz mniej czuł satysfakcji, niezależnie od tego, co postanawiał i czy mu się udało w tym wytrwać, czy nie. Kiedyś wiedział, po co mu to było, ćwiczył wolę i ostro ze sobą walczył. Później, kiedy nawet udawało mu się wytrzymać te półtora miesiąca bez papierosa, zaraz po mszy w Wielką Niedzielę odpalał L&M-a i przechodził nad przymusową przerwą w paleniu do porządku dziennego.

Zastanowił się, kiedy ostatnio sobie coś obiecał i zrobiło mu się jakoś dziwnie. Za oknem leniwie przejeżdżały samochody, ludzie chronili się od wiatru przy ścianach budynków, policyjne vento odbijało się w kolejnych witrynach sklepów. Zebrał się wreszcie w sobie.

— Ty, Dziadek, słuchaj... Czy ty, no wiesz, właśnie tak wyobrażałeś sobie pracę w milicji, *eee*, policji?

Starszy sierżant Brudziak popatrzył na niego uważnie, chwilę jechał w milczeniu.

— Słuchaj, Małolat — powiedział wreszcie tonem pełnym zrozumienia, bez przygany, czego bał się Rafał, kiwając głową i patrząc na drogę przed nimi, jakby wiedział już wszystko. — Jesteś u nas niedługo, jakiś rok, czy tak? Tak. Ale to wystarczy. O coś cię więc zapytam: czy lubiłeś policję, zanim do niej wstąpiłeś? Nie. A kto ją w ogóle lubi? Nikt. A widzisz. Wlepisz mandat, to jesteś chuj i czerwona, komunistyczna świnią. Zwrócisz komuś uwagę na łysy bieżnik, to czepialska menda z ciebie. Może w ten

sposób uratowałeś komuś życie, ktoś uniknął wypadku i inne takie bzdury – ale jak myślisz, kogo to obchodzi? Nikogo, no przecież nikogo, no tak czy nie? Ściągniesz kota z drzewa, to cię pierdolną za znęcanie się nad zwierzętami, zdejmiesz na służbie jakiegoś gnojka z nożem, to młoda pani prokurator oskarży cię o przekroczenie granic obrony koniecznej, bo gnojek, uważasz, no przecież tylko nożem straszył. Kartofle obierał dla piątki bachorów, żony w ciąży, sąsiada emeryta i teściowej bez nogi. Więc po jakimś czasie zaczynasz mieć to wszystko w dupie. Po prostu. Ważne jest tylko, żeby ci nikt nie oblał łba kwasem i przez przypadek nie wjechał na ciebie na bani, jak suszysz na poboczu i wykonujesz swoją robotę. I chuj. I tyle. Zapamiętaj to. Ty mi jeszcze nie wierzysz, ale pobędziesz tu trochę, zgarniesz kilka „psów”, „glin”, „faszystów” i „gestapowców” na klatę, kiedy zajedziesz na interwencję po kłótni rodzinnej, czy przyłapiesz fagasów, którzy po pijaku wywracają kosze na śmieci, to się nauczysz. Wtedy mi uwierzysz. I zaraz ci przejdzie. Im szybciej zdasz sobie z tego sprawę, tym kiedyś będziesz zdrowszy.

Rafał pokiwał niepewnie głową.

— No nic, nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. — Dziadek się znów wyszczerzył. — Uśmiechnij się, Małolat! Co taką ponurą mordkę robisz. To jeszcze będzie wspaniały dzień.

Włączył kierunkowskaz, zmienił pas ruchu i skierowali się pod wiadukt, jadąc w stronę szkoły.

— No ale sam popatrz, jak to brzmi: „Stefan Józwiak, wiadomości TVN”?

Adam Braksator wyrzucił przez okno kangoo tekturowy kubek po kawie z automatu i odwrócił się do prowadzącego samochód operatora. Powinni przyspieszyć, ponoć na drodze na Strzeszowice zawsze są korki, a Adam chciał jak najszybciej przyjechać do fabryki, ponagrywać kogo trzeba, spotkać się z dyrektorem, jeśli ich w ogóle przyjmie, i spierdalać na

montaż. Raz po raz wybierał numer Volkswagena, żeby umówić się na spotkanie, ale telefon w siedzibie firmy był cały czas zajęty. Albo nie chcą z nikim gadać, albo już im odcięli kable, pomyślał. Uśmiechnął się.

Pasowało mu, tak czy tak. Jeśli zarząd Volkswagena nie zechce rozmawiać, to się sfilmuje ujęcie zamykanych im przed nosem drzwi, zbolałych robotników przed zaryglowanymi bramami zakładu i zrobi się z dupków na dyrektorskich krzesłach spalone kapitalistyczne świnię, które najpierw same nażarły się u koryta, a gdy okręt zaczął tonąć, przyznały sobie gigantyczne premie i z szeroko uśmiechniętymi ryjami wyjechały do swoich willi pod lasem. A jak syndyk wszedł im już na teren zakładu, co raczej nie było możliwe w tak krótkim czasie, ale nie takie rzeczy działy się w III RP, to znów mają na materiale zapłakanych robotli, okna zabijane dyktą, kłódkę na bramie fabryki i przypieczętowany już ostatecznie kolejny społeczny armagedon, kiedy na bruku w jednej chwili ląduje kilkuset pracowników. Wprawdzie ostatnimi czasy nikt specjalnie nie przejmował się już takimi wydarzeniami, ale jako lokalny news tyle wystarczyło, żeby szef nie truł mu po powrocie, a on sam zarobił nawet kilka punktów w nieoficjalnym redakcyjnym rankingu za niezły czas przygotowania materiału i drapieżny społecznie komentarz.

— No, Fellini, kawsko dopite, bierzemy dupę w troki.

Rozpierając się wygodnie na przednim siedzeniu renault, Adam przeczesał włosy, zrobił profesjonalną minę, jak zawsze. Za nim leżała kamera, laptop i mikrofon, spokojnie czekające na swoją kolej. Darek Babel, z którym jechał dopiero na trzecie nagranie, wbijał wzrok w drogę przed samochodem, zmieniał pasy, hamował przepisowo na żółtych światłach, ruszał niespiesznie na zielonych i wyglądał, jakby go w ogóle nie słyszał. Ale Adam i tak nie przestawał mówić:

— Dobry temat nie będzie na ciebie czekał, to chyba jasne. Ale właśnie o to chodzi, rozumiesz? Tu przetrwają tylko najsilniejsi, to nie jest robota dla byle mięczaka z podyplomówką z dziennikarstwa. Właśnie o to chodzi.

Widzisz temat, musisz w niego wejść, wczepić się jak lekarz w łapówkę. Tu nic nie przychodzi do człowieka samo.

Fellini zerknął kątem oka w lusterko i zmienił pas. Powoli opuszczali najgorszy fragment miasta i wjeżdżali w rejon, gdzie ruch powinien być mniejszy.

— Bo patrz, czy mnie nie wzruszają samotne matki z dziećmi, siedzące na odrapanych poddaszach, trujące się czadem z nieszczelnych piecyków? Wzruszają, Fellini, no przecież wzruszają. Albo bezdomni z otwartymi oczami zamarzający zimą na parkowych ławkach? No tak. Ale, kurde, jak będziesz robił jedynie podobne materiały, to z taką chujnią możesz trafić tylko do telewizji Trwam. — Braksator urwał i zerknął na operatora. Darek Babel był od niego trzy lata starszy i nie wyglądało na to, żeby kiedykolwiek miał kręcić materiały dla TVN-u. — A prawdziwe pieniądze są w Warszawie. Kuuurwa, Fellini, tam to dopiero jest praca. A jak wkręcisz się w politykę, przepychanki sejmowe, nooo, to od tego czasu możesz mieć wszystko w dupie. Tematów ci nie zabraknie, a i gnieść te mendy na stołkach to też nie grzech i sama przyjemność, pokazać, kto kogo kupił, kto z kim spał, kto kogo sprzedał, jak przeruchał. Ludzie to chcą oglądać, Fellini, więc ktoś im musi to pokazać. Ktoś to musi robić. Czemu więc pieniądze za robotę miałyby wpływać do kieszeni kogoś innego? Czemu nie do twojej? Mojej? Przecież w życiu trzeba do czegoś dojść, i już.

Dojeżdżali do skrzyżowania.

— A, ty...! — Adam nagle poderwał się na siedzeniu. — Jasny szlag! Łapiesz tu ich lokalną stację? Zapomnieliśmy włączyć radio. Może coś powiedzą o tej pieprzonej fabryce, mielibyśmy jakiś punkt zahaczenia.

— Tak, jasne. — Fellini wzruszył ramionami i włączył odbiornik.

— Tylko wiesz, co mnie wkurza? No właśnie taki Jóźwiak. Facet już gównem może zrobić, przespał swój czas, ale pcha się z buciorami, gdzie nie trzeba. No powiedz sam, jak to brzmi: „Z Sejmu, Stefan Jóźwiak,

Wiadomości TVN”? No jak to brzmi? No jak mokrym fiutem po szybie przecież.

Po którejś zmianie długości fal operator znalazł szukaną stację, ale zamiast lokalnych wiadomości, z głośników popłynęły łagodne dźwięki. Najwidoczniej nie zdążyli już na serwis informacyjny.

— Wyluzuj, Adam. — Fellini na światłach skręcił i gładko włączyli się do ruchu.

Adam wcześniej oczywiście popytał, gdzie trzeba i wiedział, z kim do tej pory pracował operator. Nie z Józwiakiem, rzecz jasna. Babel to była zresztą mała płotka, o taka, ty-ci-tyci, za stary już i bez ambicji. Ale nikt nie wiedział, z kim przyjdzie mu pracować w przyszłości i jakie naprawdę ma kontakty. Dlatego lepiej, żeby kojarzył Adama jako młodego wilczka głodnego dziennikarskiej krwi niż bladą amebę zapierdalającą po wsiach i robiącą Wigilie dla ubogich. No możesz wiedzieć, z kim w firmie będzie taki kiedyś rozmawiał?

— Przecież to tylko praca. — Darek dodał gazu. — Po prostu wyluzuj. Zdrowszy będziesz.

— Ale ja jestem spokojny, Fellini. Luz-blues, pełny profesjonalizm. Spokojna głowa. Tylko czasem coś mnie podkurwi.

Adam Braksator kończył w tym roku, na jesieni, trzydzieści trzy lata, piękny chrystusowy wiek, i w swojej pracy nieraz już musiał zjeść takie gówno jak przewałka w Urzędzie Miejskim zamieniona na upadającą fabrykę Volkswagena Bóg-wie-gdzie. Ale było warto, za każdym razem potrafił się do tego w końcu przekonać, bo z każdym rokiem, orząc nawet na takim ugorze, zbliżał się do Warszawy i Solorza czy innego patafiana, który będzie mu płacił za wakacje w Maroku i najnowszą audicę. Liczyła się ciężka praca i to, co potrafiłeś dla niej poświęcić. Liczył się cel i plan. A cel i plan Adam miał zarysowane wyraźnie i przejrzyście.

Dziennikarstwo skończył tutaj, we Wrocławiu, i po studiach od razu zaczął składać gazetki reklamowe dla Auchana. Przekiblował tak chwilę,

skończył kurs angielskiego i zdobył certyfikat, chodził na solarium i amatorskie kółko teatralne, żeby ćwiczyć dykcję. Zaczął pisać jakieś bzdurne artykułiki do lokalnych gazet. Chwyciło, kolejny z wysłanych tekstów kupili, był o studenckim festiwalu filmowym – krótkie info i wywiad z organizatorami. Za darmo udzielał się też na lokalnych stronach internetowych, pisał o wakacyjnych festynach i meczach Śląska. Opłaciło się. Dostał się do lokalnego wydania Gazety Wyborczej, najpierw za psią wierszówkę, potem na etat. Przegarował w gazecie jakiś czas, niedługo, ale tyle, ile było mu trzeba. Poznał w mieście ludzi, których należało poznać, poprawił warsztat, nabrał obycia, zbudował zawodowe CV. Przeniósł się do Radia Wrocław. Zapierdalał w neewsroomie jak Pan Samochodzik po starym zamku, ze zrobionych materiałów potrafił miesięcznie wyciągnąć nawet cztery tysiące. Czasem, po przebudzeniu, nie pamiętał, jaki jest dzień tygodnia, brał dyżury w niedzielę i jeździł w trasy z miejskimi koszykarzami, ale i na tym źle nie wyszedł.

Koledzy w radiu go nie lubili, bo gadał tylko o pracy i windował normy, ale dzięki temu szybko dostał awans na redaktora popołudniowego wydania informacji i na wakacjach, o czternastej, prowadził swój interwencyjny godzinny program. Odłożył na auto, wziął kredyt, kupił mieszkanie. Do rodziców jeździł rzadko, nie miał czasu kolebać się pod Wałbrzych, z siostrami widywał się tylko na święta, a i to nie zawsze, odkąd starsza, Jolka, wyjechała ze swoim mężem do Kanady. O laskach myślał tylko na weekend, ale i wtedy nie miał na nie za bardzo czasu, przypominał sobie tylko zaduch pogórniczego mieszkania rodziców i przypalone garnki, zaciskał mocniej zęby i pracował dalej.

Przyjęli go wreszcie do lokalnej telewizji. To był strzał w dziesiątkę, czuł to od razu. Po okresie próbnym otrząsał się tam na tyle, żeby myśleć o skoku wyżej. Przez te wszystkie lata nauczył się dużo, ale jedną naukę uważał za najważniejszą: musisz korzystać z okazji, bo okazja nie skorzysta z ciebie. Nie ma się co pierdolić, tylko trzeba schylać po szansę to swoje

wydepilowane, metroseksualne dupsko. Bo jak nie, zrobią to inni. Nie tylko media, ale życie, świat – to dżungla, nie miał już co do tego wątpliwości. Kiedyś to było tylko takie pitolenie na imprezach, twarda gadka w pubie, przy dziewczynach i drogich, słodkich drinkach, ale po kilku latach walki o tematy i użerania się z urzędasami o komentarz nikt nie musiał już go do tego przekonywać. Święty Darwin od Przypadku zyskał kolejnego wiernego wyznawcę. Trzeba było mieć cel i plan. Przetrzeć mogą tylko najlepsi. Czytał zatem kolejne książki znanych dziennikarzy i zaśluchiwał się w ich audycjach, ciągle skupiony, ciągle profesjonalny, ciągle na najwyższych obrotach. I w końcu się tego nauczył.

Uśmiechnął się, zadowolony, kiedy przejechali na żółtym.

— Ciśnij, Fellini, ciśnij. Robota jest robota!

Podskoczyli na torach tramwajowych i wyjechali za Wrocław.

godzina 9.26

Wyszła z klasy akurat wtedy, kiedy Plutarowa pokazała duże reprodukcje portretów uczestników spotkań w Hotelu Lambert i zaczęła mówić o politycznych powiązaniach rodziny Czartoryskich. Nauczycielka najpierw wzbraniała się przed wypuszczeniem jej z klasy, bo zasady wyraźnie zabraniały przebywania uczniom na korytarzu w czasie zajęć, ale Wioleta zrobiła zboląłą minę, jedną z bogatego repertuaru „właśnie dostałam okres”, i nauczycielka wreszcie dała za wygraną. Wioleta wyszła. Długie korytarze szkoły były ciche i ginęły w cieniu, kiedy chmury za oknami przykryły zimne słońce. Musiała zapalić.

Zbiegła po schodach do toalety piętro niżej. Weszła do ginącego w półcieniach pomieszczenia, przytknęła drzwi, sprawdziła, czy nikogo nie ma. Przez niewielkie okno na końcu łazienki wpadało trochę światła. Spojrzała w lustro i długo patrzyła na swoją twarz.

Trzasnęła zapalniczka, zaciągnęła się niebieskim L&M-em. Otworzyła drzwi do jednej z kabin, tej najbliższej okna i najdalej od drzwi wejściowych, i stojąc nad otwartą muszlą klozetową, wydmuchiwała dym w górę, w stronę zarośniętej brudem kratki wentylacyjnej. Teraz, kiedy wreszcie nie musiała zgrywać twardzielki przed Lidką, mogła znów, jak zawsze w takich

chwilach, pomyśleć o domu i o tym, dlaczego to wszystko jest takie skomplikowane. Myślenie i mówienie o samobójstwie było dziś mało trendy, zwłaszcza jeśli ktoś był w jej wieku, pokolenie Kurta Cobaina opuściło liceum już dawno, i przecież tak naprawdę nie chciała umrzeć, ale czasem zastanawiała się, jak by to było wsadzić głowę do piekarnika, zamknąć oczy i już się nie obudzić, zjeść garść tabletek nasennych, jak na filmach, popić je mocnym drinkiem, wódka plus sok pomarańczowy, ostatni cierpki smak na języku, i odjechać w ciemność bez myśli i snów.

Zastanawiała się, co w tej chwili robi jej matka. Wyciągnęła z kieszeni telefon, cieniutką nokię z przyjemnie masywną obudową, instynktownie sprawdziła godzinę. Pewnie jest już w pracy i właśnie pije pierwszą kawę, pomyślała z uśmiechem. Chciałaby do niej zadzwonić i po prostu się przywitać, przez chwilę nawet bawiła się, przejeżdżając palcem po przycisku z zieloną słuchawką, ale wreszcie schowała telefon i strzepnęła popiół z papierosa do wody. Wokół jej głowy unosiły się kłęby dymu i gdyby któryś z nauczycieli wszedł teraz do łazienki, miałyby przechlapane. Ale dym szybko rozwiewał się w przeciągu pod wentylacją i jeśli uczniowie nie wrzucali kiepów do kibla, nauczyciele nie mieli się do czego przyczepić.

Usiadła na parapecie, z wysokości drugiego piętra oglądając przez szybę beton podwórka na tyłach szkoły, pod zimowym niebem, odległy pas trawnika i fragment działek po drugiej stronie szkolnego ogrodzenia, ledwo widoczny z tej perspektywy. Położyła dłoń z tłącym się niemrawo papierosem na udzie, dym snuł się węzowymi łukami w powietrzu, i czekała. Nie chciała wracać na lekcję, nie chciała wracać do domu, nie chciała wracać do życia. Tutaj, w czterech obskurnych ścianach, wszystko wydawało się cichsze, odleglejsze, spokojniejsze. Prostsze.

Zastanawiała się, jak to jest, kiedy nie masz problemów i możesz dogadać się ze swoimi starymi. Miała siedemnaście lat i rzecz jasna lubiła się nad sobą uzalać, ale nie była tak naiwna, żeby uważać swoją sytuację za

wyjatkową. Znajomi z ich wspólnej paczki też mieli problemy w domu, też klęli na głupich rodziców, zamykali się w pokoju, dostawali szlabany, z których nic sobie nie robili, i starali się nie upijać za bardzo, jeśli z imprezy musieli wrócić na chatę. Zdawała sobie z tego sprawę, jasne, ale dzięki temu nic nie robiło się łatwiejsze, nic się nie wyjaśniało. Dalej nie umiała się przełamać i odezwać do ojca, i dalej czuła się jak wyblakła na słońcu szmaciana lalka, którą ktoś porzucił, kiedy przestała mu być potrzebna.

Czekała na wakacje i na to, kiedy będzie mogła stąd wyjechać i nigdy więcej nie wrócić. Kiedy życie znów zacznie być jeśli nie proste i zrozumiałe, to przynajmniej prostsze i bardziej zrozumiałe, bardziej do ogarnięcia. Miała siedemnaście lat i uważała się za punkt, wokół którego wiruje świat, ale – znów – nie była na tyle naiwna, żeby wierzyć w bajki opowiadane sobie samej przed snem. Życie już nigdy nie będzie całkowicie proste i zrozumiałe. To się nazywało dojrzewanie i nie było przed tym ucieczki, a przynajmniej ona jeszcze takiej nie znalazła. Wypalony rulon popiołu zsunął się na nogawkę spodni. Strzepnęła go niedbałym ruchem i zaciągnęła się coraz krótszym papierosem.

Drgnęła, kiedy usłyszała kroki.

Dźwięk był odległy, tłumiony przez ściany, nie miała nawet pewności, czy ktoś idzie korytarzem właśnie na tym piętrze, ale westchnęła ciężko, zeskoczyła z parapetu, wykruszyła papierosa do toalety. Filtr schowała do tylnej kieszeni, żeby go później wyrzucić. Spuściła wodę, spróbowała dłonią rozwiać niknący w powietrzu dym.

Wtedy usłyszała strzały.

Drgnęła, potem jeszcze raz, i jeszcze, wstrząsana niekontrolowanym odruchem za każdym razem, kiedy odzywał się suchy trzask, jakby ktoś bił ją w policzek. Dźwięk był przytłumiony, rozlewał się z metalicznym pogłosem po szkolnych korytarzach. Ktoś odpalił fajerwerki? Może jeszcze nie u nich, ale przecież w innych szkołach w Polsce zdarzały się już nie takie rzeczy. Podeszła do wyjścia na korytarz. Znów huknęło, usłyszała

chaotyczny tupot biegnących stóp. Poczwała się jakoś dziwnie. Coś ją ścisnęło w piersi, złapało za gardło. Uchyliła troszeczkę drzwi od łazienki, nie wiedząc, czego się boi. Spróbowała wyjrzeć na zewnątrz. I wtedy dotarło do niej, co naprawdę słyszy.

Strzały.

O Boże.

Prawdziwe strzały.

Po ścianie korytarza przesunął się bezszelestnie wielki cień, czarny, ciemny, rozciągnięty jak postrzępiony kształt ptaka, pikującego na tle sinych stoków górskiego kanionu, a jej zrobiło się nagle zimno i nie mogła złapać oddechu. Zatrzasnęła ledwo uchylone drzwi i zacisnęła kurczowo pięści, żeby powstrzymać drżenie palców. Przez głowę, pod powiekami, przelały jej się obrazy z telewizyjnych wiadomości i informacje z internetu. Iskra zaskoczyła, ciągu skojarzeń, jak ognia na rozlanym strumieniu paliwa, nie dało się już powstrzymać. O Boże. Usłyszała prawdziwe strzały. Patrzyła w drzwi jak zahipnotyzowana, jakby zaraz miał tamtędy ktoś wejść, ktoś bardzo zły i bardzo straszny, jak we śnie, straszniejszy niż wszystko, co jesteś sobie w stanie wyobrazić.

Jedna chwila i tysiące myśli przebiegają przez głowę. Może to tylko pomyłka, głupi żart, może jeszcze wszystko okaże się nieporozumieniem? Przecież takie rzeczy się nie dzieją, nie tutaj, nie w twoim mieście, a jak się dzieją, to zawsze innym, nigdy tobie. A potem kanonada strzałów wybucha ze zdwojoną mocą, chaotycznie, bez rytmu, trzask, trzask, trzask-trzask, i jeszcze raz, po przerwie, i słyhać krzyk, wysoki, przejmujący, wibrujący krzyk, jakby krzyczało małe dziecko, i już wiesz. To się dzieje naprawdę.

O Boże.

Wioleta stała jak sparaliżowana, nie mogła oddychać i już wiedziała. To się dzieje naprawdę.

Z trudem, jakby przewycięzała wielki ciężar, odwróciła się od drzwi – na których nie było nawet nędznego haczyka – żeby je zamknąć i oszukać

strach przynajmniej w ten sposób, rozglądnęła się po ciemnym, nagle dziwnie upiornym pomieszczeniu. Podeszła do okna i zdusiła krzyk. Przez szybę zobaczyła, jak na betonie podwórza, bezgłośnie, bo szkło tłumiło dźwięk, upadają kolejne wyskakujące z okien ciała, zobaczyła jak na kamień leci szklany deszcz odłamków, nad nimi ciężkie chmury i poszarzałe niebo, jak na betonie rozlewa się krew i twarze niemo krzywią się z bólu, kiedy uczniowie z pociętymi dłońmi i przedramionami próbują wstać na połamanych nogach i utrzymać równowagę na zwichniętych biodrach. Niektóre ciała nie ruszały się i leżały wśród szkła, zastygłe w nienaturalnych pozach. Kolejne strzały usłyszała już wyraźniej. Stąd nie mogła dostrzec, z którego piętra padały, ale na podwórzu nagle zakotłowało się, w górę poszły pióropusze pryskającego pod uderzeniami pocisków betonu, a ona wreszcie usłyszała krzyki, nienaturalne, zwierzęce odgłosy wypełnione bólem i trwogą umierania. Zgiął ją spazm, nie wytrzymała. Zawisała nad brudną muszlą klozetową, wypluła żółć, i znów, i znów, poczuła w ustach kwas i gorzki smak papierosa. Zamknęła oczy, ale sceny z podwórka nie chciały zniknąć. O Boże, o Boże, obożeobozęobozęobozę... Ktoś na jej piętrze przebiegł korytarzem, ktoś coś krzyknął, potem znów były kroki, potem huknął strzał.

Wstała chwiejnie, spojrzeniem obrzuciła pomieszczenie. Wyjść? Skakać? Uciekać jak inni? Znów trzasnęło sucho, usłyszała krótkie wycie, a potem wszystko ucichło. Przed drzwiami toalety zakotłowało się, a jej stanęło serce i przez moment, w zupełnym odruchu, powtarzała gorączkowo, żeby nikt nie zechciał wejść do łazienki, proszę, proszę, żeby nie spróbował tutaj szukać schronienia, nawet jeśli miałyby to dla niego oznaczać śmierć na korytarzu. Głosy za drzwiami umilkły.

Po cichu, najciszej jak się dało, jak mgła wirująca nad śniegiem, oddech parujący na szybie, zamknęła od środka drzwi kabiny, zasunęła zardzewiałą zasuwkę, która wygięłaby się jak spinacz, gdyby tylko mocniej naprzeć na drewno. Usiadła na spuszczonej klapie od sedesu, cicho, jeszcze ciszej,

tylko bije serce i zimny pot z sykiem gotuje się na skroni, podciągnęła kolana pod brodę. Ciałem wstrząsały bezgłośnie spazmy.

Znów usłyszała strzały, piski paniki, kruchy dźwięk pękającego szkła i nagły łomot zamykanych i otwieranych tylnych drzwi do budynku. Przypomniała sobie krew rozprysniętą w fantazyjnym rozbryzgu na szkolnym podwórku i zamknęła oczy, zacisnęła powieki, byleby tylko nie myśleć, byleby tylko to się już skończyło. Ciałem jednak dalej wstrząsały dreszcze, za każdym razem, z każdym dźwiękiem, a pod powiekami zapalały się chore obrazy.

Podmiejskie sady stały nieruchome pod zmiennym niebem, nagie gałęzie poprzycinanych drzew wyglądały jak czarne szkielety wielkich stworzeń, do ciemnej kości objedzonych przez ptaki, a on dojeżdżając do Strzeszowa, przypomniał sobie, jak wracali do miasta przed trzynastoma laty, pokonując tę samą drogę, opaleni, wypoczęci, obładowani drobnymi upominkami dla rodziny, razem. Drzewa w sadach ugiwały się od papierówek i wiśni, na krzakach dojrzewały czerwone porzeczki, pobielone wapnem pnie stały w równych rzędach. To było dobre lato.

Pojechali wtedy do Bułgarii, do niewielkiego miasteczka dwadzieścia kilometrów od Warny, i była to ich pierwsza duża wycieczka od czasu, gdy urodziła się Wioleta. Córka miała cztery latka, pulchne rączki o małych paluszkach, wyglądała jak cudowny barokowy blond amerek, włosy ściemniały jej dopiero później, a kiedy bała się w nocy, przychodziła do ich pokoju, wślizgiwała się do łóżka po jego stronie, zawsze, choć Beata spała bliżej drzwi, szturchała go w ramię i cicho szeptała „tata”, żeby się posunął. Nie płakała, kiedy miała zły sen, nie krzyczała jak na filmach. Ale przychodziła. Z czasem Horowitz nauczył się rozpoznawać ciche tuptanie bosych stópek na wycyklinowanej posadzce, na wpół śpiąc, wymrukiwał słowa uspokojenia, sprawdzał zaspanym wzrokiem godzinę na elektronicznym wyświetlaczu budzika, robił jej miejsce pod kołdrą i

zasypiali razem. Czuł ciepło córki, wtulającej się w jego T-shirt, słyszał, jak Beata przewraca się z boku na bok, zawsze czujna, i zanurzał się w sen ze swoimi kobietami. Jadąc wzdłuż rozkopanej działki, na której deweloper postawił już fundamenty pod przyszłe osiedle domków wielorodzinnych, przypominał sobie aniołka bawiącego się na plaży i po raz kolejny zadał sobie pytanie, czy tamten świat kiedykolwiek istniał.

Dwa tygodnie wyjazdu spędzili pod namiotem, jeszcze klasyczną harcerską czwórką z przedsionkiem, gotując na przywiezionej maszynie gazowej, podpiętej do dużej, pięciolitrowej butli, opalając się, walcząc z piaskiem na materacach i zmagając z mrówkami, których sekretne trasy na polu namiotowym od pierwszego dnia pobytu z zapalem śledziła Wioleta. Kiedy mała zasypiała po całym dniu spędzonym na plaży albo na targu rybnym, gdzie przyglądała się wielkookim łbom świeżych ostroboków i suszonym naręczom małych bezimiennych rybek słonych jak morze i dobrych do wódki, wymykali się pod prysznic i kochali po cichu, choć po cichu się nie dało, dusząc śmiech i wypłukując mydliny spod powiek, w niewygodzie, w szczęściu, w nienasyconym głodzie swoich ciał. Pachnieli słońcem i smakowali solą, a to było dobre lato.

Raz Beata obudziła go w nocy, może była już czwarta, gwiazdy powoli spływały ze stalowego nieba. Położyła mu palce na ustach i bardzo ostrożnie, bez słowa, pociągnęła ku wyjściu z namiotu. Mała spała, nawet nie obróciła się na swoim materacu. Wyszedł, zaspany, było zimno i cicho, i ciemno, i pusto. Pole namiotowe i nadmorskie miasto spało po dniu spędzonym na odbijaniu piłki plażowej, picciu dobrego taniego piwa, po ostro doprawionych szaszłykach z ulicznych straganów i kilku kieliszkach mocnej śliwowicy wypitych przed snem. Ucichły nawet cykady. Od nieodległego morza zawiewał chłodny wiatr. Wzdrygnął się. Horowitz chciał zapytać Beatę, o co tu chodzi, ale ona gestem nakazała mu milczenie, przewiązała biodra zwiewnym pareo i pociągnęła go za sobą. Przemknęli niczym złodzieje przez opustoszałą uliczkę przed kempingiem, czuł zimno

mimo koszulki narzuconej na ciało. Nie spotkali nikogo, miasto było jak wymarłe. Nie wiedział, co się dzieje, ale i jemu udzielił się ten nocny, milczący nastrój. Nie pytał. Przeszli wąski pas niskich, kolczastych krzewów i wreszcie znaleźli się na plaży.

Wokół rozpościerało się morze z odbijającymi się w czarnych wodach gwiazdami, a oni byli sami.

Milczeli. Widział figlarne ogniki na dnie oczu żony i nagle zrobiło mu się jakoś dziwnie, w środku, w głowie, niezwykle lekko i gorąco. Oddychali płytko, coraz szybciej, a on czuł gęsią skórę na karku i przedramionach, od chłodu i od nocy, i od żaru jej ciała.

Beata pociągnęła go ku sobie, zrzuciła chustę z bioder, zsunęła bieliznę. Ściągnęła mu T-shirt. Czuli na skórach swoje oddechy i milczeli, słowa nie były potrzebne tej nocy. Pociągnęła go do wody.

Morze było cieplejsze niż powietrze, ciemna fala z chlupotem otuliła nagie ciała. Nisko nad horyzontem, nad linią wody, wisiał cienki włos księżycy, słone fale marszczyły się wokół ich pleców i ramion. Było cicho i ciemno, i pusto, i byli tu razem, i była gorączka ciała, i Horowitz w tej wilgotnej ciemności poczuł się nagle tak, jakby z Beatą byli jedynymi ludźmi na Ziemi, we wszechświecie, jakby poza nimi i błyszczącą od gasnących gwiazd wodą nie było już nic, nic innego nie istniało. Poczuł się dziwnie i niezwykle z tą myślą, tak realną, jakby tak właśnie wyglądała prawda, rzeczywistość, a wszystko inne, ich normalne życie, to właśnie był sen i wakacyjna fantasmagoria. Zaczęli się kochać, z mokrymi włosami, niespiesznie, w chłodzie nocy, choć ciepłe morze i powietrze już zapowiadały spiekotę dnia.

Kiedy kończył, zgięty spazmem, tłumiąc oddech, wysunął się przypadkowo z Beaty, nasienie wytrysnęło do morza, zmieszało z czarną tonią. Beata ugryzła go w szyję, smakując sól na wargach, a on przez chwilę miał wrażenie, nierzeczywistą myśl, jakby właśnie zapładniał całą Ziemię, Ziemię-Matkę, budził ją do życia, powoływał do istnienia. Jakby

spełnili jakiś przedwieczny rytuał, w którym przez moment, przez jedną chwilę, czujesz się częścią całego stworzenia, cząstką wiatru słonecznego i kroplą wody, która przed milionami lat spływała po długim karku zwałistego gada.

Horowitz dojeżdżał powoli do miasta i myślał, co się z nimi stało. Już nie cisnął nadmiernie gazu, jechał zgodnie z przepisami. Aut na drodze nie ubyło, ale przed chwilą w stronę Wrocławia pomknął wóz straży i karetka na sygnale, najwidoczniej gdzieś na trasie doszło do zderzenia. Kierowcom zeszło ciśnienie. Próbował słuchać lokalnej stacji.

Gdzie się podziała tamta Beata, tamta Wiola, aniołek o jasnych włosach i ufnym spojrzeniu, gdzie podział się on sam? Schudł od tego czasu, co przecież nie zdarza się często ludziom w jego wieku, stał się jakiś łykowaty i twardy, nieczuły. Czasem miał wrażenie, jakby mógł umieścić rękę nad zapalonym palnikiem gazu na kuchence i trzymać ją tak godzinami, bez słowa skargi, z obojętną miną, czując swąd palonej skóry i osmalanej kości. Budził się rano i wydawało mu się, jakby coś w jego środku umierało, powoli, systematycznie, nieubłagane, z każdym dniem. Jakby tracił coś małymi fragmentami, niezauważalnie. Czasem było lepiej, miał wrażenie, jakby zatrzymał ten proces, wygrał z entropią duszy, ale wtedy nagle stawał po przebudzeniu przed lustrem i ze zdziwieniem zdawał sobie sprawę, jak dużo siebie stracił znowu, przez noc, wcześniejszy dzień, przez ostatni tydzień. Miał kłopoty z zasypianiem i budził się z bólem głowy. Był zmęczony i nie pamiętał już, co to znaczy mieć marzenia.

Żył z dnia na dzień, nie wiedział, co będzie, kiedy Wioleta już wyjedzie do matki, bo przecież nie potrafił jej zatrzymać, ale i nie umiał jeszcze rzucić tego wszystkiego i nie chciał się poddać. Żył z jakąś dziwną zaciętością, jakby gryzł szkło, miażdżył szczękami cegłę, przegryzał rzeczywistość; na przekór wszystkim, żeby nie skurwić się ostatecznie, nie umrzeć na kolanach. Miał jedno wspomnienie, jedno szczególne, które wracało przed snem, kiedy było naprawdę źle, i które obracał w myślach

już wbrew sobie, choćby nie chciał, choć może wolał zapomnieć. Miał wtedy siedem lat, ojciec zabrał go po raz pierwszy do kina. Niewiele pamiętał z tamtego okresu, ale niemiecko-jugosłowiański Winnetou był jak objawienie. Jeszcze dziś, choć film oglądał tylko raz, potrafił powtórzyć całe kwestie wypowiedane przez bohaterów i przypominał sobie sceny z najmniejszymi detalami, ciemna kinowa sala znów rozbrzmiewała tętentem kopyt mustangów pod Apaczami. Pamiętał, jak po długiej scenie tortur Indianina, z której niezłomny wódz wyszedł jak zwykle zwycięsko, płakał bezgłośnie i nie potrafił przestać, a wielkie łzy płynęły mu po twarzy. Matka strasznie skrzyczała ojca, kiedy już przyszli do domu i zobaczyła dziecko w takim stanie, ale ojciec Horowitza nie przejął się tym i nic jej nie tłumaczył. Rozumiał syna i nie próbował go uspokajać, trzymał go tylko mocno za rękę, kiedy wracali z kina, i nie mówił nic.

Po powrocie, tuż przed snem, kiedy w pokoju ich małego mieszkania Horowitz został już sam, złożył sobie przysięgę, sobie i Winnetou. Tak naiwnie jak tylko potrafi dziecko, wstrząsane wciąż wspomnieniem płaczu, przysiągł sobie nigdy się nie poddać, tak jak Winnetou, nigdy, przenigdy, w niczym. Po prostu.

Kiedy później stawał w kościele podczas mszy, właśnie tak wyobrażał sobie Boga: nie jako siwowłosego starca z wielką, białą brodą, ale właśnie jak surowego Apacza z poważną miną, z szeroką opaską na długich włosach, sprawiedliwego, dzielnego, który nigdy cię nie opuści, tak jak nigdy nie opuścił w potrzebie Old Shatterhanda. Gdy dorósł, wielokrotnie śmiał się z tego wspomnienia i czuł się głupio, ale i tak w trudnych chwilach, kiedy było ciężko, zawsze przypominał sobie tamten wieczór i film, i to, co stało się potem, i jakoś to szło. Dziś już nie wiedział, czy dalej wierzy w tego niestrudzonego Wodza Niebios, sprawującego pieczę nad światem i znającego każdy krok każdego z ludzi, wszystkie szlaki, po których w leśnej głuszy wędrują dzikie stada, ale wciąż pamiętał swoją przysięgę i nie umiał z niej zrezygnować. Nawet jeśli co rano budził się i

dostrzegając już tylko coraz bardziej stromą równię pochyłą, po której coraz szybciej stacza się życie. Zastanawiał się czasem, kiedy to się zmieni, kiedy wreszcie się podda. Bał się tego dnia jak niczego innego na świecie, bo w tym dniu, wiedział to, coś się skończy, coś, czego do końca nie rozumiał, odejdzie od niego i już nigdy nie wróci, nieodwracalnie.

Wjechał w Strzeszowice. Skierował się ku swojemu osiedlu. Kiedy mijał kiosk Ruchu, zatrzymał się przy krawężniku. Ciekawe, czy mają jeszcze gazetę? Nagle łagodna muzyka w radiu umilkła.

— *O Boże, panie redaktorze... Nie wiem, czy to prawda... Ale u nas w liceum stało się coś bardzo złego...* — głos słuchaczki rwał się, drżał.

Horowitz zastygł, instynktownie pogłośnił odbiornik i nie wyłączył silnika. Prowadzący audycję umilkł. Wcześniej na antenę pewnie nie raz dzwoniły gnojki, chcące zaszpanować przed kumplami zgrywą w audycji na żywo, więc realizator na pewno był na to przygotowany, ale być może w głosie mówiącej było coś, co nie pozwoliło mu przerwać połączenia.

— *Moje dziecko przed chwilą przybiegło do domu, ja mieszkam tu, niedaleko... całe... o Boże... całe we krwi... Ja próbowałam już zadzwonić się na policję i pogotowie, ale tam nikt nie odpowiada... O Boże, panie redaktorze... Ja dalej nie mogę w to uwierzyć... Ponoć w naszym liceum, no wie pan, strzeszowickim, wybuchła strzelanina.*

Horowitz siedział bez ruchu, próbując poukładać sobie w głowie to, co właśnie usłyszał. Redaktor milczał, kłopotliwa cisza na antenie przedłużała się. Najwidoczniej nie wiedział, co można powiedzieć w takiej chwili. Czy to była prawda, czy makabryczny żart?

O Boże. Wioleta.

Z twarzy Horowitza odpłynęła krew, oblała go fala gorąca. Żeby zapanować nad drżeniem rąk, zacisnął je kurczowo na kierownicy, z całej siły.

O Boże, Boże, nie. Pamiętał obrazy z wiadomości, kiedy pokazywano sceny z takich wydarzeń. Ciała pod prześcieradłami, wyjeżdżające na

noszach z dużych przeszklonych budynków, znicze przed zamkniętymi drzwiami. Boże, nie, tylko nie to, nie tutaj, nie u nas. Nie Wioleta. To nie może być prawda.

Cały świat obrócił się w jednej chwili o sto osiemdziesiąt stopni. A jednak życie może cię kopnąć w dupę jeszcze bardziej.

Drzwi do klasy zamknęły się za uczennicą i Ewa Plutar wróciła do prowadzenia lekcji. Już kiedyś miała nieprzyjemności, kiedy chłopiec, który z bólem brzucha poszedł do pielęgniarki, został przyłapany przez dyrektorkę na korytarzu, zaraz obok klasy, gdzie zawzięcie dyskutował o czymś przez komórkę. Ale dalej nie potrafiła odmówić uczniom. A jeśli ktoś rzeczywiście musi iść do toalety? Albo, jeszcze gorzej, naprawdę go coś boli? Co, jeśli ma atak wyrostka robaczkowego, ona każe mu czekać z wizytą u pielęgniarki do końca lekcji, a wtedy wyrostek pęknie, żółta ropa wyleje się do otrzewnej, powodując niewyobrażalny ból? I dziecko umrze jej w klasie, na zakurzonej podłodze, pomiędzy metalowymi nogami ławek. Dlatego nietrudno było ją oszukać i uczniowie regularnie to wykorzystywali, a Ewa o tym wiedziała, ale i tak nie zmieniała swojego postępowania.

Odwróciła wzrok od drzwi i podjęła przerwany wątek. Była zadowolona. II B pracowała dziś wyjątkowo chętnie, po pierwszych oporach, przecież to zastępstwo, prooooozę paaani, uczniowie nie tylko zaczęli słuchać, ale nawet włączali się do lekcji, odpowiadali na pytania, formułowali wnioski. Przekrzykiwali się podczas odpowiedzi i jak zwykle musiała ich co jakiś czas uciszać, ale potem lekcja toczyła się sprawnie dalej.

Pracowali teraz w grupach, w klasie panowała względna cisza. Ewa zerknęła dyskretnie na mały zegarek na nadgarstku, tajny prezent ślubny od rodziców, tylko dla niej, sprawdziła, ile mają czasu, żeby zdążyć z materiałem przed końcem lekcji. Jeszcze o tym nie wiedziała, ale już nie musiała się spieszyć, już i tak na nic nie starczyło jej czasu. Popatrzyła na

pochylone nad podręcznikami głowy, ciężące ku kolegom z tej samej grupy, uczniów wymieniających szeptem uwagi, spierających się, kartkujących podręczniki i zapisujących na wyrwanych z zeszytu kartkach wspólne uwagi.

Inni nauczyciele odliczali w takich chwilach sekundy do dzwonka, kapiące ciężko na tarczach zegarów jak matowe krople odlane z ołowiu, widziała to w ich twarzach, kiedy wracali do pokoju nauczycielskiego i zmęczonym ruchem odkładali dzienniki, w tym jak parzyli sobie kawę, kolejną tego dnia, jak spoglądali za okno i zerkali na zegar zawieszony nad drzwiami na korytarz, odmierzali czas. To były zmęczone spojrzenia i matowi ludzie, kawy czarne jak sny bez marzeń i rozciągające się minuty, w trakcie których przegrywano swoje życia. Było jej ich żal.

Ona, na przekór wszystkim, czuła się w pracy nieźle i choć nie było dnia, żeby uczniowie nie dali jej w kość, dalej uśmiechała się na zajęciach i z niepokojem zastanawiała się, czy uda jej się zdążyć z materiałem, który zaplanowała na następną lekcję. Ostatnio nawet wołała szkołę od powrotów do domu. Kiedyś potrafili z Bartkiem całymi godzinami leżeć w niedzielne popołudnie przy *Sjeście* Kydryńskiego i planować wspólne podróże nad rozłożonymi atlasami świata i przewodnikami po Azji Południowo-Wschodniej. Wczytywali z nich egzotyczne ciekawostki, dotyczące krajów, do których chcieliby pojechać, informacje o czerwonych polach chili w Chinach i ołtarzykach ku czci Świętej Śmierci, stawianych w slumsach Meksyku. Śmiali się, spisując miejsca w Europie, które mieliby ochotę odwiedzić. Przekomarzali, obliczając, na jaką wycieczkę mogą sobie pozwolić i gdzie powinni pojechać najpierw.

Ostatnio jednak nie wyciągali atlasów z półki, gdzie stały w równym szeregu, czekając na zwyczajowe przetarcie kurzu w późne sobotnie popołudnie, kiedy po całym tygodniu sprząтали pobieżnie mieszkanie. Nie rozmawiali już o wakacjach, wyjazdach i dalekich krajach. Do domu wracało jej się coraz trudniej, bo czuła, jak tam, mimo najszczerszych

chęci, mimo starań, prawdziwych wysiłków, sprzęty powlekają się kurzem, opadającym także na nich, na nią i Bartka, na ich dłonie i twarze, kiedy zasypiają i już nie mają snów.

Tu była jej szkoła, jej zawód, jej obowiązki, jej uczniowie.

— Pani profesor, a czy my mamy opisywać też bezpośrednie skutki powstania listopadowego? No bo tego tutaj nie ma, a myśmy już przeczytali wszystkie teksty źródłowe z podręcznika...

Uśmiechnęła się.

— Tak. To jest najważniejsze, to właśnie było wasze zadanie: jedna grupa przygotowuje przyczyny Wielkiej Emigracji, druga różne stronnictwa paryskie i ich poglądy, trzecia reakcję międzynarodową, a czwarta skutki działalności Hotelu Lambert. No, klasa — zwróciła się do wszystkich, klasnęła w dłonie, żeby uciszyć narastające szepty. Spojrzała na zegarek. — Pracujemy jeszcze trzy minuty. Zaczynajcie spisywać wasze spostrzeżenia i wyznaczcie kogoś, kto przedstawi wnioski każdej grupy całej klasie.

Uczennica zadająca pytanie kiwnęła głową. Za oknami chmura przetoczyła się po niebie, w pomieszczeniu zrobiło się ciemniej, chłodniej. Ewa chwilę zastanawiała się, czy nie zapalić światła. Usłyszała kroki, ktoś szedł po korytarzu. No tak, dziewczyna z toalety. Już powinna wracać. Kroki jednak minęły wejście do ich klasy. Dziwne, pomyślała Ewa, przecież na korytarzu nie powinno nikogo być.

I wtedy usłyszała strzały.

Dźwięk był przytłumiony i metaliczny. Ewa zmarszczyła brwi i pomyślała, czy w budynku mogła pęknąć rura, nie wybuchł gaz albo nie stało się coś podobnego. Dopiero potem przestraszyła się, bo jeśli właśnie pękła rura albo wybuchł gaz, to mają prawdziwe kłopoty, przecież tu są uczniowie, cała klasa, na drugim piętrze; przecież w całej szkole jest pełno dzieciaków. Uczniowie też podnieśli głowy znad książek, popatrzyli po sobie. Ewa nasłuchiwała. Podeszła niepewnie do drzwi. Uchyliła je, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Wtedy na korytarzu wybuchła kanonada strzałów.

Brzęknęło tłuczone szkło, ktoś zaczął przeraźliwie krzyczeć. Uczniowie wybiegali z klas. Usłyszała piski. Ewa dostrzegła, jak w jej pole widzenia wbiega kilku chłopców, nieoglądających się do tyłu, biegnących na oślep, byleby przed siebie, a wtedy gdzieś zza drzwi jednej klas huknęło, raz i drugi, przeraźliwie głośno w zamkniętej przestrzeni, niosąc się echem po korytarzu, w oknie trzasnęła przestrelona szyba, część szkła runęła na podwórko, część rozsypała się ostrym deszczem na korytarzu.

Jeden z biegnących chłopców potknął się, wylądował na kolanach, tnąc głęboko, do mięsa, dłonie na szklanych odłamkach z podłogi. Potem trzasnęło znowu, skryty w cieniach korytarz rozblęsnął krótkim ogniem, jak flesz z aparatu, i bark klęczącego chłopaka wybuchł krwawą chmurą. Ściany pokryły cętki krwi, ciało w agonalnych drgawkach zważyło się na posadzkę. Obok w panice przebiegali inni uczniowie.

Ewa zatrzasnęła drzwi, nie myśląc, już nie myśląc, przekręciła zamki, działając jak automat, na klęczkach, półsiedząc, odczołgała się nieporadnie pod ścianę, pod okno, byle dalej. Słyszała jeszcze, jak ktoś woła nie, nie, proszę, o Boże, nie, a potem znów pada strzał, coś obrzydliwie chrupie, ktoś osuwa się po ścianie. Zatkąła rękami uszy, zacisnęła oczy, kawa podjechała jej do gardła. Licealiści byli bladzi. Kilku podbiegło do okien, a potem odwróciło się do klasy, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Wszyscy już stali.

Ktoś od strony korytarza szarpnął za klamkę drzwi do ich klasy, raz, drugi.

Wstrzymali oddech. Ewa, siedząc pod oknami, przy zakurzonych grzejnikach, skulona jak małe zwierzątko, zamglonym wzrokiem spojrzała w stronę drzwi. Kroki na ich piętrze ucichły, ale przez mury i szyby w oknach ciągle słyszeli okrzyki i łkania, tupot stóp na pozostałych piętrach i metaliczny zgrzyt sporadycznej palby, kiedy trzęsły się gabloty z pomocami naukowymi i wibrowały chłodne powierzchnie ścian. Znów padł strzał,

blisko, wszyscy drgnęli, instynktownie skulili się, próbując się obronić, choć przecież w ten sposób obronić się nie dało.

Drzwi zostały przestrzelone przy dolnym zamku, niecelnie, ze ściany odłupał się spory płat tynku. Ktoś strzelił jeszcze raz, znów szarpnął za klamkę. Ale górny zamek trzymał mocno. Czuć było, jak ktoś czeka za drzwiami: zgęstniała, zawieszista obecność, w nagłej ciszy, w zimnym milczeniu. A po chwili w klasie zrobiło się nagle jakby lżej, atmosfera się rozrzedziła. Ten ktoś, kto próbował tu wejść, odszedł bezszelestnie, nie usłyszeli nawet jednego kroku na korytarzu zasłanym szklanymi odłamkami.

Któraś z uczennic zaczęła szlochać, podciągając kolana pod brodę, ktoś modlił się, histerycznym szeptem powtarzając gorączkową mantrę. Wszyscy zastygli, zszokowani makabrą, sparaliżowani strachem.

Ale Ewa Plutar już tego nie widziała. Już jej nie było w klasie.

Dziadek włożył do ust gumę i zaczął żuć potężnymi ruchami szczęk, systematycznie, jakby wyrabiał jakiś plan. Przejechali obok rozległych magazynów zakładu farbiarskiego, wokół których zawsze śmierdziało chemią. Otaczały je rozległe place z używanymi częściami do samochodów, warsztaty, skład meblowy i budki z blachy ustawione głęboko w zagraconych podwórzach, gdzie można było kupić opony i części do maszyn rolniczych. Nawet za Gierka, kiedy jeszcze nic tu nie sprzedawano, nikt nie chciał w tym miejscu mieszkać. Wąski strumyk wypływający z fabryki był oleisty i ciemny.

Przejechali przez most i skierowali się w stronę osiedla. Ludzi na ulicach prawie nie było. Choć akurat znów na chwilę błysnęło słońce, pogoda nie zachęcała do spacerów. Wiał wiatr, kołysał drzewami, podrzucał na ulicach płachty gazetek reklamowych. Z daleka mignęła im wysoka wieża zegarowa, wieńcząca budynek szkoły. Rafał nie do końca rozumiał, czemu

Dziadek obwozi go po mieście, jakby oprowadzał po Strzeszowicach delegację z Japonii.

— Te, Małolat, tu w pawilonie mają zajebistego kebaba. Dawaj, staniemy jeszcze na chwilę, wszamiemy jakieś padło. Robota nie zając, a jeszcze się czegoś nauczysz. No tak czy nie?

Rafał wzruszył ramionami.

— Jasne.

Zatrzymali się na niewielkim parkingu pod pawilonami z odzieżą. Dziadek wyłączył silnik, ale zostawił grające radio. Rafał sprawdził kieszenie i wyciągnął zmiętą dychę. Nacisnął klamkę u drzwi, szykując się do pójścia po jedzenie. Popatrzył na Dziadka pytająco, czekając na jego zamówienie.

— Daj spokój, Małolat. Schowaj kasę. Firma stawia. — Dziadek się uśmiechnął i wypluł gumę, samemu wychodząc z auta.

Rafał domknął drzwi po swojej stronie. Szlag. Nie chciał, żeby Dziadek kupował mu żarcie, od takich jak on nie chciał nigdy niczego, czy to nie było oczywiste? Pewnie było – i dlatego policjant go zaprosił. Teraz ty jesteś swój chłop, Małolat. Swój chłop. No tak czy nie, tak czy nie? No to jeśli jesteś swój chłop, to gadasz jak swój chłop, żresz jak swój chłop, zapierdalasz jak swój chłop po mieście i trzymasz z takimi jak ty, swoimi chłopami. Inaczej się nie da. To nie jakiś *Brudny Harry* czy inny *Blef Coogana*, tu nie ma nic poza stadem, poza grupą. Nie, oczywiście, nikt cię nie ruszy, jeśli będziesz grał ostatniego sprawiedliwego, jeśli będziesz się stawiał, przecież to by była dziecinada. Ale czy chcesz pracować w miejscu, w którym każdy będzie cię uważał za ciotę, za jebanego sprzedawczyka, za mendę i śmiecia, na którego nawet odlać się nie warto? Rafał pytał sam siebie. Chcesz? Nie, nie chcesz, przecież to oczywiste. To jest dorosłe życie, Małolat, a ty jesteś już dorosły facet, przynajmniej powinieneś być. Więc żyj jak dorosły facet, pogódź się ze swoimi wyborami, przyjmij ich konsekwencje, zacznij myśleć jak samiec alfa.

Tylko osioł, Małolat, tylko osioł kopie się z koniem. Wiadomo. Rafał zamknął oczy.

Kiedyś, w ogólniaku i na studiach, śmiali się ze znajomymi z takich pozerskich bałwanów, jakim sam był teraz, z gogusiów, którym życie sypie płatki róż pod nogi, a oni cały czas narzekają, wiercą się w swoim ciele, pozują na bunt, pieprzą system, próbując – nie za mocno – ugryźć dłoń, która ich karmi. Ale to było dobre w pierwszej klasie liceum, cholera jasna, kiedy walisz w struny pożyczonej gitary i po przyjściu ze szkoły stawiasz włosy na cukier, myślał i miał rację, wiedział o tym. A teraz praca jest praca, a życie to życie, nie ma w tym żadnej zagadki, żadnej tajemnicy. Z głośników sączyła się łagodna melodia.

Drgnął, kiedy Brudziak puknął łokciem w okno po jego stronie. Otworzył oczy, zobaczył Dziadka mówiącego coś za szybą. Uchylił drzwi i odebrał z ręki kolegi – a jakże, a jakże – wielką bułę napakowaną opiekany mięsem, surówkami i sosem. Brudziak już ładował się do wozu po swojej stronie.

— Uch, sos diabelski. Jadłeś już z takim? Nie? My tu z komendy często zajeżdżamy. Mówię ci, cud-miód, palce lizać. A mordę to wykręca jak kapsko starej kurwy.

— Dzięki. — Rafał bez przekonania zaczął dziabnąć plastikowym widelcem pływające w różowawej mazi kawałki kebabu. Podpieczona bułka przyjemnie trzeszczała w dłoni, kruszyła się na mundur. Spróbował. Skrzywił się, odetchnął.

— Mocne.

Dziadek pokiwał głową znad swojej buły. Żarcie było naprawdę dobre.

— Ty, Małolat — Dziadek przerwał milczenie. Samo radio to dla niego było widać za mało. — A jak to tam z tobą, no wiesz, z rodziną? Nie mówisz nic, nie chwalisz się... Obrączki na palcu nie widziałem.

Rafał właśnie włożył do ust duży fragment mięsa i próbował go przełknąć.

— No wiesz... — Dziadek nieokreślonym ruchem głowy wskazał do tyłu, w kierunku, gdzie zostawili za sobą szkolną wieżę. — Dzieciaki jakieś masz?

— Z tego, co mi wiadomo, to nie... — odpowiedział starym dowcipem. Sierżant się zaśmiał. Dłonią otarł usta z sosu.

— No to jak nic musisz się brać do roboty, no tak czy nie, ja się pytam, tak czy nie? To zawsze było najlepsze w tym wszystkim. Pamiętam, jak myśmy z Wandą próbowali... A, młody jesteś, co ja ci będę apetyt psuł. No, ale mam dwójkę, dwóch synów znaczy. Kozaki jak chuj, Małolat, normalnie nie pogadasz. Jeden ma trzydzieści trzy, drugi trzydzieści dwa lata. No prawie tyle co ty. Dwójka biznesmenów. Starszego, Janusza, udało mi się wcisnąć w obrót nieruchomościami i teraz handluje ziemią pod markety, paru kolegów weszło w to jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, normalnie grzech było nie skorzystać, jak nadarzyła się okazja, żeby się podpiąć. A Kuba zwąchał się po studiach z jednym majorem, dobry chłop, mówię ci, ale swego czasu nie przeszedł weryfikacji. No to teraz ma prywatną szkołę marketingu. Też nieźle, choć bum na marketing już dzieciakom przeszedł, chociaż to pewnie wiesz lepiej ode mnie. Ale zawsze znajdzie się kilku nierobów, którzy będą chcieli mieć papier i nie nazapieprzać się za bardzo, no nie? Jak będziesz zresztą czegoś potrzebował, to daj znać, może coś się uda wykombinować.

Rafał podziękował, chrząkając coś z pełnymi ustami, i roztropnie milczał. Żuł kebab.

Kiedys oczywiście myślał o dzieciach. Chciał mieć dwójkę, normalnie, chłopca i dziewczynkę. Tylko z kim? To już była inna sprawa. Podczas studiów nie bardzo umiał się związać z kimś na stałe, te kilka związków, kiedy próbował, rozsypało się po kilku tygodniach czy miesiącach. Najdłużej był z dziewczyną osiem miesięcy, a Agata, młodsza od niego o trzy lata, była naprawdę śliczna. Nie wiedział tak naprawdę, czemu się rozstali, być może byli jeszcze za młodzi, żeby myśleć o czymś na

poważnie, ona na pewno była za młoda i nie tego oczekiwała od studiów. Już dawno skończyły się czasy, kiedy na uniwersytet do dużego miasta jechało się w poszukiwaniu męża. A potem został policjantem.

Nie, żeby to któreś przeszkadzało. Kiedyś było pewnie trudniej, tak to sobie przynajmniej wyobrażał, kiedy oficera robiła z ciebie nie matura, lecz chęć szczerą, gdy stając się częścią milicji, stawałeś się częścią imperium zła. Ale teraz to się zmieniło. Dziś nie byłeś już tępym krawężnikiem i sługusem czerwonych, niebieskim chujem w okratowanej Nysce i „panem władzą”. Teraz byłeś panem policjantem, kryminalnym, jak w serialu, detektywem, stróżem porządku, twardym gliną. Zarabiałeś za mało, to wiadomo, ale na pewno była to kasa stała, bezpieczny pieniądz, miałeś widoki na niezłe świadczenia w przyszłości, kumpli, którym się nie podskakuje, i chody w całym mieście. Która laska nie chciała, żeby taki ktoś postawił jej drinka na dyskotecze?

No więc Rafał stawiał, bo czemu nie, każdemu należy się relaks po pracy. Ale od jakiegoś czasu dziewczyny z dyskoteki przestały mu wystarczać. Kiedyś, gdyby ktoś mu o tym powiedział, nie uwierzyłby, takie rzeczy się nie dzieją, tak jak nie wygrywa się w lotto i nie widuje różowych słońi, desantujących się na Ziemię z Marsa na latawcach. A potem przerobił te wszystkie dyskotekowe fikołki nie raz i nie dwa razy, i dziś siedział ze starym repem, który stawiał mu kebab, woził po mieście jak ubogiego kuzyna z prowincji, opowiadał o przekrętach synów i mało brakowało, żeby zaraz zaczął mu mówić o tym, jak to zdradza żonę z dziwkami spod dworca we Wrocławiu.

A to był dopiero początek jego zawodowej kariery, co stanie się z nim później, kiedy już zostanie „prawdziwym gliną”? Czy też będzie młodym opowiadał o „swojej starej” i dymał podstarzałe prostytutki, za flaszkę wódki i za ochronę, wiadomo, żeby nikt się nie przyczepił, a może po prostu płacąc im uczciwie pięćdziesiąt złotych w zwiniętym ruloniku i czekając, aż mu po pracy zrobią laskę w bramie? Pomyślał, jakby to było,

wysiąść teraz z radiowozu, poluzować kołnierz przy szyi, odetchnąć zimnym powietrzem, głęboko, po cebulki włosów, wypierdolić się na to wszystko i pójść do domu, i już nigdy do tego nie wracać, nigdy nie odwracać się za siebie.

Jeszcze przed szkółką policyjną zgadał się z dziewczyną na forum społecznościowym jednego z historycznych portali. Niby nic specjalnego. Pisała pod nickiem Kleopatra, miała na imię Agnieszka, wymienili potem kilka maili, wysłała mu swoje zdjęcie, on jej swoje, czuł się przy tym jak kretyn, ale znalazł coś z wakacji, jakąś fotkę gdzieś w Bieszczadach, przy rozpalaniu ogniska na deszczu, w ortalionie i starych bojówkach, na zdjęciu wyglądał przynajmniej naturalnie. Mieli się nawet spotkać w realu, na wrocławskim Rynku, pod Pręgierzem. Ale wtedy przyszła do niego informacja o przyjęciu do policji, musiał pozałatwiać kilka spraw, donieść papiery, ze spotkania w końcu nic nie wyszło; potem wyjechał na szkolenie i wszystko się urwało. A wczoraj niespodziewanie znów dostał od niej wiadomość na priva, z niewinnym zapytaniem, co u niego słychać. Wczoraj nie odpisał, była niedziela wieczorem i nie bardzo wiedział, co miałby napisać w takim mailu, żeby zabrzmiało to normalnie. Tak jak powinno, jeśli to w ogóle miało coś znaczyć.

Teraz żuł wychłodzoną, nasiąkłą palącym sosem bułkę i dalej nie wiedział, co powinien napisać w takiej wiadomości, ale to nie miało już znaczenia. Odezwie się do niej na pewno, postanowił. Nieważne, co napisze, na pewno jakoś to pójdzie. Najwyżej dostanie kosza. Choćby grzmiało i z nieba spadały żaby, same ropuchy afrykańskie, na Syberii po raz kolejny pieprznął meteoryt, choćby walił się świat. Po powrocie do komendy napisze do niej i umówi się na niedzielę, w święta, na Rynku we Wrocławiu, gdzie mieli spotkać się już dawno, w jakimś lepszym świecie, w którym nikt się nie myli i zawsze wybiera właściwie, w którym czas nie przepływa przez palce, a rzeczy dzieją się tak, jak dzać się powinny.

Poskładał ostrożnie lepki od sosu, woskowany papierek po kebabie, otworzył drzwi, żeby wyjść i wyrzucić go do śmietnika przy ławce.

— *O Boże, panie redaktorze... Nie wiem, czy to prawda...* — usłyszeli z radia. Coś w głosie mówiącej kazało Rafałowi przystanąć w otwartych drzwiach. Dziadek kończył jeść i też wsłuchał się uważniej. — *... moje dziecko przed chwilą przybiegło do domu, ja mieszkam tu, niedaleko... całe... o Boże... całe we krwi...*

— O kurwa — sapnął Dziadek i wyrzucił resztkę kebabu na parking. Już wiedział, co się za chwilę stanie. Niezależnie od tego, czy informacja w radiu była prawdziwa, czy tylko ktoś robił sobie ze słuchaczy chore jaja. — O kurwa, kurwa, kurwa mać! No, Małolat, co tak stoisz rozkraczony jak raszpla na wieczorze kawalerskim?! — warknął. — Wsiadaj!

Rafał wyrzucił papierek na ziemię i trzasnął drzwiami.

— *Ponoć w naszym liceum, no wie pan, strzeszowickim, wybuchła strzelanina.*

Kiedy Brudziak odpalał silnik, odezwała się policyjna szczekaczka. Sierżant syknął przez zęby, jakby spodziewał się tego dźwięku. Rafał odruchowo podniósł mikrofon.

— *Wóz zero osiem, gdzie jesteście? Tu dyspozytor, powtarzam, wóz zero osiem, gdzie jesteście...?*

— Rafał Madera, wóz zero osiem. Stoimy przy pawilonach na Osiedlu Ptasim — odpowiedział, zanim Brudziak zdążył go powstrzymać.

— Kurwa, Małolat...

— *No to jesteście najbliżej szkoły. Słuchaj, mieliśmy tu dziwne telefony, ponoć w szkole był napad, czy coś takiego. Jedźcie to sprawdzić, okej? Tylko uważajcie. Ponoć ktoś tam strzela do ludzi.*

Dziadek, wyraźnie zdenerwowany, odebrał chłopakowi mikrofon.

— Dyspozytor, ale jak to tak, mamy tam jechać sami? Cholera jasna!

— *Edek? Edek, to ty? No to co ja mam zrobić? Reszta wozów też została już poinformowana, a wy jesteście na miejscu. To co ty byś zrobił w mojej*

sytuacji, a?

Ugryzł się, kurwa, w dupę, pomyślał Dziadek. Ale milczał.

— *Daj spokój, to tylko rutynowa kontrola. Pewnie ktoś sobie jaja robi. Pojedziecie, sprawdzicie, i po robocie. Bo jak nam się potem dziennikarze dobiorą do tyłków, to będziemy w niezłym szambie.*

Kurwa, kurwa mać.

— Cholera jasna! Jasny szlag! — Dziadek odetchnął. — Już tam jedziemy.

Starszy sierżant Edward Brudziak odwiesił mikrofon i wrzucił wsteczny.

— Małolat, tylko pamiętaj — jego głos był zimny i cichy, taki, jakiego Rafał jeszcze nigdy u niego nie słyszał — bez żadnych głupstw. Pamiętaj.

Rafał wolno, mechanicznie skinął głową. A w uszach obijał mu się jeden dźwięk, jedno zdanie. Zniekształcony przez mikrofon telefonu kobiecy głos.

O Boże.

Ponoć w strzeszowickim liceum wybuchła strzelanina.

Strzeliło jak sam skurwysyn.

Samochodem rzuciło, koła zabuksowały po zwirowanym, wąskim poboczu. Darek Babel gwałtownie szarpnął kierownicą i auto prawie wbiło się w jadącą z naprzeciwka ciężarówkę. Adam instynktownie wczepił się dłońmi w deskę rozdzielczą. Renault w końcu wyrównał kurs.

— No i tyle dobrego. Złapaliśmy gumę. — Operator zwolnił i wreszcie zatrzymał się na wąskim poboczu. Zerknął w boczne lusterko i wyskoczył szybko między kolejnymi samochodami, żeby oszacować straty.

Adam nie był taki spokojny. Klął długo, najpierw wściekle, wyrzucając z siebie dopalane adrenaliną potoki bluzgów, a potem już metodycznie, na zimno, popatrując spode łba na zegarek i cedząc kolejne kurwy, jakby w ten sposób można było cofnąć czas. Dopiero wyjechali z Wrocławia. Do

Strzeszowic mieli jeszcze dobre dwadzieścia minut drogi. Darek Babel wrócił do samochodu, włączył światła awaryjne i odpalił silnik.

— No, dawaj, Darek, dymamy z zapasówką!

— Spokojnie. Poboczne tu za wąskie, a ruch za duży. Zaraz nam ktoś wjedzie w tyłek i nie zrobimy już żadnego materiału, nie tylko tego o fabryce.

Adam klął dalej.

Kolebali się na pociętej gumie, mijani przez wyprzedzające ich samochody.

— Szczęście w nieszczęściu. — Operator wskazał głową budynek Orłenu, który pojawił się za miękkim łukiem zakrętu. — Zmienimy kaptur na stacji.

Adam wzruszył ramionami i spojrzał znów na tarczę zegarka na nadgarstku. Miał przemożne wrażenie, jakby suunto śmiało się z niego szyderczo tą swoją modną masywną mordą.

Zajechali na stację. Darek pociągnął za rączkę otwierającą bagażnik, zabrał się do wyciągania zapasu i lewarka. Adam poszedł kupić kawę.

Kiedy wracał, był już spokojny. Pół godziny tu czy tam, przecież to nikogo nie zbawi. Co się może stać przez pół godziny? Fabrykę mu zamkną? Otworzą? No nie, jasne, że nie. Najwyżej potem będą musieli przyspieszyć z montażem, ale to żaden problem. Oni nie dadzą rady? Robiąc swój materiał w Strzeszowicach, które mają szczęście, kiedy ktoś je w ogóle umieści na mapach? Przecież to prawie przedmieścia Wrocławia.

Położył kubek z kawą dla operatora na masce wozu. Kiedy samochód stał jeszcze wszystkimi kołami na ziemi, Darek poluzował śruby, a teraz walczył z lewarkiem. Przerwał, łyknął gorącego płynu z automatu. Kawa była czarna i gorzka, a on pijał tylko z mlekiem i mocno słodzoną, a w ogóle to wolał herbatę, ale nic nie powiedział. Odstawił kubek na ziemię obok koła zapasowego.

— Dzięki za kawę — mruknął.

Samochód wolno szedł do góry. Adam stał z boku i przytykał tekturową krawędź naczynia do ust. Wyglądało tak, jakby gorący płyn nie parzył mu warg, jakby dziennikarz w ogóle nie odczuwał temperatury kawy.

— Kluczyki w stacyjce, Darek? To włączę radio, posłuchamy przynajmniej RMF-u, nie tej ich wsiowej stacyjki.

Otworzył ostrożnie drzwi, żeby nie poruszyć samochodu stojącego na biegu i zaciągniętym hamulcu ręcznym, włączył radio.

— ... *O Boże, panie redaktorze... Ja dalej nie mogę w to uwierzyć... Ponoć w naszym liceum, no wie pan, strzeszowickim, wybuchła strzelanina.*

Adam westchnął, ale coś w głosie mówiącej powstrzymało go przed wciśnięciem przycisku z zakodowaną inną stacją.

I wtedy to do niego dotarło.

— ...*agranie, które jeszcze raz odtworzyliśmy przed chwilą, prezentuje telefon do stacji jednej z naszych słuchaczek. Dzwonią państwo do nas z pytaniami, niestety, nie na wszystkie z nich możemy odpowiedzieć. Sprawa została skierowana w ręce...*

— Darek, o Boże.... Też to słyszałeś?

Darek Babel słyszał.

Kłęcząc, zamarły nieruchomo, w jakiejś dziwnej pozie, jakby znowu chciał wzruszyć ramionami, znów przejść nad tym do porządku i wrócić do swojej pracy, osiem godzin dziennie, czasem uda się wszystko zrobić w sześć, jak mają sprawę na miejscu, w czasie których przypatruje się śmiesznym ludzikom, gimnastykującym się przed obiektywem kamery, jakby patrzył na mały w zoo. Nie, nie mały: na owady – ciekawe, niezdrowo fascynujące, na zbliżeniach przybierające nierzeczywiste kształty. Później, po pracy, można wrócić do wynajmowanego mieszkania, wziąć aparat, wyjść nocą na miasto, na cmentarz, i na starym analogu robić czarno-białe zdjęcia odrapanych pomników i omszałych krzyży w sztucznym świetle latarni, wywoływane potem w czerwonej łunie łazienki zamienianej czasem na ciemnię.

Małe arkusze papieru fotograficznego najpierw namakają w kuwetach, zanurzone w odczynnikach chemicznych, by wreszcie zacząć oddawać uwiecznione kształty, ujawniać świat okiełznany. Oswojony w obiektywie aparatu. Krzywy krzyż może stać się prosty, wystarczy tylko na naświetlaczu przekrzywić cały świat za nim, proste rzędy betonowych słupów na nabrzeżu można zmienić w nieprzeniknioną pajęczynę światła i cienia, fraktal chaosu, kiedy burzysz porządek stary – i wprowadzasz nowy, swój, albo nie wprowadzasz go w ogóle, fotografując na tle miejskich światel śnieżną zadymkę, z dużymi płatkami mokrego śniegu powiększonymi dodatkowo przez odbijające się światło lampy błyskowej, jakby na celuloidzie ktoś wypalał w ich miejscu duże, białe dziury.

— Darek, o kurwa mać... Słyszałeś?

Operator skinął głową. Wyraźnie pobladł.

— To prawda, co tam mówią...? Adam? Jak myślisz?

— A skąd ja mam wiedzieć, cholera jasna? Ale... No zmieniaj, zmieniaj, daj, pomogę ci! — Adam nerwowo ruszył w jego stronę, ale Darek gestem podziękował za pomoc i ciągle skołowany, zaczął znów metodycznie podkręcać lewarek. — Czy ty tego nie rozumiesz?

Darek nie rozumiał.

— Przecież to jest właśnie moja szansa. Nasza, no jasne, nasza. O kurwa mać... Przecież ja czekałem właśnie na coś takiego. — Adam, gestykulując, ulał trochę kawy z kubka, poparzył się w palce. Ale nie przestawał mówić — przecież my tam za chwilę będziemy, na żywo albo prawie na żywo. Jak w Stanach... Może nawet uda nam się wejść do tej szkoły z kamerą? Albo chociaż nakręcić pościg za tym, kto to zrobił. Kurwa mać, przecież o taki materiał będą się zabijali w całej Polsce, przecież to mogą puścić nawet na CNN-ie, jak to porządnie rozegrać...! To jest moja, no, nasza, przepustka do TVN-u. A tam, kurwa, chuj z TVN-em! To jest moja przepustka gdziekolwiek. Kraśko będzie nas lizał po fiutach, jeszcze zobaczysz... Darek, kurwa...

Adam przytknął kubek do ust i miarowo ruszał grdyką. Wyglądało to tak, jakby kawę pił jakiś automat, jakby przez gardło mężczyzny przesypywał się chłodny piasek: na twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, kiedy z nad pojemnika buchały kolejne kłęby pary.

— Au, cholera... Gorące... — Adam wreszcie mrugnął, mgła zeszła sprzed oczu. Uśmiechnął się nerwowo. — No, dawaj, dawaj, Fellini! Jak myślisz, ile czasu zajmie nam jeszcze zmiana tego koła? Nie rozumiesz? To jest przecież szansa, która zdarza się tylko raz w życiu. Raz, cholera jasna! No raz. Jeden jedyny.

Darek Babel wrócił do zmieniania koła. Myśli się rwały, coś dziwnego działo się z jego gardłem i żołądkiem. Obrót, obrót, obrót. Już wystarczy. Potem odkręcić do końca śruby. Potem ściągnąć koło, założyć zapas. I nie myśleć, no, jeszcze jeden obrót wajchą lewarka, żeby można swobodnie uchwycić oponę. I nie myśleć.

Dalej nie rozumiał.

godzina 9.38

Miała wrażenie, jakby jej myśli nagle przyspieszyły, wystrzeliły z miejsca, milion na jedno drgnienie tętna, na pół oddechu. Czas za to zaczął biec dużo wolniej, ugrzązł w smole sekund, jak wtedy, kiedy pęka ci kość i samochód uderza w metalową bandę na moście, i nic nie można już zrobić.

Wioleta siedziała z podciągniętymi kolanami na sedesie, próbowała nie oddychać, zniknąć, wtopić się w ścianę. Nasłuchiwała, czy zza drzwi, ze szkolnego korytarza nie słyszać odgłosów zbliżających się kroków.

Zaczęła się walka z czasem, zdawała sobie z tego sprawę. Tu, wokół, panował martwy bezruch (nie kuś losu, odpukaj, nie używaj tego słowa). Ale tam, za murami, przecież już ktoś musiał się o tym dowiedzieć. Musiał. Pomyśl spokojnie, nie oszukuj się, nawet jeśli takie kłamstwo przyniosłoby ulgę. Lepiej od razu przygotować się na najgorsze (przestań, wypluj to, nie kuś, kurwa, losu). Tak więc – musiał? Tak, musiał. Nie ma innej możliwości. To jest XXI wiek, każdy z uczniów ma telefon komórkowy i przynajmniej część z nich lepiej niż ona potrafi pokonać swój strach przed przełamaniem ciszy, zwróceniem na siebie uwagi rozmową. Do tego przecież są szkołą położoną w centrum trzydziestotysięcznego miasta. Ktoś już coś usłyszał, na pewno, któryś z uczniów dobiegł do mieszkania albo

stąd zadzwonił na policję, do domu, gdziekolwiek, dałaby sobie za to głowę uciąć (o Boże, o Boże; możesz przestać?, ale ty jesteś głupia). Więc jedyne, co teraz trzeba zrobić — to przeczekać. Przeżyć. Przecież ten... ten, kto to zrobił, też nie może ich tu trzymać wiecznie, przecież w końcu wreszcie palnie sobie w łeb, jak ci wszyscy inni, ci, o których mówiono w telewizji (o Boże, proszę, błagam, żeby już się zabił). Tymczasem – milion myśli na oddech, sekundy klinują się w drzwiach, trą o ściany, pęcznieją, przeciskają przez przestrzeń w tempie rodzących się gór. Jeszcze chwila, jeszcze mała chwilka. Przeczekać. Nie umrzeć. Wytrzymać i nie dać się zabić.

Drgnęła, kiedy usłyszała, jak na szkolnym korytarzu otwierają się nagle drzwi do klasy, waląc z impetem o ścianę, dźwięki wyraźne jak nigdy, jak na lastrykowej posadzce dudnią chaotyczne kroki, biegnie kilka osób, jak hałas zamiera, znika za zakrętem, powoli cichnie. Wioleta zacisnęła powieki. Żeby im się udało, żeby im się udało, żeby im się... A potem wybucha dzika polifonia strzałów, huczących w pustych korytarzach, głośne dudnienie rozchodzące się pomiędzy ścianami. I znów wraca świdrująca uszy cisza.

Wioleta zdała sobie sprawę, nagle, jakby dostała obuchem, jakby kula trafiła ją w pierś: tutaj, w tej chwili, zmieniło się całe jej życie. Już nigdy nic – nic, nic, o Boże, naprawdę nic – nic już nie będzie takie samo. Są granice, zza których nie można wrócić, ścieżki, które, jak most na kreskówce, nikną za tobą z każdym postawionym krokiem. Nie ma odwrotu. Życie właśnie wskoczyło na inny tor. Nic – nic – nic – o Boże – nic już nie będzie – nigdy – takie samo. To, co przeraża najbardziej, to nie duchy pod łóżkiem i wieczorny spacer przez cmentarz – tylko naprawdę nieodwracalna zmiana.

Jazda na miejscu pasażera na sportowym motorze, wielkiej bestii z owiewkami, ryczącej silnikiem, parskającej błękitnym ogniem z rur wydechowych, kiedy manetka gazu schodzi do oporu, wskazówka na prędkościomierzu wychyla się poza skalę, a ty czujesz pod dłońmi okryte

skórzanymi spodniami młode uda chłopaka przed tobą i wtulasz się piersiami w plecy kierującego – i złamany kręgosłup, kiedy motor wywraca się na zakręcie, na który wiatr nawiał białego piasku, wózek do końca życia, wyrok, kiedy masz siedemnaście lat i dopiero poznajesz smak męskiego ciała. Wejście do samochodu rankiem po urodzinach przyjaciółki z pracy, spóźniony czas reakcji, inny samochód hamujący na skrzyżowaniu w chwili nieuwagi, i siedmioletnie dziecko, twoje dziecko, które wypada przez przednią szybę, ląduje na masce, między dwoma miażdżącymi się ze zgrzytem górami stali. Albo przypadek – zabłąkany prion w zjedzonym dwadzieścia lat temu kawałku wołowiny, masakrująca wątrobę żółtaczka na brudnej igle w szpitalu, przejście na pasach, przypadkowe potrącenie i uderzenie w czaszkę, po którym po miesiącu pęka ci w głowie tętniak i tracisz wzrok, do końca życia nie możesz ruszyć prawą połową ciała. Koniec. Koniec. Nic już nigdy nie będzie takie samo. Nie można cofnąć czasu. Nie można przerwać gry, wyjść z życia, przerwać żartu, podziękować za zabawę.

Zaterkotał szkolny dzwonek, wzywając na lekcje uczniów, których już nie było. Aż podskoczyła, ugryzła się w język, boleśnie, do krwi. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo bołą ją zaciskane szczęki. Elektryczny dźwięk zabrzmiał upiornie w zamarłych w wymuszonej ciszy ścianach.

Wioleta z trudem oddychała, ciało lepiło się od zimnego potu, w głowie wirowało. Zamknęła powieki i spróbowała wyrównać oddech, uspokoić serce. Ale myśli nie chciały odejść.

Czy można przeżyć życie inaczej? Wybrać inną drogę, zmienić jakiś element i uruchomić inną wersję świata, zacząć żyć życiem swoim – ale już innym, już nie-swoim? Stanąć nagle i powiedzieć, na gorąco, w czasie teraźniejszym, a nie po fakcie, kiedy dopasowujemy wydarzenia przeszłe do już znanej przyszłości: o, tu, w tym momencie, rozchodzą się ścieżki mojego życia. Jeśli wybiorę tak, moje życie potoczy się inaczej, jeśli tak – będzie się toczyło w jeszcze inny sposób. No jasne, można tak, można.

Wybierasz szkołę – i wiesz, co mniej więcej cię w niej czeka. Wybierasz przedmioty zdawane na maturze, kierunek studiów – i znów, mniej więcej wiesz, jakie przyszłości już cię w życiu ominą: nigdy już nie będziesz pilotem, prawnikiem, księgową, nauczycielką, lekarzem.

Ale czy można wróżyć o przyszłości, o przypadku, naprawdę, tak jak mówili na historii: ze snów wieszczych, z lotu ptaków, pękniętych kości, gorzkich ziół wrzucanych do ognia, z wnętrzości psów? Z tego, jak układają się drzewa w porannym wietrze, kiedy idziesz do szkoły, z kropel, które spłynęły po ścianie pierwszego tego dnia kubka z kawą? Czy można odczytać te wiadomości najważniejsze – nie, kim będziesz w przyszłości, ale czy dziś nie wpadniesz pod koła samochodu, czy nie przydarzy ci się wypadek? Czy takie znaki istnieją? I czy człowiek potrafi je odcyfrować? A może da się je rozpoznać, tylko kiedy już wszystko się dokonało, już po wszystkim – we wspomnieniach, a nigdy przedtem? Wyszedłbyś z domu, czy nie wszedł, gdyby dzień wcześniej podeszła do ciebie na dworcu pijana Cyganka i schrypniętym głosem wywróżyła śmierć, twoją i tylko twoją?

Wioleta nigdy o tym w ten sposób nie myślała. Zastanawiała się teraz, skąd biorą się takie myśli. Przestraszyła się jeszcze bardziej. Bo czy tak właśnie nie przychodzi do człowieka śmierć? Czy właśnie tak wyglądają te ostatnie chwile, kiedy za moment umrzesz, a świat nie musi już chować przed tobą swoich tajemnic? Bała się. Ale myśli odejść nie chciały.

Co by było, gdyby wczoraj później wróciła do domu, przeziębiona i nie poszła do szkoły? Albo gdyby z Lidką – o Boże, co z Lidką?! – olały dziś lekcje, prysnęły do Wrocławia zaraz po pierwszej godzinie? Albo gdyby pokłóciła się na serio z ojcem – czy w ogóle zawracałaby sobie jeszcze głowę szkołą? Albo gdyby mama tu była, nie wyjechała, a ona nie wymknęła się z lekcji do łazienki, nie musiała zapalić? Co wtedy? Czy leżałaby teraz z głową w aureoli krwi, z pustym wzrokiem, z odłamkami zębów w przestrzelonych ustach, zabita gdzieś pod ścianą?

I najważniejsze: czy od takich myśli, jałowych, fałszywych – bo przecież przeszłości, tej własnej, małej, zmienić nie sposób – nie można oszaleć?

Spróbowała sobie przypomnieć, co w takich sytuacjach zalecają telewizyjni spece od psychologii. Zdziwiła się, jak wiele rzeczy pamięta, wszystko kiedyś raz przeczytane, przeglądnięte szybko newsy na Interii czy Onecie. A więc: myśl pozytywnie. Nie trać nadziei, nie trać głowy. Wszystko się skończy i kiedyś będziemy się z tego śmiali. (Nie, nigdy nie będziemy się z tego śmiali). Myśl o czymś przyjemnym. Wioleta próbowała.

Kiedyś ojciec zabrał ją na biwak. Miała jedenaście czy dwanaście lat i zastanawiała się, czy tato nie wolałby mieć syna. Choćby ten biwak: najpierw, ubrani w maskujące kamizelki i spodnie z kieszeniami na kolanach, cały dzień łapali ryby. Ojciec z powagą uczył ją nawlekać na haczyk dżdżownice, które nocą razem wykopali w świetle latarki. Wioleta niby trochę się tego brzydziła, na początku nie chciała wbijać cienkiego ostrza w śliskie ciało robaka, ale przecież patrzyła zafascynowana. Ojciec nawet spytał ją, czy nie woli łowić na ciasto. Ale nie, pokręciła głową, jak biwak to biwak, ryby to ryby. Oni je potem przecież i tak zjedzą, to teraz taki unik, takie oszustwo, byłoby niesprawiedliwe, tyle już wiedziała.

Ojciec złowił siedem sztuk, ona pięć, z czego trzy musieli wypuścić, bo były za małe. Ojciec sumiennie mierzył z nią każdą płoć i leszcza, do dziś pamiętała, jak śliskie, pokryte łuską ciała prężyły się w jej małych dłoniach, pamiętała nieruchome spojrzenia ryb, kiedy ojciec wykłubał im haczyki z przemocą rozchylanych szeroko paszczy. Potem je razem oprawili, pokazał jej, jak cienkim nożem skrobać łuskę i rozcinać brzuch, jak wyciągać wnętrzności i wykrawać skrzela albo odcinać razem z nimi całe głowy, żeby mięso nie było gorzkie. Jak się potem dowiedziała, dużo później, kiedy podrosła, ojciec długie lata był harcerzem, a w czasie studiów odsłużył nawet pół roku szkółki oficerskiej, i takie wypadki to nie było dla niego nic nowego.

Ale dla niej rozkrwanie rybich brzuchów i filetowanie bezgłowych korpusów, które potem mieli upiec na ognisku, razem z kiełbaskami, to było trochę za dużo. Wieczorem, już przy ogniu, przed podłużnym harcerskim namiotem, który też rozbili wspólnie, a ojciec pokazał jej, jak wciskać nogą śledzie w ziemię i jak najlepiej naciągać linki, żeby się nie potknąć o nie przy wychodzeniu, gdy już zjedli ościste ryby i pyszne kiełbaski, powiedziała mu o tym. To były jeszcze czasy, kiedy umieli ze sobą rozmawiać. Tato, ale ja przecież jestem dziewczynką. Nie chłopcem. Ja nie umiem łapać ryb i nabijać robaka na haczyk. Zburzył jej wtedy włosy znanym gestem, trochę szorstkim, ale wyzbytym wstydu, który tak jej się podobał, choć zawsze udawała co innego, i odpowiedział poważnym tonem, jakby odpowiadał dorosłej osobie, co bardzo jej imponowało. Ależ ja to wiem doskonale. No przecież wiem. Jesteś moją królewną. Najpiękniejszą pod słońcem. Najlepszym, co mnie w życiu spotkało.

„Najlepszym, co mnie w życiu spotkało”, powtarzała bezgłośnie, samymi ustami, kiwając się tam i z powrotem na brudnym sedesie. Siedziała z nogami podciągniętymi pod brodę, w śmierdzącej szkolnej toalecie, wśród odrapanych ścian. Po twarzy wolno spływały jej zimne łzy.

Półtora roku temu po raz pierwszy zaczęło się między nimi psuć na poważnie. Wiolety nie było w domu, miała wakacje i wyjechała na kolonie, dwa tygodnie we Włoszech. Wieczorem na trawniku grały głośno świerszcze, zrobili przeciąg, przez uchylone okno wpływało gęste powietrze, dopiero stygnące po gorączce dnia. Pachniało nagrzaną ziemią i odległą burzą. Nocą powinno padać, wreszcie.

Właśnie zrobił sobie przerwę w sprawdzaniu papierów i wszedł do kuchni, żeby nalać wyciągniętej z zamrażalnika kłującej w zęby coli. Mokra koszula lepiała się do ciała, a Horowitz marzył już tylko o długiej, chłodnej kąpieli, pod koniec której zrobi mu się w wannie naprawdę zimno i na przedramionach pojawi się gęsia skórka, i o tym, żeby wreszcie dolać

sobie do coli Jima Beama, zdrowo, na pół szklanki, dorzucić garść lodu i wypić duszkiem, a potem poprawić, już nie taką siekierą, położyć się w chłodnej wodzie, sączyć zimnego drinka i zamknąć oczy. Jednak na razie stęskniony Jimmy musiał poczekać grzecznie na swoją kolej, firma miała pierwszeństwo. Beata piła gorącą zieloną herbatę i przy stole w kuchni czytała materiały na jakąś konferencję. Zawsze się dziwił, jak można pić wrzątek w taki skwar. Świetnie gasi pragnienie, masz, spróbuj, przekonywała go kiedyś żona. No jasne, jeszcze czego. Takie coś to mogli wymyślić tylko tybetańscy mnisi, którzy teraz siedzą na ośnieżonych szczytach Himalajów, przyjemnie odmrażają swoje chude tyłki i zaśmiewają się z frajerów, którzy kupili taką bzdurę.

— Wioleta dzwoniła — rzuciła znad wydruków. Para z kubka wirowała wolno w prądzie powietrza zza okna.

Horowitz był zmęczony.

— Wioleta dzwoniła — powtórzyła Beata.

Dalej nalewał pieniącą się colę.

— No i?

— „No i”? „No i”?! Twoja córka jest za granicą, dzwoni do domu, a ty potrafisz tylko powiedzieć „no i”? A może jej się coś stało, co?! O tym nie pomyślałeś?

Odetchnął. Był zły.

— Stało się coś?

Beata zacisnęła usta w wąską linię, wydeła je charakterystycznie, jak zawsze, kiedy się nakręcała, zaczęła oddychać głośno przez nos, raz, raz, jakby próbowała się uspokoić. Ale to działało właśnie w drugą stronę i Horowitz zdawał sobie z tego sprawę. Ale był zmęczony. Schował butelkę i z żalem zamknął bijącą mrozem zamrażarkę. Beata odłożyła wydruki na stół.

— Czy ty jeszcze miewasz czas na coś więcej niż ta twoja pieprzona praca?

— Beata, nie...

— Co „nie”, co „nie”? Czego mam nie zaczynać? — Oddech, i kolejny, wargi jak sina kreska, zmrużone oczy. I Horowitz już wiedział. Tym razem nie zakończy się na kilku mruknięciach. — Ja ciebie pytam poważnie, Jerzy. Czy ciebie jeszcze coś w ogóle w tym domu obchodzi?

— Nie mam dziś sił na takie...

— No jasne, jasne. Nie masz sił. A kiedy będziesz miał, co? Jutro, pojutrze? Nigdy?

— Szlag! Cholera jasna... Beata... Cały dzień zapieprzam w pracy jak jakiś robocik, wstaję rano, zapierdalam do nocy, a potem kiedy przychodzę, to zamiast cześć, kochanie, jak ci minął dzień, co, zmęczony jesteś, chodź, napuściłam ci wody do wanny, słyszę tylko w kółko, że ciebie w domu już nic nie obchodzi, nigdy cię z nami nie ma! A kiedy mam być?! Dla kogo ta cała praca, no? Co, do ciężkiej cholery?! Dupę truć umiesz, okej, tu się zgadzamy, a faktury też, kurwa mać, zrobisz za mnie?!

— Przestań chrzanić, ja też pracuję...

— To zacznij płacić rachunki. — Nie przestawał mówić. Cedził wolno, jakby coś w niego wstąpiło, jakby diabeł, który cały dzień podkręcał temperaturę i palił w piecu słońca, przysiadł właśnie na parapecie i teraz zza okna szczyrzył do nich swoją martwą paszczę. — I skończmy ten temat. Nie mam dziś na to siły, nie tym razem. Zarób, wyślij Wioletę na wakacje, to potem mi będziesz dawała wskazówki. Co? No, nie słyszę? Wioleta dzwoniła, no dobra. Co, pierwszy raz? Dobra, kurwa. No to słucham. Co to takiego ważnego? No? Proszę. Stało się coś? Nie. Ja pierdołę, nic się nie stało. No oczywiście. To po co ta cała gadanina?

Beata siedziała, zaciskała tylko coraz mocniej pięści. Ale Horowitz nie umiał się już zatrzymać. Wreszcie po jej policzku spłynęła łza, jedna, potem druga. To nie był żal, to była wściekłość. Czysta, najczystsza nienawiść. Opamiętał się dopiero wtedy.

— Jerzy... Niech cię szlag. Ale z ciebie dupek — wyszeptała. — Ty nigdy nie byłeś dobrym ojcem.

Do dziś miał dreszcze, kiedy przypominał sobie ten głos, taki zimny, obcy. Cholera, cholera jasna. Ależ on był dupkiem; już wtedy, kiedy zaczynała szeptać, wiedział to wyraźnie.

Pogodzili się pod koniec tygodnia, jeszcze zanim Wioleta wróciła z wyjazdu. Horowitz kupił wielki bukiet róż, ciemnoczerwonych, prawie purpurowych, i czuł się jak debil, jak bałwan z jakiegoś amerykańskiego filmu, co w takim bukiecie było oryginalnego? Ale kiedy wracał z nim do milczącego domu, tym razem wcześniej, z mocnym postanowieniem uczynienia tej godziny powrotu normą, było mu jakoś lepiej z pachnącym ciężarem w ręce. Banał nie banał, ale bukiet uspokajał. Choć łatwo nie było. Serce miał wysoko w gardle i czuł się jak szczeniak, który pierwszy raz idzie poprosić szkolną gwiazdę na randkę. Tym razem naprawdę dał ciała.

Kiedy ją przeproszał, z trudem, bardziej chrypiąc, niż mówiąc, bo wydobywanie głosu z gardła zrobiło się nagle nazbyt trudne, Beata też pękła, popłakała się, tym razem naprawdę, nie łzami, które płyną z bezsilności. Pogodzili się. Minął rok. Potem odeszła, by już nie wrócić.

Horowitz siedział w samochodzie z przymkniętymi oczami i ścisnął głowę w dłoniach. Silnik na luzie buczał miarowo. Radio grało, jakaś uspokajająca muzyka, pewnie emitowana specjalnie, żeby nie podgrzewać temperatury, przerywana od czasu do czasu nowymi komentarzami. Konkretnych wiadomości nie było. Kiedy powtórzyli jeszcze raz nagranie słuchaczki, poczuł się, jakby ktoś mu przejechał żyłką po gałce ocznej, raz i jeszcze raz, i znowu. Aż nim zatelepało, uniosły się włosy na karku. Jakby ktoś ostrzył nóż na złamaniu otwartym pieszczeli, kiedy strzaskana kość, jak oszczep, przegryzła się ostrym złomem przez skórę.

O Boże.

Co robić?

Wyjął telefon komórkowy. Wystukał numer policji. Ile to było, cholera jasna. 999? 997? 997. Numer zajęty. No jasne, jasne, jeśli to prawda, tam się muszą teraz telefony urywać. Szlag, szlag, jasny szlag! O Boże.

Jeśli to prawda.

Wybrał na wyświetlaczu numer Wiolety. Nacisnął wybieranie – i zaraz wyłączył. Myśl, myśl, człowieku, kurwa mać, to już nie zabawa. Myśl. A co, jeśli ona akurat siedzi gdzieś za drzwiami, pod ławką – o Boże, o mój Boże; daj spokój, kurwa, weź się w garść!; i myśl – a ty do niej zadzwonisz? Co wtedy? Telefon ryknie jak alarm samochodowy, rozedrze się jak stary pijak po winie, co wtedy? Jeśli to zwróci na nią uwagę... (Myśl, myśl, weź się w garść!). Czy będziesz umiał z tym żyć, potem?

Horowitz ścisnął głowę w dłoniach, jakby chciał zmiażdżyć czaszkę. Dotarło to do niego, oblał go zimny pot. Już nigdy nie będzie żadnego potem. Nic już nigdy nie będzie takie, jak było.

Ty nigdy nie byłeś dobrym ojcem.

Skuleni, nasłuchiwali najmniejszego szmeru zza drzwi. Chrobotu szkła miażdżonego podeszwą, gasnącego echa oddalających się kroków. Uczniowie przykucnęli daleko od drzwi, pod ścianami, kilku pod oknem, przy ciężkich szafach ze sprzętem audio. Większość, przytulona do siebie, skuliła się przy przeciwległej ścianie. Słysząc było tylko szept modlitw, dławione szlochy, silniejsze niż instynkt, pragnienie, żeby tylko nie zwrócić na siebie uwagi, żeby wtopić się w tło, bo tylko to, kiedyś na gorącej sawannie i w tropikalnej głuszy, rozbrzmiewającej wysokim gwizdem ptaków i szczekaniem nawołujących się małą, tylko to mogło przynieść ocalenie, zakamuflować przed śmiercią. Ktoś, patrząc przez łyż, rozdygotanymi palcami pisał SMS-a, najpierw wyłączając dźwięki, wibracje, wszystko, żeby nie kaleczyć ciszy. Nasłuchiwali.

Wcześniej, kiedy ucichła pierwsza kanonada i strzały zaczęły odzywać się sporadycznie, przypadkowo, w różnych częściach szkoły, raz bliżej, raz

dalej, tłumione przez ściany, kilku chłopców zastanawiało się, czy najlepszym wyjściem nie byłoby wyskoczenie przez okno. Ale na podwórku, w kałużach brudnej czerwieni, zmieszanej z pyłem betonu, krzepnącej, odbijającej niskie cielska chmur brzemiennych śniegiem, wciąż dogorywali uczniowie, którzy wyskoczyli w pierwszym ataku paniki, być może kiedy drzwi ich klas otworzyły się i nie było już dokąd uciekać. Nikt nie odważył się pójść w ich ślady.

Pod drzwi, jakby to mogło jakoś pomóc, przyciągnięto ławki, nauczycielskie biurko, tworząc prowizoryczną barykadę. Ale chrobot stali na parkiecie ranił uszy, kroki wbijały się w podstawę czaszki jak gwoździe. Wszyscy w pewnym momencie zamarli, kiedy klamka jakby drgnęła, a potem wyraźnie, wolno opuściła się, raz i drugi. A potem, co było jeszcze straszniejsze, najbardziej przerażające ze wszystkiego, co wydarzyło się w ostatnich minutach, choć trudno im było sobie wyobrazić jeszcze większą zgrozę, za drzwiami zaczął ktoś szeptać łamiącym się, zapłakany głosem. Proszę, to ja... o Boże, to nie oni, to ja... o Boże, to tak bardzo boli... wpuście mnie, proszę, błagam, wpuście... O Boże, o Boże, obożeobożeoboże... proszę, błagam, błagam... zaraz mnie zabiją. A potem z oddali usłyszeli wolne, niespieszne kroki, raz, przerwa, raz, odmierzające wolno czas, już się nie musiały spieszyć, klamka w drzwiach odskoczyła do góry, po posadzce korytarza ktoś zaczął się czołgać w panice, powłócząc bezwładnym ciałem na lastryko, a upiornie regularne kroki szły wolno, nie przyspieszyły, ale nie musiały, już nie, a potem był gorączkowy szept, piskliwy, wysoki, którego słów nie rozumieli, i zwierzęcy skowyt, głos przerażenia i strachu, i strzał.

Niektórzy uczniowie zaciskali pięści, inni uderzali potylicą o ścianę w spazmatycznym ruchu, jakby w ten sposób mogli odciąć się od rzeczywistości, nie słyszeć nic; w klasie rozległy się dźwięki wymiotowania. Kiedy, z trudem, oderwali wzrok od drzwi, spojrzeli

niewidzącym wzrokiem na swoje sinozielone twarze. Tam właśnie ktoś umarł. A potem przysła cisza.

Ale Ewa Plutar już tego nie widziała. Już jej nie było w klasie.

Pierwszy raz znalazła się w Krainie, kiedy miała siedem lat. Rodzice wtedy pokłócili się bardzo, zapomniała już o co, ale pamiętała krzyki, i to, jak mocno pragnęła, żeby te głosy ucichły. Żeby więc zwrócić na siebie uwagę, by móc poprosić, aby mama z tatą wreszcie przestali się kłócić, ściągnęła z wysokiego stołu płócienny obrus, bo to, jak już wiedziała, zawsze skutkowało. Tym razem też jej się udało, nawet lepiej niż zwykle. Przy krawędzi stołu stał wysoki dzbanek z dopiero co zaparzoną herbatą. Kiedy pociągnęła obrus, naprawdę mocno, ceramiczny pojemnik zachwiał się niebezpiecznie, a potem przewrócił z chlupotem. Ukrop oblał jej szyję i bark, górną część pleców i prawe ramię, chlasnął ogniem bok brzucha. Rodzice, gdy to zobaczyli, wprawdzie nie przestali krzyczeć, ale teraz przynajmniej nie krzyczeli już na siebie. Uśmiechnęła się, zadowolona. A potem zemdląca.

Obudziły ją ból i ciemność. Obce miejsce, obce ściany, długie cienie rzucane przez odległe latarnie z za bezwstydnie nagiego, nieosłoniętego żadną zasłoną okna. Leżała, obandażowana, podłączona do kroplówki, ale z pulsującego ciała uciec się nie dało. Kiedyś już znalazła się w takim miejscu, całkiem niedawno, kiedy ciocie urodziły się bliźniaki. Ale wtedy była razem z nią mama, świeciło słońce i nie znajdowała się tam sama. Szpital. Jeszcze sprzed ery misiów-maskotek i kolorowych ścian, uśmiechniętych pielęgniarek i miłych doktorów, którym za kilkanaście lat w obchodzie będzie towarzyszył duży pluszowy Kubuś Puchatek. Rozglądnęła się, z trudem przechylając głowę, przez przezroczystą nitkę kroplówki, podświetlaną blaskiem z za okna, powoli sączył się mętny płyn. *Kap.* Sekundy płyną. *Kap.* Mamusiu, czy to musi tak boleć? *Kap.*

Zaczęła cicho pochlipywać, ale nawet szloch nie chciał się precyzyjnie przez wyschnięte gardło. Spróbowała się szeptem modlić, Aniele Boży,

strózu mój, modlitwą, której nauczyła ją mama i którą wspólnie odmawiały co wieczór przed snem. Drżące słowa potykały się na spierzchniętych wargach, zataczały jak pijane. Płyn z kroplówki sączył się i znikał w zakończonej plastikowym uchwytem długiej igle, którą wbito jej w przedramię. Pewnie miała dzięki temu spać całą noc i pewnie dzięki temu miało ją przestać boleć. Może nawet spała, może to wszystko był sen – ale i tak się bała. Bolało. Była noc, była w szpitalu i była tu sama. Nie, nie sama.

Kapitan Krzyżak stanął w kącie pokoju i przyglądał się jej uważnie. Samo określenie „przyglądał się” w stosunku do niego nabierało zresztą dodatkowego znaczenia: Kapitan Krzyżak miał twarz wyglądającą jak włochata paszcza pająka, z czterema parami czarnych i błyszczących nieruchomych oczu, jedną większą i trzema mniejszymi, rozłożonymi na całej pseudotwarzy, z ruchomymi szczękoczułkami, rytmicznie zaciskającymi się i rozsuwającymi. Przypominał trochę postać z *Pszczółki Mai*, puszczonej właśnie w dobranocce, która mogłaby się w niej pojawić, gdyby chciano kogoś przestraszyć. Oprócz tego wyglądał prawie normalnie – miał ludzką sylwetkę, narzucony na ciało gruby, pocerowany sweter i spodnie w zielono-czarne wojskowe łaty.

— Cz... cześć... — wyszeptała na granicy dźwięku. — Kim jesteś?

Nie odpowiedział.

— Czy ja... Czy ja nie żyję?

— Witaj, Hawwa. Boisz się?

— Ja... Nie, nie boję się pana, panie Krzyżaku. I na imię mam Ewa.

— Wiem, Hawwa, wiem, jak masz na imię. Mam odejść?

Kap. Kap. Kap.

K

a

p

— Nie, panie Kapitanie.

Twarz Kapitana Krzyżaka pozostała nieprzenikniona. Jak się później zorientowała, pozostawała taka zawsze – Kapitan nie umiał się uśmiechać, krzywić, marszczyć brwi, wydymać warg, których nie miał. Czasem tylko szczękoczułki poruszały się szybciej, a czasem zamierały na chwilę, ale nie na długo, by zaraz znów ruszyć swoim zwykłym rytmem, i to było już wszystko.

— Chodź. I nie bój się.

— Wiem, panie Kapitanie. Nie boję się.

Wychynął z kąta i podszedł do jej łóżka. Wyciągnął dłoń, przypominającą ludzką, ale wyposażoną w jakby więcej cieniutkich palców, dłuższych niż normalne, mających więcej gruzłowatych stawów i pokrytych szorstką, ciemną szczecina. Każdy z niby-palców zakończony był ostrym, gładkim i twardym pazurkiem, śmiesznie gilgoczącym, kiedy wzięła go za rękę.

— Chodź — powtórzył.

I weszli do Krainy.

Starszy sierżant Edward Brudziak miał już swoją opowieść policyjną. Była stara i wypłowiała przez lata, opowiadana setki razy nad kieliszkiem wódki wygładziła się na kantach dwuznaczności i wyslizgała na zagięciach faktów ze wspomnieniami, ale była jego, a on nie potrzebował już innej.

Był początek lat osiemdziesiątych, Wrocław, zima, kolejny rok po wprowadzeniu stanu wojennego. Czołgi już nie stały na ulicach, ale na rogatkach dalej ogrzewano się przy koksownikach, na spękanych chodnikach leżał zmrożony, chrzęszczący pod podszwami kozaków śnieg. Niebo wyglądało jak betonowa ściana, sina i chropowata, pokryta zlodzoną wydzieliną zacieków i odłupująca się dużymi, ciężkimi płatami zmrożonego tynku. Wciąż obowiązywała godzina milicyjna, a oni dalej patrolowali ciemne ulice, nad którymi szybko zapadał zmierzch. Teraz

jednak ludzie bali się wychodzić po zmroku z mieszkań nie tylko ze względu na ich patrole.

Polska Ludowa знаła kilka takich spraw. Mówiło się o nich niewiele, bo przecież w kraju realnego socjalizmu ludziom może się pomieszać w głowie tylko z nadmiaru szczęścia, człowiekowi ludowemu nie odpierdala szajba i nie biorą go w posiadanie demony, bo na demony nie ma miejsca w uporządkowanym świecie materializmu dialektycznego. Ale przecież były. Stanisław Modzelewski, wampir z Gałkowa – żołnierz Ludowego Wojska Polskiego, który najpierw dusił swoje ofiary, a potem je gwałcił. Karolek Kot, maturzysta technikum energetycznego, socjopata absolutny, który zanim zatrzymała go milicja, zabił dwie osoby, dziesięć zabić usiłował, pił krew swoich ofiar, kolekcjonował noże, osobiście asystował przy pracy rzeźnika, bo, jak opowiadał później podczas wizji lokalnych, zupełnie się nie wstydząc tego, co uczynił, lubił patrzeć na rozrywane mięso. Zygmunt Bielaj – Diabeł Poznański, po wojnie szanowany dziennikarz, w czasie wojny szpieg NKWD, który przeniknął w szeregi Armii Krajowej – oskarżony w końcu o zabójstwo płockiej lekarki, ale mający na rękach także krew wracającego z oflagu polskiego oficera, bo był mu potrzebny jego motor, i ekspedientki, której zwłoki poćwiartował w czasie wojny i wrzucił do kanału. Najbardziej znany Zdzisław Marchwicki, wampir z Zagłębia, który w latach sześćdziesiątych uderzeniem w głowę zabił ponad dwadzieścia kobiet, w tym bratanicę Edwarda Gierka, a potem gwałcił ich zwłoki. Kiedy go wreszcie złapano i stracono, milicja kazała wykonać jego pozłacaną maskę pośmiertną, która skopiowana i pomniejszona, trafiła do rozpracowujących jego sprawę śledczych, jako trofeum i dowód na złapanie ludzkiego monstrum.

Wśród nich był również Zygmunt Hyl, zwany Wieśkiem, Samotnik z Wrocławia, którego sprawa też nie przeciekła do głównego obiegu, na pierwsze strony „Trybuny Ludu” i do ogólnopolskiego Dziennika Telewizyjnego.

Ale, jeśli chodzi o Brudziaka, nie musiała. I tak wiedział o niej za dużo.

Wrocławianie zaczęli ginąć od połowy listopada. Nie tylko kobiety: obok dwóch prostytutek i krawcowej ze spółdzielni wśród ofiar znalazł się również urzędnik magistratu i wyrośnięty wychowanek Hufca Pracy, któremu, jak się zastanawiano na komendzie, byle chłystek nie mógłby dać rady. Był to rok wczesnych śniegów i smutnych oczu, kiedy nadzieje Solidarności wzięły w łeb, a ludziom nie chciało się już nic. Był to też rok śmierci w bramach, krwawych rozbryzgów zamierzających szybko na śniegu.

Ofiary znajdowano strasznie pocięte, rozczłonkowane, za każdym razem trudno było je rozpoznać i doliczyć się wszystkich fragmentów ciała. Dziennikarzom rzecz jasna zabroniono o tym pisać, jeśliby ktoś pisał choć słowo, do końca życia relacjonowałyby dożynki na Lubelszczyźnie, ale ludziom gazety nie były potrzebne, wiedzieli swoje. Dlatego wieczorami patrole w przytulnych Nyskach nie miały wiele roboty. A kiedy Brudziak nie patrolował ulic, wraz ze starszym kolegą i z innymi dwójkami operacyjnymi chodził od domu do domu i wypytywał, próbując natrafić na jakikolwiek trop sprawcy.

Robota była żmudna i nudna. Mając kilka zeznań i oględziny miejsc pięciu odkrytych zbrodni, śledczy z Komendy Wojewódzkiej i specjaliści z Urzędu Bezpieczeństwa wytypowali kilkanaście cech psychofizycznych, którymi ze sporym prawdopodobieństwem powinien charakteryzować się sprawca. Potem na ich podstawie wytypowano dziewięćdziesięciu sześciu podejrzanych z milicyjnych kartotek. A jeszcze potem patrol Brudziaka dostał część z wytypowanych nazwisk do sprawdzenia i milicjanci zaczęli łączyć po rozpadających się poniemieckich kamienicach.

Po odwiedzeniu kilkunastu nor, śmierdzących wilgocią, rozgotowaną kapustą, palonymi szmatami i denaturatem, z których wyglądały stwory tylko trochę przypominające ludzi, starszy posterunkowy Brudziak miał dosyć. Był luty. Zapadał szybki zmierzch. Stopy przemarzły mimo grubych

węlnianych skarpet, zrobionych przez matkę, pod zimową milicyjną kurtką gwizdał wiatr. Wtedy zapukali do kolejnego z mieszkań. Nikt nie otwierał, ale ich wcześniejsi podejrzani nierzadko nie mogli nawet podejść do drzwi o własnych siłach, tak byli napompowani borygo, żeby nie zamarzli, wiadomo, Brudziak popatrzył zatem na partnera i na próbę nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły.

Zygmunt Hyl mieszkał sam w niewielkiej pokojowej, składającej się w zasadzie jedynie z kuchni – stolik pokryty ceratą, na blacie szklanka z grubym osadem po setkach wypitych w niej mocnych herbat, wysoko w górze brudne firanki nad zastawionym tekturą świetlikiem, przez który nie można było ani zajrzeć do środka, ani wyjrzeć na zewnątrz, na taborecie pośliznęła balia z mętnymi mydlinami – i umoszczonego pod jedną z jej ścian barłogu. Lokum wydzielono z dużego poniemieckiego pomieszczenia, najprawdopodobniej starej pralni albo suszarni, bo w środku znajdował się oryginalny przewód kominowy, do którego Hyl zamontował osmolony piec.

Rurę kominową grubo owinięto gazetami, ale to nie pożar był głównym zmartwieniem lokatora, tylko zaccadzenie. Piecyk kopał niemiłosiernie i Brudziak, widząc na uchylonej fajerce cynowej czajnik z osmolonym denkiem, pomyślał z obrzydzeniem, ale i współczuciem, jak to się człowiek musi namęczyć w życiu, żeby wypić choć szklankę herbaty w mroźny dzień. A potem zobaczyli gospodarza, chudziutkiego małego człowieczka z wąsikami i ciemną szczeciną na policzkach, o śniadej, cygańskiej karnacji, który w podkoszulku na ramiączkach i ubrudzonych workowatych spodniach klęczy nad rozłożonym szarym papierem pakowym i wpatruje się w nich pustym wzrokiem. I już wiedzieli. Możliwość zaccadzenia to też nie był jego największy problem. Zygmunt Hyl kroił zwłoki.

Brudziak nie od razu rozpoznał, co leży na wilgotnym papierze, poporcjowane na niewielkie kawałki, które mieściły się w uchylonych drzwiczkach piecyka. Ale potem poczuł słodki zapach spalenizny i go

zemdliło. Spojrzał na papier. Leżała na nich ludzka ręka. Cała, po bark, z obranym z mięśni ramieniem i sino napuchłą dłonią o smukłych niegdyś palcach.

Nie spanikowali, nie zgięły ich torsje, nie zakatowali Hyla na śmierć, choć mogli, przecież trzymał nóż o wąskim ostrzu, dobry do filetowania ryb. Włosy tylko uniosły im się pod milicyjnymi czapkami, tak naprawdę, na pół centymetra, poczuli, jak jeży im się skóra. Świercz, starszy kolega Brudziaka, wyszarpnął z kabury broń i drżącym głosem kazał odrzucić nóż. I tyle, pełne zawodowstwo, jak powiedziano by dwadzieścia lat później, już w kapitalizmie: pełny profesjonalizm. Po wszystkim Edward sam się dziwił, jak to mogło się skończyć w ten sposób, tak spokojnie.

Hyl wstał, odrzucił nóż. Wyglądał na bardzo udręczonego, a w jego pustych oczach, jak dwa węgielki, odbijała się czarna pustka wszechświata. Brudziak, wyższy przynajmniej o głowę, ubezpieczony przez kolegę, założył mu kajdanki i mocno ścisnął. Świercz wyszedł zatelefonować, żeby przysłali po nich radiowóz, a on został z podejrzanym sam. I to był błąd.

Opowiadając później wielokrotnie o tym aresztowaniu, o Samotniku z Wrocławia i niedobrej zimie '82 roku, najczęściej późno w nocy, wśród innych psów z wydziału, tocząc przydymionym przez alkohol wzrokiem, Brudziak wielokrotnie wspominał wygląd makabrycznej pakamery i pozostałości kości znalezionych w piecyku, w wypalonym żużlu, gnijące gazetowe pakunki ze szczątkami ciał i mdlący smród, z którego obecności zdał sobie w pełni sprawę dopiero po wyjściu Świercza, kiedy adrenalina przestawała kipieć w żyłach. O takich szczegółach późniejszy starszy sierżant wspominał z detalami. Ale nigdy nie zdradził, co powiedział mu zatrzymany w czasie tamtych piętnastu minut, kiedy zostali sami. Czy mówił cokolwiek, w ogóle otworzył szczerbate usta, w których brakowało większości zębów, w tym górnych jedynek? I jeśli tak, to co mówił, jak wyjaśniał swoje zbrodnie? Przecież podczas przesłuchań i rozprawy nie

zdradził się już z niczym, tylko obcym wzrokiem wpatrywał się w ludzkie twarze.

Później koledzy podpytywali Świercza, jak to było, czy Hyl rozmawiał z Brudziakiem, czy nie, a on opowiadał im o stłumionych głosach dochodzących zza drzwi, kiedy wracał po wykonaniu telefonu do komendy. Ale czy naprawdę coś słyszał, czy po latach nawet Świercz dał się omamić wydziałowej legendzie? Brudziak wszystkiemu zaprzeczał. Ale od tego zdarzenia przestał się wychylać na patrolach, robił tylko tyle, ile od niego wymagano, ani grama więcej, unikał dodatkowych służb – Polska Ludowa wreszcie doczekała się kolejnego porządnego obywatela – a w końcu zdołał się przenieść za biurko na prowincję. I tyle, jedna twarda policyjna historia mu wystarczyła.

— No, Małolat! Wskakuj do wozu — Dziadek warknął przez uchylone w samochodzie okno. Silnik vento pracował miarowo. — No wsiadaj, kurwa, kolombo pierdolony — powtórzył sierżant, jakby się bał, czy chłopak w końcu czegoś nie usłyszy.

Zmierzając pod budynek liceum, Brudziak zajechał najpierw pod ogródki działkowe rozciągające się za szkołą. Ponoć kiedyś znajdował się tu stary pruski cmentarz i być może dlatego do tej pory, nawet za Gierka, nie wybudowano w tym miejscu jeszcze osiedla. Stanęli przy drodze, prowadzącej nieco podwyższonym wałem, dzięki czemu mieli widok i na ogródki, i na szkołę w oddali. Wysiedli z wozu, nie gasząc silnika. Nasłuchiwali. Nic. Brudziak szybko wrócił do radiowozu. Wiatr świszczął, cięty przez nagie gałęzie drzewek owocowych, stukały puste plastikowe butelki, zeszłego lata porozwieszane w koronach, żeby straszyć ptaki, kiedy owoce zaczną dojrzewać. Budynek szkoły z tej odległości wydawał się martwy i opuszczony.

Rafał wreszcie wsiadł do samochodu. Nie usłyszał niczego podejrzanego.

— Jasny szlag... No powiedz sam, Małolat, czy to całe gówno musiało się przytrafić akurat nam...? — Dziadek nie przestawał mamrotać swoich zaklęć.

Od strony miasta szkołę od najbliższych zabudowań oddzielała długa ulica, zalany asfaltem pas ziemi niczyjej. Po jednej stronie Krasickiego, tej bliższej liceum, stały stare magazyny otoczone murem pobielonym wapnem, w których w latach dziewięćdziesiątych mieściło się kilka hurtowni i duży skup butelek, a teraz stały puste i niszczały za zamkniętymi na zardzewiałe kłódki bramami. Uczniowie niejedną raz przeskakiwali przez ten mur i na zdewastowanym terenie pili w sobotnie wieczory piwo, owoc zakazany, który jeszcze lepiej smakował w takiej bliskości szkoły. Po drugiej stronie ulicy na wietrze kołysała się drucziana siatka, za którą rozciągał się sad, broniony przez skorodowaną tabliczkę z napisem „Teren prywatny”, zarośnięty wyschłymi badyłami i zdziczałymi krzakami porzeczek.

Podjeżdżali wolno, zasłonięci przez brudnobiały mur magazynów, budynek szkoły był widoczny przez korony topoli stojących na jej dziedzińcu. Jak w najbardziej klasycznych amerykańskich filmach: policyjny wóz na środku pustej ulicy, za oknami wietrznie, słońce i cień, żadnego przechodnia. A oni jadą, w ciszy, radio wyłączyli już wcześniej, jadą wolno, metr za metrem, jakby się umówili, nerwowy nastrój udzielił się im obu. Oddechy świszczą, jak gdyby ktoś zasypał płuca piaskiem, powietrze z trudem przeciska się przez wydmy krtani, oddechy ciężkie, kwaśne, gorące. Po karkach spływają wielkie krople potu.

Podjeżdżają wreszcie pod uchyloną bramę szkoły, w ciszy absolutnej, ciszy doskonałej, choć silnik ciągle pokasłuje na sprzęgle, Dziadek musi się nachylić, żeby ogarnąć wzrokiem cały dziedziniec. Samochód się zatrzymuje, a oni widzą ciała, karykaturalnie rozrzucone na podwórku, pod długą ścianą budynku z poczerńiałej od lat cegły. I dopiero po chwili rozpoznają to, co widzą: zwłoki leżące nieruchomo przed szkołą, wybite

oczodoły okien, czarne, straszące pustką, okolone kruchymi rżęsami szklanych odłamków i porwanymi sztandarami zwieszających się bezwładnie rolet.

Ciała.

I nagle z jednego z czarnych oczodołów błyska – dopiero w ułamek sekundy potem słyszą przytłumiony huk. Dociera to do nich jak przez watę, jak we śnie: ktoś zaczyna do nich strzelać. Beton na podwórzu i asfalt na ulicy kipią, pryskają suchym pyłem kamiennych odłamków, kilka gładkich wgłębień pojawia się też na masce silnikowej samochodu, a oni czują uderzenia w metal, rozchodzące się po całym wnętrzu wozu. Huk kanonady za oknami zlewa się w jeden dźwięk i nie ustaje. I dopiero wtedy uświadamiają sobie, co tu się naprawdę dzieje.

— O kurwa, o kurwa, o kuuuurwaaaa! — Dziadek wrzucił wsteczny i wcisnął gaz tak mocno, jak umiał.

Samochodem szarpnęło, silnik prawie zgasł, zarzęził, ale wytrzymał, auto ruszyło zygzakami, piszcząc wściekle paskiem klinowym i z trudem utrzymując się w granicach ulicy, odbijając od jednego krawężnika do drugiego. Dopiero przy końcu Krasickiego Dziadek instynktownie zdjął nogę z gazu, dojeżdżając do skrzyżowania, samochód zakręcił i podskoczył na wysokim krawężniku, staranował niski żywopłot, zatrzymał się na chodniku. Silnik zgasł. Rafał próbował uspokoić drżenie rąk.

— O szlag, o szlag, o szlag... jasna dupa... — Brudziak szarpnął za mikrofon szczekaczki.

— Dyspozytor?! Dyspozytor, do chuja ciężkiego?! Dzwoncie do Wrocławia, po antyterrorystów! I dawajcie tu wszystkich, którzy są na miejscu! Powtarzam, dzwońcie po antyterrorystów! Właśnie ktoś do nas strzelał! Powtarzam, właśnie zostaliśmy ostrzelani! Potwierdzam. Ktoś zaatakował strzeszowicki ogólniak.

Fellini odtoczył ściągnięte koło i zabrał się do zakładania zapasu. Adam Braksator usiadł z boku, na niskim krawężniku, i postanowił nie tracić czasu. Skończył kląć i popędzał operatora już tylko pod nosem, ułożył na kolanach odpalony laptop i podłączył do portu przenośny modem. Zamierzał się przygotować. Otwierał kolejne strony w nowych kartach przeglądarki i jeździł po nich strzałką kursora.

Zaczęło się od Pensylwanii. Był upalny, suchy lipiec 1764 roku. Powoli dojrzewało zboże na niewielkich polach, wyrwanych niedawno puszczy i Indianom, a nad potokiem, toczącym leniwie wody w leśnym cieniu, kołysał się w powiewach wiatru dziki szczaw i wrotycz o drobnych żółtych kwiatkach. Czterech Indian Delaware z obnażonymi torsami, w spodniach z miękkiej skóry, wkroczyło rankiem do niewielkiej szkoły, wybudowanej przez osadników z Europy w pobliżu kościoła. Mieli białe od rzecznej glinki twarze, wysoko podgolone włosy i kamienne tomahawki. I zaczęli zabijać. Zginęło dziewięcioro dzieci i prowadzący lekcje pastor. Zanim w szkole zjawiała się zaalarmowana krzykami reszta mieszkańców osady, Indianie znikli, unosząc ze sobą naręcze skalpów.

18 maja 1927 roku. Rozwścieczony podatkiem, który miał zostać przeznaczony na budowę nowej szkoły i który uważał za ostateczny powód upadku swojej farmy, jeden z mieszkańców Bath Township w Michigan zabił swoją żonę i podpalił zabudowania gospodarcze, które i tak miał wkrótce zająć bank. Wyładował furgonetkę kilkuset kilogramami żelaznego złomu, częściami maszyn rolniczych, gwoździami, łożyskami, zardzewiałymi szpadlami, dużymi nitami używanymi na budowach, a na siedzenie obok kierowcy wtaszczył ciężką torbę, w której znajdowała się przygotowywana przez długie tygodnie bomba, wykonana własnoręcznie w piwnicy z dynamitu używanego przy wyburzaniu domów. Potem zajechał pod szkołę. Wybuch zabił czterdzieści pięć osób, nauczycieli, uczniów i przechodniów, następnym pięćdziesiąt osiem ranił. Była to największa szkolna masakra w dziejach Ameryki.

1959 rok, wrzesień. Do szkoły podstawowej w Houston w Teksasie wszedł pięćdziesięciolatek ze swoim siedmioletnim synkiem. Mężczyzna jest rozwiedziony i w domu nie układa im się najlepiej, ale chłopczyk bardzo kocha tatę. Ojciec chciał zapisać go do nowej szkoły. Po kilkunastu minutach wychodzą. Dyrekcja nie może przyjąć ucznia od razu, bo ojciec nie ma przy sobie żadnych dokumentów. Mężczyzna obiecał donieść je następnego dnia, ale nie wydawał się zaskoczony tą odpowiedzią, jakby się jej spodziewał. Był przygotowany. Po kilku minutach wrócił na teren szkoły razem z synem, niosąc duży, poprzecierany neseser podróżny z wołowej skóry. Przystanął na boisku, przykucnął, zmęczony ciężarem. Zawołał do siebie nauczycielkę i bawiące się tam akurat dzieci. Chodźcie, mam coś dla was, chciałbym wam coś pokazać. Nauczycielka jest podejrzliwa, ale wreszcie podchodzi, wcześniej każąc dzieciom wejść do szkoły. Nie słuchają. Kiedy się zbliża w otoczeniu uczniów, żeby porozmawiać z mężczyzną, nad boiskiem zakwita biała kula światła. Nieznajomy zdetonował ładunek ukryty w neseserze. Zginął on i jego syn, nauczycielka, szkolni praktykanci. Razem sześć osób. Dziewiętnaście dalszych zostało rannych.

Ulokowany na dwudziestym ósmym piętrze budynku administracyjnego i zarazem wieży widokowej student uniwersytetu w Austin w Teksasie miał dobry widok na cały kampus. Budynek górował nad okolicą. Był sierpień 1966 roku, wakacje, ale szerokimi alejkami spacerowało wciąż wielu studentów. Wybiło południe, kiedy chłopak wkroczył do budynku i wyszedł na jeden z tarasów obserwacyjnych. Wcześniej, w mieszkaniu, zabił swoją żonę i matkę. Teraz, w mocnym słońcu, usadowił się wygodnie na tarasie, oparł na barierce karabin wyposażony w celownik optyczny i zaczął strzelać do przechodniów. Przez dwie i pół godziny zabił czternaście osób i ranił kolejne trzydzieści dwie, zanim wreszcie zginął od kul funkcjonariuszy policji szturmujących wieżę.

20 kwietnia 1991 roku, liceum w Columbine. Dwóch uczniów weszło do szkoły z karabinkiem półautomatycznym, dwoma strzelbami, pistoletem szturmowym KG-99 i sportową torbą, wypełnioną kilkudziesięcioma bombami rurowymi i granatami wykonanymi z naboju nabijanych dwutlenkiem węgla. Atak był planowany od dziewięciu miesięcy. Mordercy nagrali kilka taśm wideo, na których chwalili się, co i w jaki sposób zrobią, mówili, ile osób chcieliby zabić i zastanawiali się, czy ktoś po tym wszystkim nakręci o nich film lub napisze książkę. Wcześniej dokładnie rozrysowali plan szkoły, naszkicowali zakładaną drogę przejścia przez budynek, jeden z nich prowadził w tym czasie dziennik, w którym na kilkuset stronach opisał ich przygotowania i zamiary. Później, w to kwietniowe przedpołudnie, zamordowali trzynaście osób, dwadzieścia cztery ranili. Najwięcej ofiar zmarło w szkolnej bibliotece, z której była tylko jedna, odcięta przez zabójców, droga ucieczki.

Zaraza, na światłowodach i w impulsach satelitarnych, rozlała się za ocean. 8 czerwca 2001 roku były woźny w elitarniej podstawówce w Osace wrócił do szkoły uzbrojony w długi nóż kuchenny do porcjowania surowych kałamarnic i siekania wyciągniętych ze słonej wody wodorostów. Wcześniej był już kilkanaście razy aresztowany, także za gwałt. Zanim został schwytyany przez policję, na terenie szkoły zasztyletował ośmiu siedmio- i ośmiolatek, trzynaścioro ranił. Biegli podczas procesu uznali go za chorego psychicznie. Mężczyzna pragnął śmierci i dopraszał się o szybkie wykonanie wyroku. Skazany, został powieszony w 2004 roku. Wiosną dwa lata wcześniej, w 2002 roku, do swojej dawnej szkoły wszedł były uczeń gimnazjum w Erfurcie. Przebrany w czarny strój ninja, ukryty wcześniej w szkolnej łazience, rozpoczął strzelaninę, podczas której, zanim popełnił samobójstwo w jednej z klas, gdzie zamknął go nauczyciel, zabił dwunastu nauczycieli, sekretarkę, dwie uczennice i policjanta. Miał dziewiętnaście lat. 7 listopada 2007 roku fiński licealista zaatakował w szkole grupę rówieśników. Zabił osiem osób: siedmiu uczniów i

dyrektorkę. Ranił dziesięć. Policja ewakuowała szkołę i okoliczne domy, a po czterech godzinach oblężenia uczeń strzelił sobie w głowę. Wcześniej tego dnia, tuż przed wyjściem do szkoły, chłopak umieścił na YouTube krótki film, w którym opowiadał o swoich planach. Zanim nagranie zostało zablokowane przez właścicieli serwisu, przez kilka godzin zobaczyło je sto siedemdziesiąt tysięcy osób. Rok później, znowu Finlandia: w miasteczku Kauhajoki dwudziestodwulatek z twarzą zasłoniętą maską narciarską wszedł do jednej z klas podczas sprawdzianu, wyciągnął broń i zaczął strzelać. On również umieścił na YouTube kilka krótkich filmów, na których bawił się bronią, mierzył w obiektyw i obiecywał oglądającym śmierć. Dzień przed strzelaniną policja nawet przesłuchała go w sprawie nagrań, a potem wypuściła. Następnego dnia zginęło w szkole dziesięć osób i morderca, który popełnił samobójstwo. 2009 rok, Winnenden, Niemcy. Siedemnastolatek zabił piętnaście osób, licealistów, nauczycieli, przechodniów. Zginął podczas próby ucieczki przed policyjnym pościgiem. Nikomu nie udało się ustalić, dlaczego zaczął strzelać.

— Adam?

Adam oderwał wzrok od monitora.

— To co, jedziemy? Koło już wymienione. — Fellini stał przed otwartymi drzwiami kangoo. Mówił jakoś nienaturalnie, jego twarz i głos były dziwnie obojętne, jakby ciało miał zrobione z papier mâché.

— Ty, Fellini, normalnie nie uwierzysz. — Adam wstał z trudem, rozprostował nogi zdrętwiałe z powodu niewygodnej pozycji. Wsiadł do samochodu i zapiął pasy. Darek wbił wsteczny. — Patrz, co ja tu znalazłem.

Podsunał mu z chytrym uśmieszkiem ekran komputera, ale operator ledwie na niego zerknął. Wycofali się z parkingu i z powrotem wjechali na drogę do Strzeszowic.

— No wiesz, wklepałem w googla „strzeszowice”, „szkoła”, te sprawy, żeby zobaczyć, co się wyświetli, i patrz, co znalazłem. „Zadzwoń do Lidii. SeksiBlog Licealny. Szkoła nie musi być nudna”. Ja cież pieprzę...

Uwierzysz, Fellini? „SeksiBlog Licealny”. Staaaary, no tylko spójrz, tylko popatrz tutaj. Taka niunia... „Szkola nie musi być nudna”? No kurna, oczywiście, że nie musi! Ty wiesz, co tu ona pisze? O dzieciakach, no wiesz, niby opowiadają jej, jak się pieprzą po kątach. Stary... Wiesz, jakie oni rzeczy dziś robią w ogólniaku? Cholera jasna, no przecież to jest bomba! Sam bym dał się jej przebadać... Ona tu nawet swoje zdjęcie dała, o, patrz, obok telefonu, kurwa mać, no, popatrz, jakie zajebiste różowe majteczki... Takich koronek to nie robią nawet na firankach, bo do chałupy zagłądano by ci wtedy prosto z Marsa. Przecież za to, żeby zdjęła ten stanik, można by kogoś zabić. Fellini...? Fellini, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Fellini słuchał. Patrzył na drogę.

— Aaaa, wiem, o co biega... Ty dalej myślisz o tym ogólniaku? Chłopie, odpuść sobie, weź się w garść. Możesz coś zrobić? — Adam oderwał wzrok od monitora komputera ułożonego na kolanach i czekał na odpowiedź. — Ja nie żartuję, Fellini. Pytam poważnie. Możesz coś zrobić?

Operator milczał.

— No nie możesz, cholera jasna! Nie możesz. Ja nie mogę, ty nie możesz, cały świat nie może. Nikt nie może. No mam rację? Fellini, kurwa mać, mam rację?!

Darek Babel jechał równym tempem i patrzył przed siebie.

— Mam, cholera jasna, i wiemy to obaj. No to teraz przestań zgrywać cnotkę w burdelu i zacznij cisnąć gaz w wozie. My jesteśmy, do ciężkiej cholery, profesjonaliści. Profesjonaliści, rozumiesz? To jest nasz materiał życia, Fellini, mój i twój, przepustka do świata, do prawdziwego życia. Tyle przynajmniej, jasna dupa, chyba jeszcze możemy zrobić?! Ludzie potrzebują rzetelnej informacji, chociaż tyle, no chyba się ze mną zgodzisz? No potrzebują, Fellini, czego byś nie pierdolił. A zatem my im tę informację dostarczymy. Więc jak, mogę na ciebie liczyć? Nie rozpadniesz mi się tu zaraz na pieprzone kawałeczki?

Fellini dociskał gaz i jechał przed siebie. Adam Braksator odetchnął.

— No, dobry chłopak.

Wrócił do laptopa i zaczął się zastanawiać, jakim komentarzem najlepiej otworzyć materiał.

godzina 9.51

Czemu tu jeszcze nikogo nie było?

Wioleta próbowała nie myśleć o gęstym jak kapiąca smoła czasie, skupić się na teraźniejszości, tylko na niej, nie odliczać sekund do przyjazdu pomocy i nie myśleć, co może się stać za chwilę, jeśli nikt nie przyjedzie; żeby przetrwać, żeby nie oszaleć. Ale nie umiała. Wyobrażała sobie twarz zabójcy.

Czy to jakiś chłopak z III klasy? Kto – ten okularnik, który zawsze czyta na przerwach książki ze smokami na okładce? Wokalista zespołu z III E, niski, gruby, wokół którego zawsze kręcą się jakieś wymalowane na czarno lafiryndy nie z naszej szkoły i który ma głos jak kot cięty na pile tarczowej, a kiedy popatrzy ze sceny, na której wykrzykuje te swoje kawałki o śmierci i szatanie pojawiającym się w szkole, popatrzy tym swoim nieruchomym jak wąż, obcym wzrokiem, to człowieka aż ciarki przechodzą, przestaje dostrzegać te jego przetłuszczzone włosy i niezdrową cerę, i zagląda gdzieś głębiej, dużo głębiej, gdzie patrzeć wcale nie chce, ale wzroku oderwać nie można – czy to on? Nie, na pewno nie, to byłoby zbyt proste.

Próbowała wytrząsnąć z głowy takie myśli, nie wracać do krwi widzianej na podwórku za oknem, ale to było silniejsze, jak wzrok tego

grubasa na scenie, wciągało, wchłaniało jak wir, choć tak kusiła przecież los, wiedziała o tym, w magię nie wierzyła, wiadomo, ale myśląc w ten sposób, ściągała nad swoją głowę czarne chmury śmierci, o tym była przekonana.

A może to jakiś pierwszoklasista? W końcu nie wytrzymał, koledzy robiący mu filmiki komórką na wuefie, a potem umieszczający je w sieci, koledzy opowiadający sobie w klasie najbardziej żenujące sytuacje, w jakich ponoć go widzieli, w końcu posunęli się o krok za daleko, nie wiedząc o tym, popchnęli go nad krawędź, znad której nie można się cofnąć? Ale czy to wystarczy, żeby zabić? Żeby znienawidzić świat – i zabić? Nie, no oczywiście nie, tego była pewna. Ale przypomniała sobie również, jak w pierwszej klasie jeden gnojek z III B, którego spławiła na pierwszej szkolnej dyskotecie, bo była zbyt zawstydzona, żeby z kimkolwiek porozmawiać, choć przecież chciała, z fałszywego konta wysyłał potem w mailach do znajomych jej zdjęcia, sklezione w photoshopie z twarzy sfotografowanej na szkolnym korytarzu i ciał obrzydliwych pornogwiazdek z rozłożonymi nogami i powypinanymi ohydnie tyłkami, przez odbyty można było dostrzec żołądek i krtań. Skończył, kiedy po dwóch tygodniach poznani na tej samej dyskotecie nowi koledzy z technikum – poznani już pod jej koniec, kiedy zapaliła trawkę i wreszcie zdołała się uśmiechnąć – dowiedzieli się w końcu, kto to robi, zaciągnęli go po lekcjach na działki, pobili i zrobili mu telefonami zdjęcia z mordą w starym kompoście, które obiecali zawiesić na fejsie, jeśli nie przestanie rozsyłać tego gówna w mailach i piśnie komukolwiek słówko o tym, co mu zrobili. Przypomniała to sobie teraz, to i swój wstyd, gdy oglądała własną twarz przyczepioną do nie swojego ciała, cholerny, palący policzki wstyd i doprowadzającą do gorączki bezsilność, z której aż się trzęsła, i nie była już taka pewna, czy z tego powodu nie można podpalić świata.

A może to ktoś niepozorny, na pewno tak, jakiś chłopak – a może dziewczyna? Czy to może być dziewczyna? A może to więcej niż jedna

osoba? A może ktoś dorosły? Ktoś, na kogo nigdy nie zwróciła uwagi, obok kogo przechodziła setki i tysiące razy i nigdy nawet nie spojrzała mu w oczy, nigdy nie zastanowiła się, kto to, bo nad czym tu się zastanawiać? Dzieciak, o którym Lidka nie napisałaby na swoim blogu, nawet gdyby przyszedł do niej z nagraniem na cyfrówce orgią w pokoju dyrektorki, bo w jego przypadku i to uznałaby za nieciekawą?

O Boże, Lidka.

Spróbowała policzyć strzały, które usłyszała, odkąd to wszystko się zaczęło, ale oczywiście nie dała rady. Czy za każdym z nich – co drugim? co trzecim? – kryło się martwe ciało, rozciągnięte na schodach prowadzących na piętro albo zaklinowane na progu w drzwiach do klasy? Myślenie o tym przychodziło jej teraz niespodziewanie łatwo, jakby myślała o filmie, o jakiejś zupełnej abstrakcji, słupkach na matematyce albo wygaszaczu na ekranie komputera, na którym wirują tęczowe wzory i pastelowe spirale. Coraz trudniej było jej za to skupić się na czymś innym, nie mogła skoncentrować wzroku na jednym punkcie i tak bardzo, tak bardzo chciało się jej zapalić. Nasłuchiwała.

Kogo z przyjaciół już nigdy nie zobaczy, z kim nie porozmawia? Dla ilu rodzin świat właśnie pękł na pół, choć może rodzice nie zdawali sobie jeszcze z tego sprawy, siedząc w domu w nieświadomości i jak co dnia czekając na syna marnotrawnego, który już nie wróci, dla ilu osób świat podzielił się kreską prostą jak głęboka rana wycinana skalpelem na całej długości przedramienia – na to, co było, i na to, czego już nigdy nie będzie? Czy kiedy zobaczyłaby na białym obiciu trumny bladą, obmytą już z krwi i przerażenia twarz kolegi lub koleżanki z klasy, kolejną w cmentarnej kaplicy, próbowałaby sobie przypomnieć, jakie były jej ostatnie zamienione z nim albo z nią słowa, czy pożegnali się jakimś błahym zdaniem, czy może śmiali wspólnie z nędznego dowcipu, zanim poszli na lekcję, już ostatnią w życiu, czy pokłócili się, a może obiecali sobie coś powiedzieć po zajęciach, coś wyjaśnić po niedawnej sprzeczce, a teraz ta tajemnica na zawsze została

zamrożona w wieczności, zastygła jak kłująca w bok lodowa igła, i już nigdy – na pomalowanych zbyt jaskrawą szminką zimnych wargach to słowo brzmi prawdziwie – już nigdy ten sekret nie zostanie rozwiązany? Czy ona będzie leżeć w kaplicy wśród nich, ze spokojną upudrowaną twarzą, z której kosmetyczka zetrze ślady łez i sprawi, że na ustach pojawi się łagodny uśmiech?

Wioleta pomyślała, jak to jest pierwszy raz kochać się z chłopakiem. Czy już nigdy się tego nie dowie? Jak to jest, kiedy czujesz go między nogami, a potem w sobie, tak głęboko, gdzie tracą się myśli, nie sięgają słowa. Albo jak krwawi się w położu, chrzci bólem nowe życie – czy wtedy boli bardziej, niż kiedy skaleczysz się w palec, rozetniesz szkłem nogę, niż podczas wizyty u dentysty, podczas krwawienia miesięcznego, kiedy dopiero uczysz się ceny macierzyństwa i tego, czym płaci się za bycie matką? Co w życiu ją ominie, kiedy już padną strzały?

Nasłuchiwała.

Pomyślała, jak by to było, gdyby drzwi od łazienki nagle uchyliły się bezszelestnie. O posadzkę, delikatnie, oparłyby się gumowane podeszwy tanich tenisówek: jeden krok, drugi. Usłyszałyby, jak ktoś powoli otwiera drzwi do pierwszej kabiny, a jej serce zamiera, staje, to już, już, krzyczy bezgłośnie przez ściśnięte gardło, odlicza sekundy, zimny pot lepi kark, błyszczą na zaciśniętych dłoniach.

Otwierają się drugie drzwi.

Jeszcze jedno – i dojdzie do jej kabiny.

A potem wreszcie Wioleta umiera, umiera naprawdę, w bólu roztrzaskanej strzałem z bliska miednicy i zgruchotanej pociskiem kości policzkowej, czuje potężne uderzenia w brzuch i dopiero po chwili po ciele rozlewa się żar, lepkie bolesne ciepło, jakby ktoś we wnętrzości wbijał jej raz za razem rozpalony do białości pręt. Ostatnie, co widzi, to czarne gardło naoliwionego pistoletu, rzygające ogniem, krztuszące się ołowianą,

rozpaloną flegmą, odpluwające śmierć. Ostatnie, co czuje, to wielki ból i nieskończony żal.

Czemu tu jeszcze nikogo nie ma?

Siedziała na sedesie i w spoconych, drżących dłoniach ścisnęła czarny prostokąt telefonu komórkowego. O Boże, o Boże, o Boże... Niech nas ktoś z tego wyciągnie, proszę, o Boże, proszę. Próbowwała napisać wiadomość, zastanawiała się, do kogo powinna zadzwonić najpierw, ale wzrok jej uciekał, kształty się rozmywały. Siedziała i nie umiała powstrzymać bezgłośnego łkania.

Horowitz próbował opanować drżenie rąk i zastanawiał się, co robić. Wewnętrzna strona dłoni tarł gałki oczne, głęboko w głowie wybuchały białe zygzaki powidoków. Boże, co robić? Poranny ból przybrał na sile, zapłonął czarnym płomieniem pod czaszką, pulsując i skwiercząc na spopielanych neuronach. Oddałby wszystko – tym razem: naprawdę wszystko – gdyby tylko ten ból był teraz jego jedynym problemem. Cieszyłby się jak dziecko, płakał ze szczęścia, gdyby obudził się nagle na sali szpitalnej, a młody doktor poważnym tonem, tylko na początku zaskoczony jego głośnym śmiechem, a potem dający dyskretny znak, żeby zaaplikować mu petydynę i poinformować psychiatrę, mówiłby o guzie mózgu wielkości gołębiego jaja, pokazywał zdjęcia rentgenowskie i odwracając wzrok, tłumaczył możliwość zwidów pojawiających się w ostatnim, już beznadziejnym stadium choroby. Albo gdyby ocknął się obok szosy na Strzeszowice, wyciągany z płonącego wraku przez wrocławskich strażaków, którzy później, przez wiele lat, wspominaliby ten wypadek, nie mogąc w żaden sposób zrozumieć, jak można się tak głośno śmiać, kiedy zaraz się umrze, kiedy blok silnika zmiażdżył ci biodra, kierownica wbiła mostek w płuca, straciłeś większość zębów, a na rozdartej blasze karoserii wciąż wisi skóra z połowy twarzy. Jednak tym razem życie nie przygotowało dla niego łatwego rozdania.

Dobra, raz, dwa, trzy, oddech. Dobra.

Otworzył oczy, wybrał na wyświetlaczu numer Wiolety. Dobra.

Wcisnął przycisk połączenia. I zaraz nacisnął go ponownie. Kurwa, kurwa, kurwa mać! Człowieku, zacznij myśleć. Weź się, do kurwy nędzy, w garść. To jest twój egzamin dojrzałości, sprawdzian z całego życia, ty jesteś jej ojcem, a to jest córka twoja, jak go zawalisz, to nawet diabłu w piekle nie będzie się chciało z ciebie śmiać. Gdybyś miał czas i mógł pomyśleć, zobaczyłbyś wyraźnie, jak całe twoje życie układa się w ten sposób, by doprowadzić cię właśnie do tej chwili, punkt po punkcie na mapie zdarzeń; jak wszystkie nieważne przypadki, pozornie mało znaczące rozmowy, zapomniane decyzje, kopnięcie kapsla na ulicy i wyrzucenie na trawnik w parku woreczka po słodkiej, landrynkowej oranżadzie trzydzieści pięć lat temu wiodą cię do tego miejsca. Tylko po to się narodziłeś. Po to żyjesz. Po to czternaście miliardów lat temu wybuchały w ciszy gwiazdy, powstała Ziemia, parowały oceany i przemieszczały się kontynenty. Dla ciebie. Nic innego nie ma znaczenia. Zacznij więc wreszcie oddychać, weź się w garść. I zacznij w końcu, kurwa, myśleć.

Znów wybrał numer Wiolety, ale nie naciskał zielonej słuchawki połączenia, gapił się na wyświetlacz, jakby spodziewał się stamtąd pomocy, jakby czekał, aż operator wyśle mu SMS-a, „Wygrał pan życie swojej córki, nic jej się nie stało i nie stanie, uciekła dziś ze szkoły i teraz, nieświadoma niczego, śmieje się ze znajomymi w Galerii Dominikańskiej, wystarczy tylko wysłać do nas wiadomość i odpowiedzieć *Tak* lub *Nie* na pytanie *Czy chciałby pan ocalić swoje dziecko i być w życiu szczęśliwy?*, 2,50 zł plus VAT”. Prawie słyszał, jak sekundy z suchym trzaskiem odpalają się jedna od drugiej, niczym garść zetkniętych łebkami zapalek na zwolnionym filmie, *pssst, psssst, psssssssst*, niczym race na czarnym niebie, kiedy jesteś pijany i w sylwestrową noc leżysz na plecach na śniegu. Już kiedyś słyszał ten dźwięk, zajrzał pod podszewkę rzeczywistości.

Wioleta miała wtedy osiem lat, była w drugiej klasie. Grając na wuefie w dwa ognie, uciekając przed piłką, źle postawiła stopę na parkiecie, źle stanęła, na plecach zatrzymała jej się jeszcze koleżanka, która też biegła, na oślep, zerkając za siebie, czy przypadkiem to jej nie wziął ktoś na celownik i piłka nie mknie na spotkanie jej ciała. I było po wszystkim. Stało się. Cienka kostka pękła z chrupotem, który dał się słyszeć na całej sali, mimo wrzawy dzieciaków i tupotu kroków na parkiecie. Wszyscy zamarli, jak na zdjęciu, a potem, po trwającej wieczność chwili, Wioleta zaczęła krzyczeć.

Szkoła zadzwoniła do pracy po rodziców i do szpitala po karetkę, Horowitz zajechał na izbę przyjęć prawie równocześnie z Beatą. Mała już leżała na szpitalnym łóżku, nafaszerowana jakimś chemicznym koktajlem, ale rodziców rozpoznała od razu. Rozcięli mi spodenki, mamusiu, wychlipała. Wiesz, te, które tak lubiłaś, z misiami na pupie, choć prosiłam panów, żeby tego nie robili. I to tak bolało, mamusiu, nie będziesz na mnie zła?

Horowitz patrzył wtedy na ślady łez na policzkach córki i rozmazane nieudolnie smarki, których nie zdążyła zetrzeć żadna pielęgniarka, i myślał o tym, czy w jednej chwili, jak za naciśnięciem przełącznika światła, raz – raz, jasno – ciemno, można wyprzeć się świata, zaprzeczyć wszystkiemu, czym się jest i chce się być, zostawić wszystko – za jeden uśmiech, za pięć sekund czyjejś ulgi, i w tamtej chwili znał odpowiedź na to pytanie. Wioleta nie miała jeszcze gipsu, złamanie było poważniejsze, niż początkowo sądzono; na zdjęciu rentgenowskim jaśniejszym cieniem zaznaczała się strzaskana kość piszczelowa i strzałkowa, widmowe kształty były przesunięte i nie zachodziły na siebie. Żeby nastawić złamanie, trzeba było przeprowadzić zabieg, nic inwazyjnego, bez rozcinania skóry, ale i tak konieczna okazała się narkoza.

Kiedy mała zniknęła już w zamykających się drzwiach szpitalnej windy, chudziutki, przestraszony aniołek o wielkich oczach, leżący na łóżku w zbyt dużej szpitalnej piżamie, stali z Beatą przy windzie, próbując ją

pocieszyć i nie pokazać, jak bardzo się boją. Gdy pielęgniarze przetaczali łóżko i winda zjeżdżała na piętro z salą operacyjną, Horowitz zdążył jeszcze uścisnąć córkę niepewnie w małą nóżkę, tę zdrową, żeby dodać jej otuchy, choć czuł się, jakby to właśnie jego odprowadzano do piekła. Czekali potem z Beatą na jakąkolwiek informację, czy już jest po wszystkim i czy dziecko wybudziło się bez problemów z narkozy, bo przecież to ona była tu najgroźniejsza, nic nie mówili, nie rozmawiali, każde na swój sposób próbując wygrać z góry skazaną na klęskę walkę z bezradnością. Nic nie mogli zrobić, nic, nic, nic, powtarzał sobie Horowitz, nic, nic, nic, i patrzył na wskazówkę sekundnika na tarczy zegarka na nadgarstku. Nic. Nic. No, dalej, rusz się, do kurwy nędzy!

Nic.

Przypomniał sobie wtedy swoją operację, tę pierwszą, z czasów, kiedy szpitale nie były jeszcze kolorowe i na korytarzach z sinymi lamperiami rozlegało się tylko echo drewniaków pielęgniarek. Miał wtedy kilka lat więcej niż leżąca na stole operacyjnym Wioleta, była noc, już po zabiegu, w czasie którego wycięto mu wyrostek robaczkowy. W sumie tak bardzo nie bolało. Ale kiedy obudził się w nocy, długo nie chciał otworzyć oczu. Bał się. Było ciemno, panowie w bieli właśnie wyciągnęli mu coś z brzucha, a on nawet nie potrafił sobie wyobrazić, co to takiego mogło być i czemu go to tak bardzo uwierało, jeszcze w domu. Przed operacją po raz pierwszy zastanawiał się nad swoją śmiercią, po raz pierwszy naprawdę, nie tak jak na filmach, a teraz obudził się w obcym miejscu, żył i powinien się z tego cieszyć, wiedział o tym, ale bał się otworzyć oczy i był w ciemnościach sam. Poczł wtedy, jak ktoś delikatnie bierze go za rękę. Dotyk był chropawy, a dłonie twarde i spracowane. Znał ten dotyk. Otworzył oczy. Już się nie bał.

Ojciec siedział obok i patrzył w przestrzeń zmęczonym wzrokiem. Musiał wziąć go za rękę, kiedy zobaczył, jak chłopak wierci się niespokojnie przez sen, a teraz dostrzegł otwarte oczy syna, błyszczące w

ciemnościach, i uśmiechnął się uspokajająco, wyraz zmęczenia zniknął z jego twarzy. Gestem pokazał, żeby Jurek spał, bo tato jest obok i czuwa. Horowitz dopiero wiele lat później dowiedział się, jak trudno było załatwić, żeby ojciec został wtedy na noc w szpitalu, z kim musiał porozmawiać i co obiecać. Ale tamtej nocy ścisnął mocno jego twardą rękę, wczepił się w nią, jakby nigdy miał nie puścić, i przed snem, mając dwanaście lat, raz i na całe życie nauczył się tego, co to znaczy być ojcem i jakie wiążą się z tym powinności i klęski. Kiedy się obudził, tato spał w niewygodnej pozycji na krześle, a on cały czas ścisnął jego dłoń.

Za oknem samochodu przechodzili ludzie. Najwyraźniej niewielu z nich słyszało już o wydarzeniach w liceum. Horowitz siedział blady, w niedbale zaparkowanym aucie z niezgaszonym silnikiem. Wyglądał jak ktoś, kto ma ciężki dzień po wczorajszych imieninach kolegi z pracy i teraz próbuje dojść za kółkiem do siebie. Czyli w poniedziałkowy rano normalnie.

Patrzył w gasnący wyświetlacz telefonu z numerem Wiolety. Ostatnie miesiące to nie był dla nich dobry czas. Mało rozmawiali, dużo milczeli, zasiali ziarno nieczułości i teraz czekali, aż kolczasta roślina wykiełkuje, odgrodzi ich od siebie na zawsze. Czy właśnie tak miało to wyglądać? Już nic więcej sobie nie powiedzą, nic nie wyjaśnią? Wszystko się skończy: przeszłość zamrozi na starych zdjęciach, a przyszłość zniknie, jako już niemożliwa do spełnienia, urwie, nie zaistnieje, wymaże?

Zadzwoń, Wioleta, po prostu do mnie zadzwoń.

Patrzył, czekał, czuł, jak sekundy orzą mu skórę, niczym drut kolczasty przetaczają się po twarzy.

Zadzwoń.

Daleko, na horyzoncie, płonął wielki ogień.

Ewa zamrugała, wystawiła twarz na zimne, ostre porywy pachnącego burzą wiatru, spojrzała raz jeszcze. Nie, to nie był pożar lasu: tak płonęły góry Krainy. Rubinowe, jak rozpalone hałdy węglowego żużlu, pulsowały

czerwienią, promieniowały żarem. Jakież one muszą być ogromne, pomyślała, patrząc w dal i czując, jak elektryczność w powietrzu unosi jej włoski na karku i przedramionach.

Nie dziwiło jej nic – dziwiło wszystko.

Szła z Kapitanem Krzyżakiem pod turkusowym niebem, niebem jak odwrócone morze południowe, zawieszony nad ich głowami, w którym falują długie cienie, na granicy pola widzenia przesuwiają się niemożliwe do rozpoznania kształty, kroczyła po wysokiej fioletowej trawie, szorstkiej i sztywnej, falującej w podmuchach wiatru jak sierść jakiegoś wielkiego zwierzęcia, mitycznego węża opasującego cielskiem cały świat, i była szczęśliwa. Kapitan Krzyżak trzymał ją za rękę, pomiędzy suchymi, rurkowatymi badyłami przeskakiwały iskry wyładowań. Kiedy wiatr powiał mocniej – a wiał nieustannie, chłostał ostro twarz, chłodził rozpalone czoło – po lawendowych falach szły długie warkocze wyładowań, jedna iskra ciągnęła za sobą następną, elektrostatyczne zygzaki błyskały i wyglądało tak, jakby pod uderzeniami wiatru cała Kraina przeciągała się z rozkoszy.

Kraina, surowa i piękna.

Szli pod zimnym niebem w kolorze morskiej toni, wysoko nad nimi, jak czarny kamień, świeciło ciemne słońce, na matowych, fioletowych trawach kładły się długie cienie. Kraina opadała czasem nagłym uskokiem, niekiedy wznosiła się kamiennym usypiskiem, porośniętym rzadko trawą, spod której prześwitywała brudnożółta, a czasem wściekle pomarańczowa ziemia. Ewa nie mogła się napatrzeć. Jej ból jakby zelżał, a przynajmniej nie myślała już o nim cały czas, choć skóra na przedramieniu, z którego odwinął się rąbek bandaża, dalej była dziwnie blada i delikatna jak bibuła. Chciała zerwać cały opatrunek, ale Kapitan Krzyżak powstrzymał ją ruchem głowy.

— Jeszcze nie, Hawwa.

Więc szła dalej – i patrzyła.

Wychodząc z jednego z długich jarów, stanęli nad brzegiem ciemnego lasu. Zamiast drzew wiły się w nim grube kłacza, czarne, najeżone cierniami, mięsiste i ciepłe. Daleko, w kłębowisku, widać było srebrną poświatę i małe muszki, jak owady lub elfy krążące nad bulwiastymi naroślami na zdrewniałych łodygach. Ewa wyciągnęła rękę i na dłoni usiadła jej jedna ze srebrzystych istot. Przyjrzała się jej z bliska. Zobaczyła sztywne skrzydełka, owalną główkę, owadzie, fasetkowe oczy i szerokie, bardzo ludzkie usta. Patrzyła, jak ta istota wolno pochyla się nad jej dłoń, jak otwiera paszczę, a potem poczuła, że drobne igielki ząbków wbijają jej się w skórę i z malutkiej rany wypływa kropla krwi. Stworzenie odleciało. Przymknęła oczy i mocniej ścisnęła dłoń Kapitana Krzyżaka.

— Dlaczego ono mnie ugryzło? — zapytała.

— To Kraina — odpowiedział Kapitan Krzyżak. — Kraina, nie bój się.

Skinęła głową. I więcej już się nie bała.

Kiedy jedna z mięsistych gałęzi odłączyła się wolno od kłębowiska, kiedy opadła na jej twarz jak suchy, szeroki język, czekała, aż ciepła, twarda powierzchnia, jak dłoń ślepcy, przestanie przesuwac się po jej powiekach, po brwiach, po policzkach, po nosie. Kiedy doszła do warg, Ewa uchyliła usta, zdrewniały, ciepły paluch wśliznął się do środka. Wtedy ugryzła. Mocno, jeszcze mocniej. Poczuła w ustach gorzki smak i musowanie, jakby zamiast oranżady w proszku nasypała na język popiołu. Ale jeszcze przez chwilę nie puszczała pseudogałęzi, nie rozwierała zębów. Już się nie bała.

Od tej pory Kapitan Krzyżak przychodził do niej co noc i co noc zabierał ją na dzikie pola Krainy. Widziała szklane lasy, przezroczyście, ciągnące się po horyzont, niszczone w huku dzikich trąb powietrznych, a wtedy ostre odłamki latają w powietrzu i tną ze świstem trawy. Pola czarnych kwiatów ciągnące się aż po ogień na horyzoncie. Niskie wzgórza pokryte gęstymi łanami wysokich narośli na wąskich nóżkach, rozkołysanych, o małych, zielonych łebkach wklęsłych przyssawek. Gipsowe pustynie, jak twarda,

wypolerowana na słońcu kość, gładka i krusząca się kredowo pod paznokciami. Tłące się nieprzerwanie wielkie góry w oddali. Wodospady rubinowych, półpłynnych skał, pod którymi kąpią się ociężałe wielkie kamienne bestie. Wioski o bulwiastych domach, których milczący mieszkańcy, tylko nieznacznie wyżsi od niej, sięgali Kapitanowi Krzyżakowi do ramion, mieli wielkie motyle oczy na pół twarzy i pozdrawiali ich z daleka uniesieniem włóczni trzymanej w dłoni o trzech grubych palcach z mnóstwem gruzłowatych stawów.

Kiedy wracali nad ranem, już w szpitalnym łóżku zastanawiała się, czemu na ich wspomnienie nie czuje obrzydzenia, czemu postaci pod czarnym słońcem na zielonkawym niebie, wśród fioletowo-purpurowych traw, wydają jej się zupełnie naturalne, normalne – a potem, we wspomnieniach, już w dziennym świetle, dziwi im się tylko trochę bardziej, w zasadzie nic się nie zmienia. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Wkrótce zresztą zrezygnowała z poszukiwania takich wyjaśnień. To była Kraina, a to gęsty syrop z kruchych kwiatów porastających równinę, pity razem z groźnymi przyjaciółmi Kapitana Krzyżaka, którzy jeździli wśród traw na dziwnych powolnych stworzeniach, golili na łyso czaszki, w skórę wpuszczali zarodniki grzybów, żeby na policzkach i plecach plotły im wzory tatuaży, i traktowali ją bardzo poważnie, zupełnie nie jak dziecko. To była Kraina, a to duże, twarde łuski z ciężkich kłosów płożących się przy ziemi, pokryte sztywnym drutem kłujących włosków, opalizujące w zimnym świetle czarnego słońca, rozpływające się na języku, słodko-słone. To była Kraina, a to bezrozumne niby-ptaki o delikatnych jak puch piórach, kołujące wysoko, jak anioły, białe, ślepe, o ślicznym głosie. To była Kraina, a to wielkie przestrzenie i chłodne powietrze, smakujące jak górską wodą. To była Kraina. Już się nie bała.

Kiedy opuściła szpital, Kapitan Krzyżak nie przestał do niej przychodzić. Czasem zabierał ją do Krainy co noc, czasem zjawiał się ponownie dopiero po kilku dniach. Pojawił się nawet wtedy, gdy jedno z

pokrytych szczecina ramion zwisało mu bezwładnie na temblaku. Przychodził do niej, kiedy miała kłopoty w szkole, gdzie koledzy ciągnęli ją za włosy i wrzucali martwe miękkie i ciepłe dżdżownice do tornistra, bo była cicha, spokojna i uśmiechnięta i nie umiała na nich naskarżyć. Był z nią w ósmej klasie, kiedy dostała poważnego zapalenia płuc i znów znalazła się w szpitalu. Przychodził po zmroku, po szczególnie zajadłej kłótni rodziców, a wtedy wchodziła razem z nim do ich sypialni, stawiała nad zaspanymi, zmęczonymi osobami, które tak kochała, i patrzyła, jak Kapitan nachyla się i szepcze im coś do uszu, wygładza sen. Kroczyła z nim po ziemiach Krainy w klasie maturalnej, kiedy zdawała na studia, podczas pierwszych egzaminów, gdy zdawała na prawo jazdy.

Już się nie bała.

Kiedy dorosła i wyszła za mąż, wspomnienie Kapitana Krzyżaka coraz częściej wydawało jej się snem, cudzą opowieścią, dziecięcą fantazją, sceną z filmu na starej kasecie wideo, który mogła oglądać w domu przyjaciółek dawno temu. Zdarzały się nawet miesiące, że w ogóle o nim nie myślała, w ogóle nie pamiętała. Ale kiedy wsłuchiwała się w siebie na powrót, koncentrowała tuż przed snem albo chwilę po przebudzeniu, zwłaszcza zimą, kiedy świat jest jeszcze ciemny i chłodny, a łóżko rozespiane i pachnące ciepłem ciała, wtedy wspomnienia wracały.

A teraz znów kroczyła Krainą, sama, wolna, z zimnym wiatrem wiejącym we włosach, pod niebem w kolorze morza, kiedy szorstkie trawy przesuwiają się wzdłuż palców i na języku czuć smak zbierającej się burzy.

Coraz głębiej i głębiej.

Coraz dalej i dalej.

Palili papierosy przykucnięci za zepchniętym z chodnika vento. Rafał kilka razy próbował uruchomić silnik, ale rozrusznik tylko kręcił ze zgrzytem, chrzęścił, ale samochód nie odpalał. Głośny dźwięk ranił uszy, zmuszał do odwracania wzroku w kierunku szkoły. Czy oni tam też go

słyszą? Czy w ciemnym oknie, za chwilę, oślepiającą bielą znów zakwitną ogniste kwiaty wystrzałów? Po kilku próbach Rafał dał spokój. Widać kule coś uszkodziły.

Kule.

Ktoś właśnie do nich strzelał. Rafał obracał tę myśl w głowie, na chłodno, jakby nie była jego. Ktoś do ciebie strzelał. Mogłeś zginąć. Nie, nie mogłeś, przecież takie rzeczy dzieją się tylko na filmach, po klapsie kończącym scenę aktor wstaje, zmywa sztuczny szkarłat z wargi i idzie na piwo.

Ktoś właśnie do nich strzelał.

Palili nerwowo, przycupnięci idiotycznie za samochodem. Od osiedla oddzielał ich jeszcze kawałek drogi i duże skrzyżowanie, ale zaraz zaczyna się tu schodzić gapie. Trzeba zacząć coś robić, zablokować ulice, odciąć osiedle, polecić przechodniom, żeby zamknęli się w domach, cokolwiek. Na razie palili papierosy i próbowali uspokoić drżące dłonie. Czekali na antyterrorystów z Wrocławia i kolejne radiowozy ze Strzeszowic.

Od strony szkoły zasłaniał ich pobielony mur, przez który ani oni nie byli widziani, ani nie mogli dostrzec tego, co działo się na terenie liceum. Ale to akurat wiedzieli. Tam właśnie ktoś umierał.

— Edek... — Rafał szeptał, choć nie musiał, za plecami słychać było dalekie echo przejeżdżających sporadycznie samochodów, zrywający się w porywach wiatr szarpał zardzewiałą siatką drucianego płotu po drugiej stronie ulicy. Ale chłopak ściszał głos, jakby miał do wyjawienia jakąś straszną tajemnicę. Nie wiedział, jak należy zachowywać się w takich sytuacjach. Tego filmy go nie nauczyły. — Tam właśnie umierają ludzie...

Ale sierżant Brudziak go nie słyszał.

— ... kurwa mać, czemu to musiało się przydarzyć akurat dzisiaj...
kurwa m...

— Dziadek? Hej, Dziadek?

Policjant oderwał wzrok od rozdmuchiwanego przez wiatr ogienka na pecie, rozejrzał się, jakby obudził się w teatrze, wszyscy na widowni już wyszli, a on nie potrafił odgadnąć, w jaki sposób tam trafił. Przesłał wściekle mamrotać.

— Edek, cholera jasna. Słyszysz mnie? Edek...!

Sierżant popatrzył uważnie w oczy Rafała. Chłopak trzymał swojego papierosa, jakby czekał, aż sam się wypali, jakby o nim zapomniał.

— Nie drzyj japy, Małolat. Słyszę cię — odpowiedział zaskakująco przytomnie. — Co się dzieje?

— Edek... Do kurwy nędzy — Rafał szeptał dalej. — „Co się dzieje?”. No spójrz tylko. Co my robimy? No popatrz tylko na nas. Kurwa mać, Edek. Tam przecież ktoś właśnie umarł.

Edward Brudziak popatrzył na niego uważnie. Milczał.

— Pierdol się, młody. Po prostu pierdol, Małolat. Nie wyjeżdżaj mi tu teraz z takimi tekstami. Daruj sobie, po prostu, kurwa, sobie daruj. Ja też mam żonę i dzieciaki i też oglądam telewizję, i wiem, co się tam teraz dzieje. Słyszysz mnie? I dlatego, kurwa jebana mać, my nigdzie się stąd nie ruszymy. Rozumiesz? Ja też mam dzieciaki, słyszysz? I chcę, żeby tak pozostało.

Westchnął, przeczesał dłonią włosy. Dopiero teraz starszy sierżant poczuł, jak zimno jest na dworze. Rafał spuścił wzrok.

— No, Małolat, nie patrz w ten sposób. Daj spokój. Nie masz dla kogo żyć? Pytam poważnie: nie masz naprawdę dla kogo żyć? No to chociaż masz może rybki? — Nikt się nie zaśmiał ze starego dowcipu. — Kurwa mać, Rafał. Ty żyjesz, ja żyję, i chociaż niech tak pozostanie. Rozumiesz? Pytam, czy mnie rozumiesz? Bo co niby ja miałbym na to poradzić? — Ruchem głowy wskazał skryty za murem budynek szkoły. — No, powiedz mi, co? Możesz na to coś poradzić?

Czując na sobie wzrok sierżanta, Rafał niepewnie pokręcił głową.

— Kurwa mać, Dziadek...

— Wiem, młody. Kurwa mać.

Za nimi przejechał przez skrzyżowanie samochód. Drgnęli, słysząc dźwięk silnika.

— Szlag jebany! No gdzie są te pieprzone radiowozy?! — Brudziak jakby nagle się obudził, wypstryknął dopalonego kiepa, sięgnął do radiowozu przez uchylone drzwi. Wyciągnął mikrofon. — Dyspozytor, kurwa mać, no co tam się dzieje z wami?!

— *Już jedziemy, wozy już wyjechały z...*

Rafał Madera wypuścił z palców ogryzek filtra. Nie słuchał rozmowy Brudziaka z dyspozytorem. Zawiał wiatr. Rafał podniósł głowę i popatrzył w stronę niewidocznej szkoły. Spróbował spojrzeć ponad wierzchołkiem muru i przez splątane korony drzew. Chłodny wiatr wciskał się pod ubranie, w mankiety, wypełniał płuca, zmrażał serce. Czy mu się wydawało, czy właśnie usłyszał kolejny strzał?

Przypomniawszy sobie, jak wracał kiedyś znad morza, godzina trzecia rano, pusta droga i puste pobocza, i głowa pusta, i puste oczodoły po piekących oczach. Pojechali z Agatą do Rewala, mieli tam spędzić kilka dni, potem ruszyć dalej wybrzeżem i znów zabunkrować się w jakiejś agroturystyce, patrzeć na morze, kochać do rana, a potem ruszać znowu dalej. Był wrzesień, ludzie zniknęli z plaż, noce były już zimne, ale za dnia wciąż świeciło piękne, jesienne słońce na niebie koloru indygo.

Dwa dni po przyjeździe zadzwonił do niego ojciec i głuchym głosem powiedział mu o wypadku Wojtka. Starszy brat, duma ojca, doktor ekonomii, wracał z wykładów na prywatnej uczelni, auto wypadło na zakręcie z drogi, wgrzyzło się maską w drzewo. Wojtek był trzeźwy, ale niewiele mu to pomogło. Połamał obie nogi, kawałek metalu przebił mu otrzewną, miał pęknięty obojczyk, zmiażdżony nos, na kark założono mu kołnierz ortopedyczny. Ojciec zadzwonił późno wieczorem. Wojtek był już po operacji, ale jego stan lekarze określali dalej jako poważny.

Rafał skończył rozmawiać z ojcem, wrzucił ciuchy Agaty do walizki, zabrał swoją torbę i rozpoczął jazdę do domu. Poprzedniej, sobotniej nocy, nocy po ich pierwszym dniu spędzonym na długich spacerach na plaży, nocy w małych knajpkach i na chłodnym molo, nocy w pokojowym łóżku, w którym spali mało i obudzili się wcześnie, zasnął może na cztery godziny. Teraz fluorescencyjny zegarek w pożyczonym od ojca volkswagenie wskazywał trzecią nad ranem, był już poniedziałek, Agata spała na siedzeniu obok kierowcy, a do domu pozostawało ciągle kilkaset kilometrów. Oprócz ich samochodu na drodze nie było nikogo.

Jechał pustą szosą, mijał rozległe wielkopolskie równiny i odcinające się na ciemnym horyzoncie linie gęstych lasów. Z głośników sączyła się cicho muzyka, ale nie rozpoznawał już słów piosenek, docierały do niego tylko chaotyczne dźwięki instrumentów, nieukładające się w spójną całość, i monotonne buczenie silnika, wgryzające się w umysł, wwiercające w mózg, przenikające ciało. Czuł, jakby pod powieki nasypało mu grubych granulek proszku do przetykania rur, ale nie zwracał uwagi nawet na to i oczy ocierał tylko wtedy, kiedy zaczynały łzawić i droga rozmazywała się w koncentrycznych powidokach. I jechał dalej. Nie myślał o niczym. Czuł się tak, jakby zamiast głowy miał porowatą bryłę betonu, obce ciało, ciężkie, bezwładne, martwe, które musiał tylko utrzymać w pionie, jeszcze przez chwilę, więc próbował utrzymać, choć nie wiedział po co, czemu to takie istotne, i tylko kark drętwiał mu coraz bardziej.

Ksylonowe reflektory wycinały z ciemności szosę i fragment hipnotycznie przewijającego się przed oczami pobocza, wydobywając z cienia odrealnioną przestrzeń, czarno-czarne kontury pozbawione trzeciego wymiaru, pojedyncze uspięne domy usypane z popiołu i nieruchome pola schnącej kukurydzy, wyglądające w mroku jak spienione fale odlanego z ołowiu morza. Rafał był stary jak wszechświat i czuł, jak neurony dopalają się w jego czaszce niczym kolapsujące, prastare gwiazdy. Nie rozpoznawał kształtów drzew, w ciemnościach, na tle burego nieba, z którego ktoś starł

księżyc, zielone giganty rosnące przy drodze przybierały złowieszcze kształty, korony drzew, przez które teraz nie prześwitywało słońce, nabierały masy, wydawały się cięższe niż za dnia, fraktalowy wymiar splecionej sieci gałęzi i liści ukorzeniał się w rzeczywistości, naciągał ciemność jak ciężką smołę.

I jechał dalej.

Drzewa wyglądały jak spotworniałe, potężne narośla pleśni i mchu zatknięte na zdrewniałych palach, spirale liści stroszyły się niczym nawinięty na pień ciężki kłęb drutu kolczastego. Patrzył na ich kształty, wydobywane na chwilę z ciemności światłem samochodu i ginące na powrót w mroku za nimi, i nagle zdał sobie sprawę, kto jest prawdziwym panem Ziemi, jaka rasa, stojąca milcząco przy każdym domu, zaglądnąca nieruchomo przez każde okno, opanowała planetę. Miliardy drzew, stojące od setek milionów lat, nieporuszone, posępne i lekceważone, jedyni władcy, którzy pozostaną tu na zawsze, także wtedy, kiedy z powierzchni Ziemi już dawno zniknie ostatni człowiek, ostatnie zwierzę zostanie pochłonięte przez zielen. Pokazujące swoje obce, bezokie oblicza tylko takim jak on, o wpół do czwartej nad ranem, kiedy łzawią ci oczy i świat wokół zapada się pod własnym ciężarem.

Próbował nie myśleć o Wojtku umierającym w samotności i o tym, jak dawno z nim nie rozmawiał, może nigdy tak naprawdę, bo nigdy nie byli ze sobą blisko, bracia, którzy tak naprawdę nigdy się nie poznali. Wiedział o tym i nie chciał teraz udawać przed sobą czegoś innego, bo świat tracił barwy i zbliżała się ta godzina, kiedy najtrudniej być ze sobą szczerym, bo o tej porze człowiek staje się okrutny i znajduje złą przyjemność w pomnażaniu własnego cierpienia, ale też jest to czas, kiedy nie umie się kłamać przed sobą i oszukiwać samego siebie. Próbował zatem nie myśleć i nie zasnąć, wciskał równomiernie gaz, samochód połykał kolejny łuk drogi. Agata oddychała obok w równym rytmie, skulona na siedzeniu i przykryta jego wiatrówką. I jechał dalej.

Brudziak odwiesił radiostację.

— No, Małolat, zbieramy się. Nasi zaraz tu będą.

Rafał mechanicznie przytaknął głową. Słońce znów zaszło za chmury. Było mu coraz zimniej. Jakby i on, i ciemne niebo czekali już tylko na pierwsze płatki śniegu.

Adam Braksator klął pod nosem, czemu to zawsze musi przytrafić się właśnie jemu, i patrzył na sznur samochodów ciągnący się aż po odległy łuk zakrętu. Dalej pewnie też nie było lepiej. Bębnił palcami o sztywny plastik na pokrywie poduszki powietrznej. Stali w korku. Do Strzeszowic zostało im kilka kilometrów. Ciąg samochodów wydłużał się i krzepł w bezruchu z każdą minutą.

— Fellini, cholera, błagam cię... Zróbmy coś.

Darek patrzył pustym wzrokiem w światła stopu fiata punto przed nimi.

— Przecież widzisz, co się dzieje. Gdzieś dalej musiał być wypadek. Pewnie zaraz zaczną puszczać ruch wahadłowo. Już tam musi ktoś być.

— Fellini, chłopie, to my musimy właśnie gdzieś być! Szlag by to trafił! To może jest tu choć jakiś objazd?

Darek milczał.

— Mówię do ciebie, kurwa mać! To przecież ty miałeś nas tam dowieźć, tak? Co ci powiedział Górski? Jak nie chcesz robić tego materiału, to go nie rób, kurwa, twój biznes. Ale ja cię przed szefem krył nie będę, na to nie licz. Jak jesteś taki kozak, to niech se z twojej dupy zrobi wycieraczkę. Co ty, kurwa, myślisz? No, jak oni się dowiedzą, Górski i prowadzący wydanie, jaki temat mieliśmy pod nosem? To co, zapłaczą rzewnymi łzami nad straconą popierdólką z Volkswagena? Będą nas rozliczać za działanie niezgodne z wcześniejszymi ustaleniami? No bądźże poważny, Fellini. Przecież oni nas wytrzaskają po pyskach, po równo, a potem wypierdolą z tej roboty na durny łeb za puszczenie takiego tematu, kiedy możemy mieć zdjęcia na gorąco. Ja się dziwię, czemu szef jeszcze do nas nie dzwonił. Ale

nie, to nie, on ma nas w dupie, to i ja będę go miał w dupie. Pewnie o nas zapomnieli, telewizja publiczna, kurwa wasza mać. Albo jeszcze nie wiedzą, co tu się stało. Nie wiedzą, rozumiesz? Jesteśmy pierwsi, Fellini, noż kurwa mać! Pierwsi... Ja pierdołę, tacy z nich profesjonaliści, jasne. Ale ja mu też nie będę wchodził w odbytnicę. Tylko jak już przyjedziemy z materiałem, o, kurwa, wtedy zobaczysz. Wtedy dopiero to mu chuj opadnie.

Darek milczał. Samochód przed nimi podtoczył się parę metrów, znów stanął. Podjechali.

— Tylko ty nas, ja ciebie błagam, tam po prostu zawieź...

— Przecież widzisz, Adam, co tu się...

Pobocze było za wąskie, żeby samochód mógł po nim przejechać; Adam wychylił się i spojrzał znad kierownicy, czy nikt nie nadjeżdża pasem ruchu w przeciwną stronę. Do zakrętu było pusto, na razie nikt tamtędy nie jechał.

— Ty, dawajmy tędy... Po lewej.

— Ale...

— No daj spokój, kto stamtąd wyjedzie? Wypadek był, nie pamiętasz? Cała droga wolna.

Fellini gryzł wargę, nie wydawał się przekonany.

— Adam, tak nie można... A co, jak tamtędy będzie ktoś jechał? I wiesz co ci kierowcy z korka z nami zrobią, jak wyskoczymy z szeregu? Przecież tak chciałby pojechać każdy. Tak się nie robi...

— Co się nie robi, o czym ty, kurwa, do mnie rozmawiasz? — Adam zamknął laptop, oczy mu błyszczały. — Jakie „każdy”? My nie jesteśmy każdy, my jesteśmy z mediów, weźże oprzytomniej wreszcie. Fellini...

— A jak tam jednak będzie coś jechało?

Tego już było dla Adama za dużo. Coś się przepaliło, jakiś bezpiecznik, jakiś drucik w głowie. Nie umiał już normalnie rozmawiać z ludźmi takimi jak Darek Babel. Jakbyś płynął przez kisiel, pił na pustyni wodę przez słomkę. Nic się nie da zrobić, wszystko jest za trudne; na każde pięć „tak” oni zawsze mają sześć „nie”, jebana rasa. Zawsze jest milion powodów,

żeby odpuścić, żeby się poddać, żeby schować głowę w piasek. Taka ludzka mierzwa, w której musisz brodzić, po pas i po barki, po brodę i usta, jak w szambie, jeśli chcesz kiedyś dojść do czegoś. A Adam chciał, szlag, no jasne, chciał, jest ktoś, kto by nie chciał? Przypomniawszy sobie ojca. To dlatego uciekł z Wałbrzycha, kiedy tylko mógł, kiedy tylko pracując w jednej z głównianych knajp dla bezrobotnych górników, bezradnych, pokonanych przez życie, którymi pogardzał, zdołał odłożyć tyle, żeby wyjechać do Wrocławia i wynająć tam mieszkanie na miesiąc, więcej nie było trzeba. Przez miesiąc, kurwa, to można świat opłynąć, wygrać wojnę w Iraku, można wszystko. Znalezienie jakiegokolwiek pracy i wczepienie się w życie zębami, jak pies, jak pitbull z zakrwawioną mordą, żeby już nie puścić, żeby nie musieć wracać, to już jest nic w miesiąc, mniej niż bułka z masłem. Ale nawet wtedy trzeba się spotykać z takim ludzkim chwastem.

Ojciec też taki był. Cichy, jak to mówią, pokornego serca, jak jakiś jebaniec z niedzielnych kazań u księdza nieroba. Biedak zwyczajny, eunuch, kurwa, emocjonalny eunuch. Nie uchlewał się, matki nie bił, tak mówił Robert, najstarszy brat, dużo starszy od Adama, dwanaście lat, technik chemik w jednej z nielicznych firm, które zaryzykowały i otworzyły w Wałbrzychu swoją filię, kiedy jeszcze giełdy na całym świecie nie przetrząciły karku w efektownym *salto mortale*. Popili wtedy, pierwszy i jedyny raz, gdy przyjechał do niego do Wrocławia na drugim roku studiów, dopiero wtedy, potem Adam unikał u siebie nawet braci.

No i nie bił, wielkie halo, no i co, kurwa, z tego? Niech mu order dadzą. Adam też nikogo nie bił, jak pił, to rzadko, to co, teraz miał oczekiwać na brawa? Tylko za brawa nie kupi się mieszkania, nie kupi żarcia, nie kupi niczego. Dobre uczynki dziś nie wystarczą, nigdy nie wystarczały. Jak nie miałeś brzęczącej monety w sakiewce, to nigdy nie byłeś człowiek godny szacunku, najwyżej utyłany w syfie, wytarzany w gównie szalony święty, przed którym każdy wykonuje znak krzyża, ale do domu już go nie wpuści, od stołu wara. Ojciec dostał po pysku od życia, dobra, zdarza się. Ale

czemu nic z tym nie zrobił, na co czekał? Eunuch bez pragnień. Ludzka ameba.

Adam tak myślał o nim wtedy i tak myślał o nim dziś. Żeby tak zupełnie nie umieć złapać życia za jaja, ścisnąć i wydusić, ile się da. Bezrobotny kładący sąsiadom kafelki, naprawiający kolanka pod umywalkami, po znajomości, nie, naprawdę nie trzeba, proszę schować te pieniądze. Złota rączka, tak, jasne. Raczej biedna rączka, kiedy skończyła się robota w kopalni, wyciągnięta w zebrzącym geście, no, wrzucić monetę, jak u nich wszystkich. A do roboty to, kurwa, nie łaska? Skąd się te monety niby biorą? Z kasy państwa? Z worka świętego Mikołaja? Dotacji unijnych? Jasne. A może z dupy?

Adam Braksator już wiedział, skąd się biorą, i wiedział, co musi robić, żeby już nigdy nie wrócić do zatechłej nory rodziców, w której nawet podłogi były poprzekrzywiane, odkąd obsunęła się kolejna z podziemnych sztolni pod miastem. Może nawet uda mu się w tym roku nie jechać tam na Wielkanoc, pośle im pieniądze przez braci? Przecież to taki cholerny wstyd mieć takich zniedołężniałych rodziców, którzy nigdy do niczego nie doszli, zawsze byli tylko dojeni przez innych, którzy niczego nie mogą ci dać nawet na starcie. Adam nie zamierzał jeszcze zakładać rodziny i nie sądził, żeby założył ją kiedykolwiek, rodziny miał po dziurki w nosie, do przesady, do wyrzygania. Ale jednego się od niej nauczył. Okazje są jak wypchany portfel leżący na chodniku. Nieważne jaki byłbyś porządny, jeśli nie schylisz się po niego ty, w mieście zawsze znajdzie się choć jeden większy cwaniak, który zrobi to za ciebie.

— No dobra, Fellini. To wypierdalaj. — Adam rozpiął pas bezpieczeństwa, odłożył komputer, zaczął wysiadać. — No, wypierdalaj do mamusi. Sam poprowadzę.

Darek zbladł jeszcze bardziej. Za oknem zrobiło się ciemniej, słońce znowu schowało się za chmury, ciężkie, obwisłe, skłębione jak brudna wełna, mokre od śniegu.

— Dobra, Adam, dobra... wyluzuj... — wychrypiął przez ściśnięte gardło. — Zamknij te cholerne drzwi. Spróbujemy pojechać bokiem.

Adam z powrotem usiadł w fotelu.

— Fellini, tu nie chodzi tylko o pracę. — Zapiął pas. — No, dawaj, jedziemy. Wciskaj gaz.

Darek Babel jeszcze chwilę zwlekał, jakby myślał, w jaki sposób najlepiej wykonać manewr, potem jak uczeń na kursie na prawo jazdy włączył kierunkowskaz, *tyk-tyk-tyk-tyk*, wrzucił bieg i zacisnął dłonie na kierownicy. Czekał, jakby spodziewał się nagłego wybuchu pandemonium klaksonów, wściekłych przekleństw rzucanych zza nerwowo opuszczanych szyb; nic się nie stało. Puścił sprzęgło i wyjechał wolno z rzędu aut. Z każdą chwilą nabierał prędkości.

— A o co?

— Słucham? — Adam drgnął, wyrwany z zamyślenia.

— No to o co tu chodzi, jak nie tylko o pracę? — Darek patrzył uważnie na zakręt, jakby za moment miał zza niego wyskoczyć sześciotonowy monster truck, żerujący na wrakach zmiażdżonych coupé i mikrych samochodzików rodzinnych, albo spychacz z zębatą łyżką opuszczoną dokładnie na wysokości ich głów. Starał się nie spoglądać na odprowadzających ich wzrokiem kierowców, siedzących w unieruchomionych autach.

— Co? — Adam wyglądał, jakby dalej nie rozumiał.

— No, przed chwilą powiedziałaś. Tu nie chodzi tylko o pracę. No to o co?

Adam westchnął ciężko, jakby wracał z wyprawy w odległe, chłodne miejsce. Miętko pokonali łuk drogi. Korek samochodów po prawej wił się na całym widocznym fragmencie jezdni.

— Fellini, ja ciebie proszę, tylko mi teraz o tym nie pierdol, później będziesz miał mnóstwo czasu. No jak to o co chodzi? Nie wiem, tak się

mówi. Czy to takie ważne? O wszystko chodzi, rozumiesz? O wszystko. O życie.

Darek Babel już się nie odzywał. Jechali dalej. Szybko pokonywali kolejne metry, kilka razy odprowadzały ich gasnące echa gniewnych klaksonów, ale nie zwracali na nie uwagi. Adam spoglądał nerwowo na zegarek i zdziwił się, jak wolno płyną teraz minuty, jak niewiele ich minęło, odkąd usłyszeli w radiu o strzeszowickim ogólniaku. Zastanawiał się, ile jeszcze mają czasu, ile to jeszcze potrwa. Zbliżali się do kolejnego zakrętu. Przy takim tempie do Strzeszowic powinni dojechać za piętnaście, góra dwadzieścia minut.

Wyskoczyli zza kolejnego zakrętu i Darek wdepnął hamulec obiema nogami, instynktownie, rozpaczliwie szarpnął kierownicą. Samochodem rzuciło, zaczęło go ustawiać w poprzek jezdni, zaraz tyłem zahaczy o któryś z pojazdów stojących w karnym rzędzie po prawej, a Adam wbije się w wysoko uniesiony tylny zderzak ciężarówki, tnący drzwi po stronie pasażera jak nóż skórę jabłka. Trzasnęły długą serią ABS-y, przednie koła złapały przyczepność, wyprostowało ich i samochód stanął. Silnik zakaszłał, zakrztusił się i zgasł.

Przed nimi piętrzyła się naczepa dużego tira, który wysunął się z ciągu aut i zatrzymał na przeciwnym pasie. Żeby nie przejeżdżały po nim właśnie takie cwaniaczki jak oni.

— Co za skur... — przez długą chwilę Adam nie mógł ochłonać, myślał o tym, jak kanciasty spód metalowej naczepy wgryza się w karoserię kangoo po stronie pasażera, jak tnie dach, zgniata drzwi, jak jego ciało od pasa w dół, razem z resztą samochodu, klinuje się pod naczepą, a z tułowia zostaje krwawa miazga. Oddychał płytko, trzęsły mu się ręce. — Co za skurwysyn... — wyszeptał.

Kierowcy w samochodach milczeli i odwracali od nich obojętnie wzrok. Nikt by ich nie żałował.

Operator wciąż trzymał ręce na kierownicy. Adam się otrząsnął.

— Co za chuj pierdolony!

Wyszedł z wozu, trzasnął z wściekłością drzwiami.

— Jak on stanął?! Przecież tak można kogoś zabić! Zaraz...

Szybkim krokiem skierował się w stronę wysoko umieszczonej szoferki tira. Przez chwilę coś krzyczał, Darek nie słyszał co, widział tylko, jak dziennikarz coraz bardziej czerwienieje, gestykuluje gwałtownie rękami. A potem Adam umilkł, jakby słuchał czegoś, co potrafiło zdumieć nawet jego, aż wreszcie z szoferki przez okno wysunęła się wielka dłoń z wyprężonym grubym środkowym paluchem. Adam znów zaczął coś krzyczeć, kilku kierowców z samochodów obok uchyliło nawet szyby, żeby lepiej słyszeć. Ale kierowca ciężarówki już go nie słuchał. Zamknął okno. Audiencja była skończona.

Adam wrócił, biały z wściekłości. Prawie nie mógł złapać tchu.

— Co za skurwiel... — wyszeptał z niedowierzaniem, kiedy wsiadł do samochodu. — No nie wierzę, normalnie... Ty wiesz, co on powiedział? Nie przepuści nas, rozumiesz? Nie odjedzie. Ja pierdolę.... My mogliśmy tu zginąć, a on nie odjedzie, staranuje nas, jak spróbujemy go objechać bokiem. Ma w dupie telewizję, sam jest z Hollywood. Kurwa mać... Musimy czekać, jak wszyscy, tak powiedział. Czy ty coś z tego rozumiesz? Ja pierdolę, co za skurwiel...

Kierowca ciężarówki, jakby na potwierdzenie swoich słów, odpalił silnik i przejechał kilka metrów, razem z resztą samochodów, jeszcze bardziej tarasując drogę, prawie do samego rowu, za którym w równych odstępach rosły nagie po zimie drzewa. Darek milczał.

Tędy nie przejeździemy. Adam zdał sobie z tego sprawę z bezwzględną jasnością. I jak zwykle w takich sytuacjach zaczął myśleć, miał dane jak komputer, w ciszy, błyskawicznie, na chłodno, był w swoim żywiole. Co robić? Szarpać się z kolesiem? Nie, w szoferce było ich dwóch, spasiono byki, nie ma szans, Babel to ciota, nie pomoże. A jemu tylko gębę rozwałą, nie będzie mógł stanąć przed kamerą. Myślał. Próbować się przebić między

drzewami? Rów był za głęboki, jak pójdzie im zawieszenie, to w ogóle nigdzie nie dojadą. Czekać? Nie, czekanie jest najgorsze, wszystko, tylko nie czekać, czekać właśnie nie mogą. Wyjść i zapierdolić auto sprzed ciężarówki, wywlec z niego jakąś babę, spasioną, grubą krowę, rozpieprzyć jej mordę na asfalcie, skakać po głowie, a potem wsiąść za kółko i ruszyć do Strzeszowic na pełnym gazie? Tak, to mogło wypalić. Ale Babel zesra się w gacie, a bez kamery to chuj, nie plan. A potem i tak cię zgarną. Daj spokój, myśl. Myślał. I wymyślił.

— Babel. Bierz sprzęt. No, kurwa. Ruchy — dodał, widząc zdziwione spojrzenie operatora. Cedził słowa metodycznie, wyraźnie akcentując twarde zgłoski, beznamiętnie, zimnym, wypranym z emocji głosem. Jego nienaturalnie nieruchoma twarz była pozbawiona życia, wyglądała, jakby ktoś odlał ją w gipsie, pozbawił mimiki. Darek poczuł zimny dreszcz na plecach. — Co się gapisz? Będziesz, kurwa, nagrywał. Chyba jeszcze, chłopczyku, umiesz to robić?

Darek drgnął, kiedy znów usłyszał dźwięk jego głosu. Tak mogłyby mówić manekiny. Patrzył na dziennikarza bez słowa, ale Adam nie spuścił wzroku, nie mrugnął. Operator wreszcie wyszedł z samochodu i z bagażnika wydobyl kamerę. Trzymał niepewnie ciężki, czarny kształt, nie wiedząc, co robić. Adam za to wiedział.

— No dalej. Odpalaj ją, kurwa. Wskakuj do wozu na swoje miejsce. I nagrywaj. — Szukał czegoś w wyciągniętym z kurtki notesiku. — No. Jest. Zwrócił się do operatora.

— Słuchaj, Fellini. Nie mam czasu, żeby czekać — Braksator recytował dalej jak maszyna, jednym tempem, płaskim głosem. — Czekanie to ostania rzecz, na którą mogę sobie, kurwa, pozwolić. Ale w necie wcześniej znalazłem telefon do tej laski z bloga. Tej szmaty od obciągania w szkolnych kiblach. I ja teraz do niej zadzwonię. Rozumiesz? A ty to sfilmujesz. Dam na głośnomówiący, żeby było wszystko słychać. Jak my nie możemy do nich dojechać, to dostaniemy się do szkoły w inny sposób. I

tak zaczniemy nasz materiał. Relacją z samego frontu. Z centrum wydarzeń. To będzie przełom w dziennikarstwie, jeszcze nikt na to nie wpadł. Rozumiesz? Tylko mi się tu nie posraj zaraz. Jak zdjęcia będą nieostre, zajebię — dokończył i Darek mu uwierzył. — Kiwnij tą swoją zakutą pałą, czy mnie, kurwa, rozumiesz.

Darek nie rozumiał. O jasny szlag. Jezus Maria. Darek nie rozumiał. A co, jak ona, no, na przykład akurat nie może rozmawiać? Jak siedzi gdzieś pod stołem, w bibliotece albo przy sklepiku? Przecież to jak jawne dopominanie się o kłopoty. Po co prowokować los? O Boże.

— Po co...? — wychrypiał.

— Po chuja. — Adam nie patrzył w jego stronę, nie czekał na koniec pytania, już wybierał numer. — Po gówno. Po materiał. Bo ja tak chcę. Chuj cię to obchodzi. Kręcisz już, kurwa? No to lepiej zacznij. — Dopiero wtedy popatrzył na operatora. — Ja nie żartuję.

Darek chciał jeszcze coś powiedzieć, ale tylko odwrócił wzrok, starał się nie spoglądać w stronę kolegi, nie mógł znieść widoku jego twarzy, mającej wyraz woskowej lalki, jakby ktoś poprzecinał mu na niej nerwy. Włączył wreszcie kamerę, złapał ostrość przy okropnym świetle. Niebo za oknami nabrzmiewało ciemnymi od śniegu chmurami.

Kiedy w telefonie rozległ się sygnał wybierania numeru, Adam odstawił aparat od ucha, przełączył na głośnik. Dzwonił długo, *piiik, piiik, piiik, piiik, piiik*, ale nikt nie odbierał. Darek kręcił i, jak przez mgłę, jak w malignie, zastanawiał się, czy dlatego trwa to tak długo, ponieważ po drugiej stronie nie ma już nikogo, kto mógłby odebrać, telefon leży teraz, w krzepnącej krwi, wibrując na zimniej posadzce, dwa centymetry od wyciągniętej ku niemu stygnącej dłoni, a po korytarzu niesie się upiorne echo jakiejś wesołej melodii, najpopularniejszego dzwonka ze skocznym bitem i pieprznym, hiphopowym tekstem. A może dziewczyna ma wyłączony dzwonek, na pewno ma, przecież musiała mieć, kiedy wchodziła na lekcję, i teraz tylko drgnęła, ukryta w śmierdzącym starymi szmatami

schowku na szczotki, kiedy w kieszeni zawibrowało nagle przenikliwie, bez dźwięku, jakby dotknęło ją rozwirowane wiertło dentystki albo rozpalona do białości, dymiąca końcówka lutownicy. Nie odbieraj, proszę cię, nie odbieraj, odrzuć połączenie, przecież to absurd. Nikt, kto mógłby cię uratować, nie będzie do ciebie dzwonił. Nie odbieraj, nie...

Odebrała.

Darek Babel filmował.

Zastanawiał się potem wielokrotnie – tyle razy – jak to się odbyło. Czy kiedy już usłyszała kroki, gorączkowo zaczęła szukać telefonu w torbie, próbując go uciszyć, tak jak powinna to zrobić przed lekcją, o Boże, proszę, już nigdy nie wezmę telefonu do szkoły, błagam, proszę, ten ostatni raz, próbując go wyłowić rozedrganymi palcami, patrząc przez łzy bezsilności, chcąc go roztrzaskać, rozpieprzyć o ścianę w drobny mak? Czy kiedy już miała aparat w dłoni, a drzwi w klasie otworzyły się, wyważone kopniakiem, drugim, trzecim, piątym, pomyliła się, przez przypadek nacisnęła klawisz odbioru połączenia? Albo, powodowana przyzwyczajeniem, odebrała instynktownie, tak jak tyle razy przedtem i nigdy potem? A może chciała odebrać, irracjonalnie, jakby to mogło coś zmienić, jakby właśnie przez telefon mógł nadejść ratunek? Nigdy się tego nie dowiedział.

Dziewczyna odebrała.

Usłyszeli w samochodzie trzaski i charakterystyczny pogłos, kiedy ktoś nie trzyma mikrofonu telefonu przy ustach, i oddech, przeraźliwie pospieszny oddech, i kroki, i słowa.

Darek Babel filmował.

Mimo słabego światła, w oku kamery widać było wyraźnie twarz Braksatora, wpatzonego w telefon, jakby trzymał w rękach czarną dziurę; twarz białą jak surowe ciasto, z której odpłynęła wszelka krew, na której tylko prześwituje skóra i widać rozpiętą pod nią trupio maskę kości.

Słyszeli wszystko. Jak staje nad nią. Jak pyta o to, czy wierzy w Boga. Jak długo słucha jej milczenia. A potem odpowiedzi, wyszeptanej zniekształconym elektronicznie głosem. Jak się śmieje, a ona płacze. Jak mówi, żeby zatem klęknęła, jak do modlitwy. Jak strzela, a w klasie rozlegają się przerażone piski. Jak te strzały rozbrzmiewają niczym metaliczny wybuch po drugiej stronie połączenia, w kabinie stojącego na poboczu samochodu. Jak strzela dalej, metodycznie, raz za razem, aż piski milkną i nie słychać już nic. Jak odchodzi i kroki cichną, jak obijają się o ścianę wyłamane drzwi.

Mimo pogłosu i słabego światła jakość nagrania była idealna.

godzina 9.56

Wioleta spojrzała ponownie na zegarek telefonu, od jej ostatniego spojrzenia cyfry na wyświetlaczu nie zmieniły się. Spróbowała sobie przypomnieć, o której to wszystko się zaczęło, kiedy wyszła z klasy, ile już tu siedzi. Ale nie mogła, minuty mieszały się, nie potrafiła ich odjąć, dodać, za każdym razem wychodził inny wynik. Czuła się tak, jakby w śmierdzącej, zatęchłej toalecie spędziła eony, jakby obserwowała stąd, jak rodzą się łańcuchy górskie, wypełniają wodą jeziora, parują tropikalne morza, starzeje się świat.

Boże, nie daj mi zwariować, proszę. Niech ktoś tu wreszcie przyjdzie. Niech wreszcie to się skończy.

Nasłuchiwała dźwięku kroków, którymi po korytarzu nadchodziłaby jej śmierć. Nie słyszała nic, jakby szkoła była pusta, jakby budynek okrył nienaturalny, owadzi kokon ciszy. I to było jeszcze straszniejsze, każdy oddech, który i tak próbowała powstrzymać, świszczwał w uszach jak wiatr na skalnych występach, pospieszne uderzenia serca dudniły w szkolnej toalecie jak rozkołysany przez burzę dzwon. Czuła się, jakby podczas szkolnego apelu, w całkowitej ciszy, nagle rozdzwonił się jej telefon,

wysokim, piskliwym dźwiękiem, a oczy wszystkich momentalnie, w jednej chwili, skierowały się w jej stronę. Jakby weszła naga do kościoła.

Próbowała się modlić, ale zapomniane formułki, których tak dawno nie powtarzała, brzmiały jakoś sztucznie, jak słowa w innym języku, wypowiedane mechanicznie i bez zrozumienia. Ojciec zabierał ją kiedyś w niedzielę do kościoła, najpierw z matką, w końcu chodzili we dwójkę, trochę jakby wstydząc się siebie nawzajem, jakby szli tam za karę, jakby ktoś ich do tego zmuszał. Przynajmniej ona tak to odczuwała. Kiedyś próbowała o tym powiedzieć ojcu, zapytała, czy nie mogłaby zostać w domu, jak wszyscy znajomi, umówić się z nimi do kina albo do galerii we Wrocławiu, ale ojciec popatrzył na nią tak, jak tylko on umiał, bez słowa, i coś ją zakłuło w środku, jak wtedy, kiedy w podstawówce przynosiła do domu jedynekę za brak odrobionego zadania. Włożyła w końcu kurtkę i poszła z nim, w milczeniu, kolejny raz.

Mama chodziła z nimi coraz rzadziej, zawsze miała inne rzeczy na głowie, albo odpoczywała, siedziała w kuchni nad kubkiem herbaty, czytała książkę i odprowadzała ich do drzwi obojętnym spojrzeniem, bo w soboty też pracowała, albo gotowała obiad. A kiedy wyjechała, Wioleta przestała wychodzić z ojcem gdziekolwiek. Oklepane formułki modlitw zapomniała już wcześniej.

Teraz spróbowała się więc modlić własnymi słowami, tak jak ją kiedyś uczyła babcia. Wystarczy, jeśli będziesz z Nim rozmawiała jak z przyjacielem, mówiła podczas wakacji, całując ją na dobranoc i układając do snu. Wystarczy, żebyś z Nim porozmawiała, choćby wieczorem w łóżeczku albo wtedy, kiedy będzie ci źle. No, spróbuj. Zobacysz, to łatwe. A teraz było jej źle i próbowała, ale nie umiała odszukać właściwych słów, znajdowała w sobie tylko smutną, beznamietną pustkę, i nic nie było łatwe. Czuła się, jakby była z drewna: drewniane ręce, drewniana twarz, mokra jak od deszczu, i głowa drewniana, i oczy pociemniałe, też drewniane. Jakby nagle znalazła się w obcym ciele, palce jak zdrętwiałe kawałki

martwej materii, skóra nieczuła niczym guma. Gdyby teraz spuściła nogi na podłogę i wstała z sedesu, choć to przecież niemożliwe, gdyby wsadziła palec między drzwi a futrynę, mogłaby nimi trzasnąć z całej siły, huknąć, aż zadzwoniłyby zęby, i nie poczułaby nic. Usłyszałyby tylko trzask pękającej kości, na pokrytą lamperią ścianę chlapnęłyby krew ze zmiążdżonych tkanek, i już. Mogłaby podnieść okaleczoną dłoń do twarzy i przyglądać się nieswoim wzrokiem zakrwawionym odpryskom kości, jakby oglądała wyrysowany na kartonie szkic z sekcji martwego zwierzęcia.

O Boże, proszę... Niech to się wreszcie skończy...

Spróbowała otrzeć łzy. Miała wrażenie, jakby palce przejechały po papierze ściernym. Zrobiło się ciemno, słońce za oknem musiało zejść za kolejną chmurę. Popatrzyła na zegarek w telefonie. Zastanowiła się, jak to będzie, kiedy spadnie śnieg i mokre płatki zaczną opadać na skrzepłe kałuże pośrodku szkolnego podwórka, przykrywać szklane odłamki na betonie. O Boże, Boże, ja tak bardzo nie chcę umierać, jeszcze nie teraz...

Drgnęła. Ktoś naprawdę szedł po korytarzu, czy tylko jej się zdawało? Wstrzymała oddech, serce biło jak oszalałe, stój, przestań, proszę, przestań, jakby ktoś dobijał się do wzmacnianych stałą drzwi. Nasłuchiwała. Czy to już? Wokół panowała cisza.

Przetarła jeszcze raz oczy, niedokładnie, ale wystarczyło. Cyferki na wyświetlaczu przestały się rozmazywać. Z trudem odnajdując właściwe klawisze, myląc się, wielokrotnie kasując błędny znak i próbując go wystukać na nowo, zaczęła pisać SMS-a. Tato,jestemUwiezionaWToalecieNaDrugimPietrze.NieWiemCoRobic,TakBardzoSieBoje.ZarazTuPrzyjda.KochamCie,tato.TakBardzo.PrzepraszamZaWszystko.

Nacisnęła przycisk i obserwowała, jak na telefonie obraca się ikona wysyłania wiadomości.

Co więcej można napisać, kiedy już umarłaś?

Schował telefon do kieszeni spodni. Powstrzymał się, nie zadzwonił. Kurwa mać.

Wrzucił bieg i zwolnił sprzęgło, trochę zbyt pospiesznie, samochód gwałtownie włączył się do ruchu. Spokojnie, człowieku, brakuje tylko, żebyś teraz wbił się jeszcze komuś w furę i żeby zatrzymała cię policja. To nie zabawa, pamiętasz? Uspokój się, oddychaj głęboko, wypierdol z głowy zbędne myśli, już nie będą potrzebne. Otwórz okno, o tak, nie za szeroko, żeby cię nie wzięli za czubka, ale otwórz, o tak, właśnie; wystarczy. Czujesz, jak powietrze mrozi ci skórę? Wciągnij ten chłód, głęboko, w płuca, w krew, niech rozleje się po ciele błękitnym lodem, jak żel, jak kra w przeręblu. Czujesz, jak szron osiada na twarzy? Jak sztywnieją rzęsy, powieki skrzypią niczym zmrożony brezent? Z ust unosi się siwa para, coraz gęstsza, coraz bielsza, oddechy są coraz wolniejsze, szron pokrywa policzki – czujesz to? – lód ścina mózg, osiada na desce rozdzielczej samochodu i wewnętrznej powierzchni szyb. Już, spokojnie. Tak.

Horowitz też chodził do liceum w Strzeszowicach. Po studiach razem z Beatą zamierzali wyprowadzić się do większego miasta, myśleli oczywiście o Wrocławiu, ale tu mieli już mieszkanie po samotnej ciotce Beaty, mieli znajomych, którzy nie wyjechali do Wrocławia, a kiedy pojawiła się Wioleta, tu mieli też babcię i miejsce w przedszkolu, którego dyrektorka była koleżanką jego matki. Więc zostali. Horowitz skręcił teraz łagodnie w Brzozową na peryferiach miasta, objechał miejski stadion i długi, odrapany budynek nieczynnej fabryki kleju, skierował się w stronę działek.

Kiedy dojeżdżał, bał się, czy drogi nie zablokowała już policja. Minął ostatnie budynki mieszkalne i jechał niespiesznie, równym tempem, manewrując po mieście tak, żeby ominąć główny wyjazd na Wrocław, na którym, jak podali w radiowym komunikacie dla kierowców, robił się coraz większy zator. Skręcił w boczną uliczkę. Droga była zniszczona, dziurawa. Kiedy się zatrzymywał na poboczu, przy wypełnionym śmieciami rowie i odmalowanej rok wcześniej drucianej siatce, otaczającej ogródki

działkowe, wyminął go brudny bus oklejony reklamą lokalnej masarni. Horowitz zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Było ciemno, niebo zasnuło się ciężkimi chmurami. Ściągniętą wcześniej marynarkę zostawił na tylnym siedzeniu. Stał obok auta. Zimno. Tak, właśnie. Myśli jak lód na szybie.

Przed nim, pomiędzy koronami nagich drzewek owocowych, pomiędzy dachami altanek i szop na narzędzia, ponad płotami oddzielającymi działki, majaczył budynek szkoły.

Otworzył bagażnik. Przerzucił różne śmieci, zalegające tam jeszcze od czasu, kiedy zdarzało mu się przewozić futryny do okien i puszki z farbą, odnalazł zwinięte w plastikowym pokrowcu narzędzia samochodowe. Ulicą przemknął kolejny samochód, niebezpiecznie podskakując na wybojach. Horowitz wrócił do swoich zajęć. Z elastycznej przegródki wyciągnął klucz do opon. Zważył w dłoni. Narzędzie było krótkie i ciężkie. Nada się. Przerzucił raz jeszcze szpargały zaścielające dno bagażnika. Zaczął padać śnieg. Mokre, ciężkie płatki wirowały z niskich chmur, podrywane uderzeniami wiatru, opadały na kark, na ramiona, przesączały się przez cienką białą koszulę. Gęste kłęby oddechów wiły się wokół głowy. Znalazł to, czego szukał. Wziął czarną, mocną taśmę klejącą i schował ją do kieszeni.

Oddychał, wystawiając twarz na mokre, zimne pocałunki chłodu.

Przypomniawszy sobie noc na poligonie, w zimie, kiedy pili przemycony bimber i grzali się przy koksowniku, a na warcie zastrzelił się ich kolega, przystawił pod brodę lufę kałasznikowa z załadowanym regulaminowym magazynkiem i pociągnął za spust.

Nie, nie teraz.

Oczyścić umysł. Biel, para nad warstwą kry na górskim strumieniu, przezroczyste, szare wody, lód. Pustka w głowie.

No, już.

Zamknął z trzaskiem klapę bagażnika, domknął drzwi od strony kierowcy. Nie chciał, żeby ktoś zatrzymał się na poboczu, zamierzając

sprawdzić, kto zostawił otwarty samochód. Zastanowił się, za ile przyjedzie tu policja, bo kiedyś musi przyjechać, to pewne. Większość funkcjonariuszy też chodziła do strzeszowickiego liceum i wiedziała, któredy najlepiej wymykać się na wagary i jak uciekać, jeśli dyrektor przyłapie kogoś na paleniu na działkach. Część funkcjonariuszy, którzy tu wreszcie zajadą, być może chodziła razem z nim do szkoły, być może nawet do tej samej klasy. Nie przypominał sobie, żeby po liceum ktoś poszedł do policji, ale kontakty utrzymywał tylko z kilkoma osobami, nieregularnie, później urwało się nawet to. Unikał spotkań rocznicowych, nie założył konta na Naszej Klasie ani na Facebooku. A teraz to wszystko nie miało znaczenia. Ściskając klucz do opon, skierował się w stronę drucianej siatki.

I drgnął, jakby coś zakłuło go w sam mózg, u podstawy czaszki. Wibracja z telefonu ugryzła w udo jak szerszeń, rozległ się narastający dźwięk dzwonka, którego oczywiście nie wyciszył. Dostał SMS-a.

Poczuł na wargach krew. Musiał przegryźć sobie język albo policzek. Nie wiedział, nie czuł bólu. Śnieg padał, wirował w zimnym wietrze, topił się na skórze. Para buchała z ust. Zrobiło się jeszcze ciemniej.

Ciężko oddychając, oparł się o chropawy słupek podtrzymujący druciany płot. Wyciągnął z kieszeni telefon. Ręka prawie mu nie drżała. Przeczytał wiadomość, a potem stał, długo, z przymkniętymi powiekami. Wreszcie otarł z policzków topiący się śnieg, rozmarzły szron, na pewno to, odpisał krótkim SMS-em. Palce nie drżały.

Już był spokojny.

Chwycił mocno słupek od płotu, wskoczył jedną nogą na siatkę, tak jak nie robił tego od trzydziestu lat. Poszło gładko. Był na działkach. Między dachami altanek mignęła mu brudnoczerwona bryła szkoły.

TrzymajSie,Krolewno.Slyszysz?JeszczeChwila.Wytrzymaj.

IdePoWas.

Pewnego razu Kapitan Krzyżak zaprowadził ją na skraj rozległej czarnej równiny, rozciągającej się po widnokrąg, zasnutej ciemnym dymem. Kiedy stanęli na jej krawędzi, spod stóp Ewy wzbił się tuman pyłu, który wolno osiadał na nagich łydkach. Skóra zaczęła delikatnie swędzieć, jakby ktoś wcierał w nią drobne nasiona dzikiej róży. Ziemia była tu cieplejsza niż reszta podłoża i, jak po chwili wydało się Ewie, nieznacznie, ledwo wyczuwalnie pulsowała, powoli, w nieregularnym rytmie.

— Patrz, Hawwa. — Kapitan Krzyżak stał obok niej z beznamiętną twarzą i błyszczącymi nieruchomo czterema parami oczu. Ewa patrzyła.

Tu jeszcze nigdy nie zaszli. Kraina wokół była jednolita, niezwykajnie wypłaszczona. Dziewczyna kucnęła i przyjrzała się pyłowi. Jak suchy, kredowy popiół na spalonej ziemi. Jak zarodniki pleśni pulsujące w rytm oddechu ziemi.

— Chodź. — Kapitan wziął ją za rękę i ruszyli.

Prowadził ją ostrożnie, inaczej niż zwykle, stąpając uważnie i wiodąc po spirali, szerokim łuku, jakby nie chciał od razu skierować się w stronę serca pustyni. Za sobą zostawiali wyraźnie odcisnięte ślady, wokół których długą chwilę wirowały chmury pyłu. Kiedy się odwróciła, tak właśnie wyglądała trasa ich wędrówki: unoszące się w powietrzu, coraz mniejsze w perspektywie, zastygłe boje dymu, jak nieskończony, wijący się po rozległym łuku wąż. Ich ślady, Ewa miała pewność, odcisnięte w suchym nalocie, który sięgał jej już po kostki, zostaną tu na wieczność, w końcu opadną wzburzone ich krokami tumany pyłu, ale ślady pozostaną, dokładnie takie, jakie odcisnęli, nie zatrze ich czas i nie zasypie wiatr. Stopy i łydki pod nocną koszulą swędziały coraz bardziej, jakby kroczyła w jeziorze ognia, ale nie mówiła nic, zaciskała tylko zęby i szła dalej. Już się nie bała.

Kapitan Krzyżak uważał, żeby nie wdepnęli w jedną z rozpadlin, niebezpiecznych, zaspanych po brzegi kredowym pyłem, czasem długo

kluczył, choć ścieżka wybrana nie różniła się niczym od trasy porzuconej. I opowiadał o smoku.

Pośrodku pustyni, mówił, gdy brodzili w pyłe, w samym jej czarnym centrum, jak źrenica w oku, tam, gdzie pył zapada się, wiruje spiralnie w głąb ciemnego leja, mieszka smok. Nikt go nigdy nie widział, wszyscy wiedzą, jak wygląda. Kierując się ku środkowi pustyni, nie można do niego dojść, ale gdy smok zechce, wtedy pustynia znajduje ciebie. Mieszka w czarnym leju, a kiedy nachylasz się nad krawędzią, żeby sprawdzić, co znajduje się na dnie, na chwilę przed tym, zanim spadniesz, zanim pod stopami usunie ci się grząska diuna prochu, popiół na końcu nieruchomego wiru drży nagle, osypuje się drobnymi strużkami. I w leju otwiera się wielkie oko o barwie pustki, i patrzy na ciebie. Ale to tylko część prawdy.

Wężowe cielsko smoka opasuje sobą cały świat, całą Krainę. Jeśli się uważnie przyjrzyysz, a nie wszyscy umieją się przyglądać uważnie, zobaczysz jego przeżarte skałą sploty ciągnące się pod ogromnymi łańcuchami górskimi, łuski wyłaniające się mozaikowo spod wysypisk śmieci, miasta wybudowane na falujących w tysiącletnim rytmie żebrach, autostrady wycinające asfaltowe wzory na smoczym kamiennym ciele. Popękane zwoje, sączące krew-lawę, uśpione w czerni na dnie oceanów; kłęby porośnięte tropikalną puszcza; zmrożone na kamień kości, przebijające chropawą powłokę zbrylonego śniegu, mlecznomętne, pocięte rysami, omywane błękitną wodą w mglistej bieli za granicą wiecznych mrozów. Kiedy śni swoje czarne sny, budzą się kaldery rubinowej magmy. Gdy unosi ciężką powiekę, z hukiem pękają lodowce i powstają zygzakowate rysy na ciemnych skałach wysp, wystawiających do równikowego słońca bazaltowe oblicza. Tam, gdzie dotrze ze swoim spojrzeniem, tam swe nasiona rozsiewa pustynia. A smok nie ustaje. Ciągłe nienasycony, ciągle głodny. Z każdym oddechem pożera kolejny kawałek świata. Niszczy wszystko co dobre i wolne, zmienia prawdę na kłamstwo, rozkosz w ból, wolność w niewolę, wieczność – w wieczne konanie.

Wyjaławia Krainę. Walka jest trudna i być może od początku skazana na przegraną.

Stanęli w pyle, Kapitan popatrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem. Zapytał. Czy rozumiesz, co ci przed chwilą powiedziałem?

Ewa przypomniała sobie, jak kiedyś, jeszcze zanim poszła do przedszkola, mama opowiadała jej bajkę, w której królewna, podmieniona jako dziecko, mieszka w zwykłym domu, wykonuje zwyczajne obowiązki, ze śmiechem gotuje i pierze, nie pamiętając, kim jest, dopóki nie odwiedzi jej posłaniec z pałacu ojca, groźny rycerz w kolczastej, matowoczarnej zbroi.

— Czy ja... — Przypomniała sobie zapomniane słowo. — Czy ja... jestem wybranem?

Kapitan Krzyżak poważnie skinął głową. Z beznamietnej twarzy nie można było wyczytać niczego.

— Tak, Hawwa. Jesteś wybranem. Wszyscy nimi jesteśmy, zawsze.

Ewa się zająknęła.

— Czy... czy to niebezpieczne?

Kapitan Krzyżak patrzył nieruchomo.

— Tak.

Wokół nich rozciągała się pylista pustynia, naznaczona nieruchomymi kolumnami dymu, gładki, bury pył pokrywał ziemię po horyzont.

— Czy na końcu czeka na nas nagroda?

Milczenie.

— Przecież wiesz. Nie ma nagrody. Nie ma końca. Czy to coś zmienia?

Ewa zaprzeczyła ruchem głowy. Nie, to nic nie zmienia. Tak, pomogę wam.

— Nigdy cię nie opuszczę, Hawwa. — Kapitan Krzyżak wziął ją za rękę. I Ewa mu uwierzyła.

Tak było kiedyś. Minęło tyle lat, ale Ewa pamięta. A teraz znów staje przed Kapitanem Krzyżakiem.

Wokół nich Kraina, surowa i rozległa. Piękna nie można zabić.

Długo milczą, tylko wiatr unosi jej włosy i wokół ciała zaczynają zbierać się ładunki elektryczne, białe iskry, błękitne ogniki, zimne płomienie. A potem Ewa znów, na krótką chwilę, dotyka okaleczonej dłoni Kapitana Krzyżaka, sztywne włoski łaskoczą skórę. Pamięta. Jest szczęśliwa.

Kapitan Krzyżak milczy, tylko szczękoczułki poruszają się jakby szybciej.

— Już czas — przerywa ciszę.

Hawwa kiwa głową.

— Już czas.

Siedząca na podłodze klasy Ewa Plutar otworzyła i zacisnęła powieki. Za zamkniętymi drzwiami rozległ się cichy szmer.

Radiowozy i ambulansy zajechały bez sygnału, w ciszy, hamując łagodnie u wylotu ulicy. Brudziak uprzedził ich wcześniej o możliwości ostrzału od strony szkoły. Obok samochodów zatrzymało się kilku przechodniów, ale funkcjonariusze szybko kazali im się rozejść. Dwóch policjantów ruszyło w stronę skrzyżowania, żeby je zamknąć dla ruchu. Do sierżanta i Rafała, oglądając się nerwowo na majaczący między drzewami budynek liceum, podszedł kierujący akcją oficer.

— Cholera jasna, Marek — syknął Brudziak i odsunął się, żeby kolega z komendy mógł zobaczyć ich ostrzelany samochód — za wielu to was tu, kurwa, nie ma... I gdzie do cholery antyterrorysty?! Z Wrocławia nie jedzie się tu przecież tyle, co na Księżyc...

— Jest jakiś wypadek na drodze do Strzeszowic. Kilku naszych też tam pojechało. — Funkcjonariusz obrzucił spojrzeniem podziurawioną maskę, rozglądając się po ulicy, popatrzył na widoczną w oddaleniu bramę szkoły, jakby dziwił się, jak się tu znalazł i co w ogóle można zrobić w takiej sytuacji. Reszta policjantów zabezpieczała przed gapiami wjazd na Krasickiego.

Rafał Madera zastanawiał się, czy tam, w szkole, już wiedzą o przyjeździe policji.

— Wielka mi rzecz, wypadek! Codziennie się zdarzają wypadki, jeszcze poboczy gumą nie wykładają...

— Daj spokój, Dziadek, co się wkurwiasz? — Przybyły oficer dał znak, żeby poszli za nim. — Ja ich zatrzymałem? Korek jest długi jak murzyńska pyta, do tego jakieś dupki zrobiły sobie rajd po lewym pasie, to się tirowcy wkurwili i zablokowali przejazd. Polecą za to głowy, zobaczysz. Jeszcze będą z tego jaja.

Policjant zaprowadził ich do jednego z radiowozów, otworzył skrytkę i dyskretnie podał im po regulaminowym pistolecie.

— Sajdak mi mówił...

Brudziak skinął głową, podał broń Rafałowi. Gdyby ktoś to sprawdził, a oni uczestniczyliby w akcji bez wymaganego uzbrojenia, niepobranego przy wyjeździe z komendy, mogliby mieć niemałe kłopoty. Brudziak specjalnie dzwonił do dyżurnego na komórkę, prywatnie, poza radiostacją, żeby mu powiedzieć, jak się sprawy mają. Rafał długo wpatrywał się w czarny kształt, zanim wreszcie wyciągnął dłoń i poczuł pod palcami sztywny kształt kabury. Oficer skinął głową. Schronili się za autem, tak, żeby mieć widok na szkołę. Cichy, ciemny budynek wyglądał stąd jak opuszczona rudera.

— Ech, kurwa, syf, nie robota — Brudziak jeszcze przez chwilę miał pod nosem przekleństwa, ale kiedy przypinał broń, schodziło mu powoli ciśnienie. — No i co teraz?

— A co ma być? Blokujemy ulicę, pilnujemy, żeby nikt ze szkoły nie uciekł. I czekamy, aż zajadą kozaki z Wrocławia. Niech się oni martwią.

Odezwała się radiostacja. Kolega Brudziaka odebrał.

— Co, jakiś samochód zaparkowany na działkach z tyłu szkoły? Tak, tak. No to sprawdzić, do kogo należy, jasne. Jak będziecie coś wiedzieli, meldować.

Rafał już go nie słyszał. Drgnął, gdy od strony budynku, jak mu się wydawało, usłyszał stłumiony pogłos, jak bardzo daleki, bardziej wyczuwalny niż słyszalny pomruk burzy. Rozejrzał się. Musiał się przesłyszeć. Żaden z policjantów przy radiowozach i u wylotu ulicy nie zwrócił na to uwagi. Z zaciągniętego nieba zaczęły spadać pierwsze płatki mokrego śniegu. Zamknął powieki. Śnieg wirował, topił się na twarzy.

Czekali.

Dopiero na drugim roku studiów natrafił na informację o Witoldzie Pileckim. Kiedy się już wgłębił w temat, przeczytał dostępne teksty, poznał listy rotmistrza słane do córki i syna, najpierw zdziwił się, czemu dowiedział się o nim tak późno, a potem przemyślał sprawę raz jeszcze. Taki brak informacji o Pileckim i jego kolegach to była przecież sytuacja naturalna, wynik pięćdziesięciu lat cenzury i fałszowania wspomnień. Nawet po Okrągłym Stole tacy bohaterowie nie byli nikomu potrzebni. Ktoś nazwał jego imieniem szkołę, ktoś nakręcił spektakl w Teatrze Telewizji. Ale ludzie mieli teraz inne problemy na głowach, żeby odpocząć wieczorem po pracy, na którą klęli cały dzień, oglądali w telewizji inne programy. On też po okresie pierwszego zainteresowania odłożył temat, wrócił do historii nowożytnej, łaciny, wkuwał do egzaminu z historii gospodarczej XIX wieku i wybranych jako fakultet dziejów Rosji. Ale zapomnieć już nie mógł.

Dziwił się sobie, ale pamiętał te wszystkie nieistotne daty, o których przeczytał: dzień narodzin w rodzinie szlacheckiej, młodość w Wilnie, datę wstąpienia do harcerstwa, zakazanego pod rosyjskim zaborem, dzień pójścia do wojska. Budził się w akademiku, mył zęby i patrząc w ubrudzone kropelkami pasty lustro, bez wysiłku przypominał sobie dokładny szlak bojowy Pileckiego z wojny 1920 roku, obronę Grodna i wyzwolenie Wilna z nowo utworzonym oddziałem ułanów; bitwy pod Płockiem, Mławą, Druskiennikami i Kojdanowem; numery rozkazów

dziennych, w których Pileckiego dwukrotnie przedstawiano do Krzyża Walecznych.

Wiedział o powołaniu rotmistrza w '39 roku, o walkach jego ułanów z Niemcami, oddział miał potwierdzone zniszczenie siedmiu czołgów i zestrzelenie trzech samolotów; legendy o szarżach z szablami na broń pancerną to były oczywiście bajki. Znał rozkaz przekroczenia granicy z Rumunią, który przyszedł 17 września, kiedy bolszewicy, z którymi Pilecki walczył dwadzieścia lat wcześniej, wreszcie wygrali swoją wojnę; znał drogę, którą po kilku tygodniach żołnierz wreszcie przedostał się do Warszawy i rozpoczął budowanie siatki konspiracyjnej. Tak samo jak inne fakty, pamiętał najszlachetniejszą akcję rotmistrza, żonatego, ojca syna i córki, który jako ochotnik przeniknął do obozu w Auschwitz i między drutami kolczastymi budował strukturę partyzancką, przygotowującą się do walki w razie szturm z zewnątrz. Przez trzy lata Pilecki zbierał informacje i budował zręby obozowego ruchu oporu. Kiedy wykonał swoje zadanie, uciekł; datę, kiedy tego dokonał, i zrekonstruowaną trasę ucieczki, Rafał pamiętał także.

Potem było Powstanie Warszawskie, później rok niewoli niemieckiej, wreszcie koniec wojny i powrót do Polski, w której zmienił się tylko kolor mundurów okupanta. I coś jeszcze. Teraz ci, którzy go bili, kiedy Urząd Bezpieczeństwa wpadł wreszcie na jego ślad, mówili po polsku, w języku kraju, któremu służbie poświęcił życie. Kiedy Rafał czytał o ostatnim widzeniu rotmistrza z żoną w więzieniu ubecji, próbował sobie wyobrazić, co po wszystkich owych latach musiał on czuć – głodzony, pozbawiany snu, ćwiczony jak zwierzę w piwnicach komisariatu, z miażdżonymi palcami, z wargami pociętymi na okruchach zębów, ale nie potrafił tego pojąć, nie mógł sięgnąć myślą tak daleko. Wiedział tylko, co czytając te fragmenty, czuje on, Rafał Madera, student historii w wolnej Polsce, w której starsi panowie, po odwieszeniu na kołek mundurów, brali dziś sute emerytury i mówili bez wstydu, jak to było spokojnie za komuny,

przynajmniej każdy miał pracę, a młodzi im wierzyli i kiwali głowami, bo przecież stała praca i brak żuli na ulicach to ważna rzecz, kto by tego nie chciał.

Wiedział tylko, co czuje on, czytając o sfałszowanym procesie sądowym, wykonanym wyroku śmierci, o strzale w tył głowy, pod murem, Pileckiego wreszcie dogonił jego własny Katyń, o zakopaniu zwłok na wysypisku śmieci, w nieoznaczonym dole, jak psa – i to musiało mu wystarczyć. Patrzył na niewyraźną reprodukcję zdjęcia rotmistrza, mężczyzny o wysokim czole, blisko osadzonych oczach, ptasich, drapieźnych rysach i zaciśniętych ustach. No chodźcie, kurwy, czarne i czerwone, mówił ten wyraz twarzy. No, chodźcie. Rafał spoglądał wtedy na obcą twarz człowieka, który nie dał się złamać, i próbował zrozumieć.

A potem patrzył na uśmiechnięte twarze w telewizorze, odmieniające Polskę przez wszystkie przypadki, wycierające sobie Polską ryja jak pijak rękawem pysk po pawiu, albo odwrotnie, mające ją w dupie programowo, jeśli wspominające, to tylko z pogardą, i wiedział, jakie to dziecinne, te jego myśli, ta wiara w Pileckiego niczym w bohatera z książek Coopera czy Londona, ale symbol był mocniejszy, zawsze jest, wżarł się w kości, rozpuścił we krwi.

Gdy o tym myślał, dochodził wreszcie do wspomnień o ojcu. To nie był dobry dzień, kiedy powiedział mu o egzaminach na historię. Ojca, lekarza, nie było w domu całe dnie, dużo pracował i nie miał czasu na myślenie o przeszłości i ojczyźnie. Drugi syn skończył ekonomię, robił studia doktoranckie. Starego Maderę bardziej interesowało, czy młodszy z braci zdoła się po studiach sam utrzymać. I czy córka, młodsza o rok siostra Rafała, nie zrobi podobnego głupstwa.

Rafał pamiętał jego wzrok, kiedy z rozkołatanym sercem mówił mu o swojej decyzji, pamiętał ciszę, którą ojciec skomentował informację, nie robił awantur, nie próbował go od niczego odwodzić, na to był za mocny. Ale to nie była dobra cisza i to nie był dobry dzień.

Tamto milczenie zabolalo go wtedy najbardziej, gdyby ojciec coś powiedział, pewnie zmienilby zdanie, dal się przekonać, a tak, tylko zaciął się w sobie jeszcze bardziej, też milczal, wiedzial, jak to robic, uczyl się od najlepszych. Dopiero później, może właśnie po Pileckim – lubil tak o tym myslec – zrozumial, skąd się bralo to wychowujace go na równi z ojcowską nieobecnością milczenie rodzica, coraz bardziej zmęczonego, przygarbionego, walczacego codziennie ze śmiercią w wojnie, której nie można wygrać, w walce bez złudzeń, w której jednak ojciec Rafała poddac się nie umial. Kiedy chłopak to zrozumial, polubil ciszę i milczenie juz mu nie przeszkadzalo.

A teraz wszystko mialo się zmienic.

Czekali.

Gdy wiele lat później (to był przyjemny obraz) Agnieszka ubieralaby ich syna, idacego pierwszy raz do szkoły, Rafał mógłby spojrzec na dziecko i przypomniec sobie ten dzien, pomyslec właśnie o tym: o deszczu odlamków z rozbitego okna, pryskajacych pióropuszech kruszonego betonu, dźwięku w kabinie dziurawionego samochodu, którego wciąż nie zdołal porównac z niczym, i o tym, jak czekali, nic nie robiac, nic nie mogac zrobic. Znowu uslyszal daleki szmer, ale nie wiedzial, czy się nie przeslyszal, bo znów nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Śnieg padal coraz gęsciej. Rafał mial juz przemoczone włosy i kołnierz koszuli, zimna struzka pociekla mu między łopatkami. Wzdrygnal się. Poprawil pod mankietem zegarek, który obsunal się na zbyt luznym pasku, tandetny model bez marki, który kupil na licytacji internetowej i wkładal do pracy jak obowiazkowa część munduru, jakby to też był wymagany element sluzbowej garderoby.

— Dziadek — szepnal do klęczacego obok sierżanta, próbujac na niego nie patzec. Kolega Brudziaka gdzieś zniknal. — Przeciez nas za to zamkna... Jezus Maria.

— Stul ryja. Nikt nikogo nie zamknie, dzieciaku — głos policjanta był zimny, spojrzenie nieruchome. — Zapamiętaj to sobie. Nikt tu, kurwa, nikogo nie zamknie.

Czekali dalej.

Dioda sygnalizująca pracę kamery zgasła.

Zapadła cisza.

Adam siedział z wyciągniętą komórką. Jeszcze nigdy nie doświadczył takiej ciszy, wwiercającej się w czaszkę, białej, bolesnej, jasnej, jak szpilka w oku. Trzymał telefon, jakby nie wiedział, co ma w ręce. Obrazy przed oczami były jakieś zamglone, odległe, wypuścił i wciągnął powietrze ciężko jak miech i znów trzymał je głęboko w płucach. Po raz pierwszy w życiu poczuł, jakby cały świat znajdował się za szybą; jakby on sam był niewielkim owadem, sprasowanym starannie między szklanymi płytkami, preparatem przygotowanym pod mikroskop. Z telefonu wydobył się wreszcie przytłumiony, elektroniczny jęk. Koniec połączenia. *Biiiiip*. Połączenie przerwane.

Trzasnęły zamykane drzwi i Adam Braksator się ocknął. Popatrzył wokoło nieprzytomnym wzrokiem, szukając Felliniego. Siedzenie obok było puste. Rozejrzał się sennie, jakby spoglądał przez mętną wodę. I go znalazł. Operator szarpnął za klamkę po stronie pasażera, otworzył gwałtownie drzwi, złapał Adama za koszulę i szarpnął potężnie. Darek Babel płakał.

— Czy ty...

Operator wywlókł Adama na zewnątrz. Po twarzy ciekły mu duże, rozmazane łzy. Adam dostrzegł jego wyraz twarzy i w jednej chwili otrząsnął się z otępienia.

Spróbował się zasłonić, ale nie dał rady. Potężne uderzenie operatora przełamało nieudolną gardę, pięść wbiła się w gładko ogoloną twarz,

zmiądzzyła wargi, złamała jedynekę. Adam Braksator zachłysnął się krwią i bólem.

Operator dociągnął go do pobocza i zaczął okładać, metodycznie, jak młotem w rzeźni, raz za razem, z potężną siłą, o którą nie mógłby go posądzić nikt, patrząc na wychudzone, niepozorne ciało. Bił, jak stalowy kafar wbija mostowe pale. *Łup. Łup. Łup.* Bez litości, bez chwili przerwy. Głuchy odgłos jak podczas ubijania surowego mięsa. *Łup. Łup.* Adam charczał i próbował się zasłaniać, na próżno. Darek Babel płakał jak dziecko.

— Czy ty... — szlochał, próbował wciągnąć przez nos płynące jak woda smarki, nie widząc przez łzy, gdzie uderza, zanosząc się płaczem. — Czy ty wiesz... czy wiesz, co tu się stało...?! — *Łup. Łup. Łup.* — Czy ty wiesz, co my... co myśmy...?! — *Łup. Łup.* — Przecież ona... ona już nigdy... ta two... ta twoja niunia... — Adam stracił kolejną jedynekę, z warg zostały krwawe strzępy. Babel uderzył i trafił ponownie w już wcześniej zgruchotany nos.

Adam wreszcie wrzasnął, jak zarzynany, z przecuciem śmierci, własnej śmierci, jakby stanął na krawędzi dołu wypełnionego wapnem, a ktoś przystawił mu lufę do karku i naciskał spust. Zaczął wyć jak pies, jak zwierzę, charczący, niekontrolowany ryk; dopiero po chwili rozpoznał swój własny głos. Ludzie nie wydają takich dźwięków. Po raz pierwszy w życiu tak się bał. Rozplakał się, próbował odpluwać krew, żeby się nie zakrztusić, i zasłaniał się przed kolejnymi ciosami. *Łup. Łup. Łup.* O matko, matko jedyna, zabije mnie zaraz. *Łup.* Po każdym uderzeniu pod powiekami wybuchały aureole bólu.

— ... ona... ona już nigdy... go dla nikogo nie zdejmie... ro... rozumiesz...?! już nigdy, dla nikogo... żadnych blogów... lasek w kiblu... niczego... o Boże... niczego... czy ty to, kurwo jedna, rozumiesz...? — Babel bił, jakby od tego zależało czyjeś życie, jakby w ten sposób mógł cofnąć czas, zakrzywić przestrzeń, zmienić rzeczywistość. — ... czy ty tego

naprawdę nie rozumiesz...?! morderco pierdolony... czy wiesz, co my... co myśmy...?! mordercy... co myśmy zrobili? nikt już nigdy się tego nie dowie... nie rozumiesz...? nikt... już nigdy... Jezu... nigdy się o niej niczego nie dowie... zabraliśmy jej... zabraliśmy jej... wszystko.

Darek Babel spuścił głowę i spróbował wytrzeć łzy, płynące mu po twarzy nieprzerwanym strumieniem, jakby ktoś odkręcił w nim w końcu jakiś zawór, kurek, i teraz woda zbierana w sekretnym oceanie wewnątrz ciała, łzy gromadzone przez całe życie, znalazła wreszcie ujście, w powłoce Darka Babela zrobiła się rysa, szczelina jak w tamie, i łzy zaczęły przeciekać. Próbując je wytrzeć, rozmazał po twarzy smarki i krew, z dłoni wisiały mu strzępy skóry, jego skóry, na kłykciach prześwitywały czerwone od krwi kości, poranione na pogruchotanych zębach Braksatora, których odłamki powbijały się w ciało operatora, miał pewnie połamane palce. Ale nie czuł bólu. Ukląkł bezwładnie obok zakrwawionego kolegi, z którego twarzy została miazga, usiadł na piętach, spuścił głowę. Nie mógł przestać płakać.

Kierowcy w samochodach patrzyli na nich w przerażeniu. Wcześniej kilku otworzyło drzwi, chcąc pomóc któremuś z nich, ale szybko je zatrzasnęli, widząc twarz operatora.

— ... o Boże... o Boże...

Adam Braksator rzeził i próbował nie zadławić się krwią. Z daleka, jak mu się wydawało, nadciągał znany, pulsujący dźwięk. Darek go chyba ciągle nie słyszał. Babel wstał, podszedł sztywnym krokiem do samochodu, wyciągnął kamerę. Poszukał pod siedzeniem pasażera i znalazł upuszczony telefon komórkowy kolegi. Stanął nad Adamem. Z niskiego nieba zaczął padać śnieg, duże płatki, wirujące wolno w chłodnym wietrze, opadające na szosę i topiące się na niej powoli.

— Niech cię szlag, skurwysynu — wyszeptał Darek. — Niech cię szlag.

Rzucił telefonem z całej siły o ziemię, potem rąbnął o asfalt kamerą, plastik pękł ze zgrzytem, operator poprawił obcasem buta, raz i drugi, żeby

nie było wątpliwości. Kierowcy w samochodach patrzyli dalej, ale nie podchodzili. Nawet facet z ciężarówki przed nimi, wielki wążacz, kiedy Darek spojrział w jego stronę, cofnął się ze schodków do kabiny, zamknął drzwi i patrzył na nich dalej już zza szyby. Adam jęknął.

Darek Babel nie mógł przestać płakać.

Zawrócił i ruszył poboczem w stronę Wrocławia. Połamana, poraniona dłoń, karykaturalnie zdeformowana, z której co kilka kroków skapywało kilka kropel krwi, próbował bezskutecznie ocierać łzy. Padający śnieg przybrał na sile.

Adam usłyszał jeszcze, jak pulsujący dźwięk z oddali wreszcie narasta, samochód na sygnale wyskakuje zza zakrętu, piszcza hamulce, piszcza długo, a wreszcie słyhać słabe puknięcie metalu o metal. Ale już o tym nie myślał.

Leżał na plecach, bo każdy ruch rozpalał nowe ognisko bólu, odpluwał odłamki kości, powbijane w dziąsła, spływające do gardła z krwią, próbował się nie zadławić i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w niebo.

godzina 10.01

Ktoś chodził za drzwiami toalety. Ktoś na nią czekał. No chodź, szepczą ściany. No chodź, nuci odbicie w lustrze, w którym tylko oczy nie należą do niej, złośliwe i stare.

No, chodź.

Ktoś na nią czekał przed drzwiami.

Myśl była absurdalna.

Serce podjechało jej do gardła.

Wioleta nasłuchiwała, jeszcze uważniej niż wcześniej, ale nie słyszała nic. Żadnego dźwięku, szelestu kroków. Strzały ucichły i nie powtarzały się od dłuższej chwili. (Dłuższej? Jesteś tego pewna?).

No, chodź do mnie.

Miała wrażenie, jakby za drzwiami łazienki, na szkolnym korytarzu, ktoś przystanął, milimetr, pół milimetra między twarzą a drzwiami. I czekał. No, dalej. I się nią bawił.

Czy właśnie tak przychodzi do ciebie szaleństwo?, pomyślała i zastanowiła się, jakby to było, gdyby spuściła nogi na podłogę, cichutko, cichuteńko, tylko na chwilkę, naprawdę, wstała bezszelestnie, uchyliła drzwi, przecież nie skrzypną, na pewno nie, i wyszła przed kabinę.

Jakby to było, gdyby zrobiła krok, malutki przecież, taki tygi, a potem następny, i jeszcze jeden. Co by się stało, gdyby podeszła do drzwi? Nie, nie dotknęła ich, co to, to nie, przecież chyba nie zwariowała. Stałaby jedynie, o, tak, bliźutko, tylko na chwilę, milimetr przed drzwiami, pół milimetra. I nasłuchiwałaby. Czy ten ktoś na korytarzu szepnąłby coś w swojej obcej mowie? Wyjawil jej tajemnice życia, zagadki wszechświata, historie rodzinne aniołów, sekrety z dzieciństwa Boga?

No, dalej, chodź, szepczą ściany, szeleszczą cienie.

No, dalej.

Nie słyszała nic.

Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

Z trudem zmusiła się, żeby jeszcze raz przeczytać SMS-a od ojca. Trzymaj się, Królewno. Słyszysz? Jeszcze chwila. Wytrzymaj. Idę po was.

Kiedy mama zadzwoniła z Anglii i powiedziała jej o swojej decyzji, czuła się, jakby ktoś ją zgwałcił, jak marionetka, którą można przerzucać z kąta w kąt, która nic nie może, nie odpowiada nawet za swoje ciało, tylko patrzy, tylko rejestruje, co robią jej inni; czuje tylko ból. Jakże ona wtedy nienawidziła ojca. Jak zarazy, parazywego zwierzęcia pokrytego wrzodami, którego brzydzisz się dotknąć. Logika myśli była oczywista, boleśnie prosta. Skoro mama odeszła od ojca, ojciec na nią nie zasługiwał. Nie umiał jej przy sobie zatrzymać, nie dawał jej tego, czego oczekiwała. To była jego wina.

Przez pierwsze dni nie odbierała telefonów od Beaty. Nie umiała i nie chciała z nią rozmawiać. Czuła się jak szczeniak w schronisku, który musi zebrać o miłość, żeby dostrzegł go zapasiony hamburgerami bachor, który wreszcie zabierze go ze sobą, po to tylko, żeby za dwa lata, jak już wyrośnie z pieska, wyjechać z nim do lasu i zawiązać drut na szyi. Kiedy Wioleta otrzymywała SMS-a z Anglii, łzy same zbierały się pod powiekami.

Wreszcie odebrała telefon. To był długi, brzydki, ciemny jesienny wieczór i długa rozmowa. Tak, oczywiście, Kocham cię, jak w ogóle mogłaś pomyśleć coś innego? Kochany głuptasek. Nie no, oczywiście, to nie jest twoja wina. To niczyja wina. Takie rzeczy... Wiesz, jesteś już prawie dorosła. Takie rzeczy po prostu dzieją się między ludźmi. No jasne, pamiętam, jak razem szyłyśmy lalki na zajęcia do szkoły, jak uczyłaś mnie wyszywać w III klasie, nie ja ciebie, tylko ty mnie, wyobrażasz to sobie? No jasne, głuptasku, pamiętam. Daj spokój, no, nie płacz. Jak mogłabym to zapomnieć? Zobaczysz, do wakacji już niedługo, przyjedziesz tu do mnie. A po maturze to już w ogóle zamieszkamy razem. No jasne, Wioleta, jak mogłaś tak w ogóle pomyśleć? Oczywiście, że nie będziesz mi przeszkadzać. Wioleta, mój skarbie... Musiałam to zrobić, zobaczysz. Kiedyś zrozumiesz. Nie, oczywiście, że nie będziesz miała nowego taty.

A więc próbowała zrozumieć. Mama opowiadała jej o życiu za Kanalem, o pakistańskiej dzielnicy w Londynie, czerwonych dwupiętrowych autobusach, galeriach handlowych większych niż wrocławskie osiedla, o tym, jak życie tam jest cudowne i jak wszystko, naprawdę wszystko, wydaje się łatwe. Razem z mamą opracowały plan wakacyjnego wyjazdu, gdy tylko skończy się szkoła, z najdrobniejszymi szczegółami, po każdej rozmowie wypisywała listy, co zrobią i gdzie pójdą, razem, jak już przyjedzie. Mama nie mówiła na razie nic o swojej pracy i o tym, czy starczy im czasu na zaplanowane wycieczki, ale zgadzała się na wszystko, a Wioleta chciała wierzyć. Więc wierzyła i planowała, kupiła sobie minisłownik i w szkole naprawdę uważała na angielskim, nawet jeśli koleżanki się z niej śmiały, kiedy po raz kolejny przychodziła na zajęcia z odrobionymi ćwiczeniami, a słówka opornie utrwały się w pamięci. Chciała wierzyć. Zastanawia się, co teraz, tutaj, w szkolnym kiblu, powiedziałyby jej mama, gdyby się spotkały. Kiedy jeszcze Beata była w Polsce, rozmawiały tylko o błahostkach, żyło im się zbyt wygodnie, żeby porozmawiać o czymś naprawdę ważnym, dlatego Wioleta nigdy nie

przełamała się na tyle, żeby opowiedzieć jej o sobie, o sobie naprawdę, o tym, jaka jest i o czym marzy. A później tęskniła, tęskniła tak bardzo, tak jak teraz, i taka rozmowa też nie była możliwa. Krótkiego SMS-a nie odważyła się napisać nawet teraz, mama zaraz by zadzwoniła, tyle wiedziała.

No, chodź, szeptała śmierć.

No, chodź, nie wygłupiaj się, chodź.

Czytała w kółko wiadomość od ojca, a potem, gdy szept, którego nie mogła słyszeć, stał się coraz głośniejszy, zamknęła z całej siły powieki i powtarzała w myślach jej treść, nieustannie, desperacko, raz za razem, bezgłośnie poruszając ustami.

No, dalej.

Wiatr zelżał, ciężkie płatki wirowały wolno, topiąc się na ziemi, na konarach nagich drzew, pokrytych starą papą dachach altanek, zimnych słupkach niskich płotków. Koszula przemokła mu już zupełnie, pod materiałem widać było zarysy podkoszulka bez rękawów. Horowitz popatrzył przez nieprzystrzyżone gałęzie dziko rosnących bazi na ciemne, gotyckie kontury szkoły i instynktownie, w wyuczonym przez lata pracy odruchu sprawdził godzinę na nadgarstku. Podszedł do zamkniętej na kłódkę furtki, przy której konstrukcja płotu była najstabilniejsza, i przeskoczył na następną działkę. Liceum było coraz bliżej.

Włoskie mokasyny grzęzły głęboko w rozmarzającej ziemi, grudy błota oblepiały cienką, miękko wyprawioną skórę. Wcześniej z drzew wzbiło się w niebo kilka czarnych wielkich ptaków, zwiastunów wojny, ale teraz na działkach nie było już nikogo. Początkowo, wychowany na Teleexpressie, bał się, czy po wejściu na teren ogródków z jakiejś altanki nie wyskoczy nagle horda zapuszczonych bezdomnych-kanibali, uzbrojonych w kije nabijane gwoździami i obtłuczone butelki, broniących swojego leża, głodnych po zimie. Nikogo oczywiście nie spotkał. Wciąż było za zimno

nawet na bohaterów z miejskich legend. Potknął się o pęknięte wiaderko, stojące przy ścianie malutkiego składziku na narzędzia. Zagrzechotało. Pochylił się.

Ktoś w środku zostawił stary nóż do tapet. Pomarańczowa, plastikowa rączka. Pordzewiałe, wysuwane ostrze, cztery romboidalne segmenty, pierwszy ukruszony. Sprawdził palcem. Wysunięta na kilka centymetrów stała była sztywna, ciągle ostra. Wyciągnął z kieszeni taśmę klejącą, rozwinął, uklęknął, najpierw kilkoma ruchami obwiązał ciasno prawą nogawkę spodni, żeby materiał ściśle przylegał do ciała, potem odciął dwa krótkie fragmenty taśmy i przymocował do łydki nóż z wysuniętym ostrzem, tak żeby dało się go zerwać jednym szarpnięciem.

O Boże, obożeobożeobożeoboże... Co ja robię?

Jeśli teraz ktoś tam strzeli, pomyślał Horowitz, kiedy wzrok znów ześliznął się na kontury szkoły, zjechał w stronę budynku jak materia obsuwa się w lej czarnej dziury, jeśli coś stamtąd usłyszę, to oszaleję, Boże, oszaleję, na pewno, zacznę się drzeć i wyć jak podpalony w zaułku pijak, wyć i toczyć z ust pianę. Proszę, proszę, Boże, ześlij ciszę, błogosławioną ciszę, niech cały świat zaśnie.

Odetchnął kilka razy i wymijając kolejne skupisko bazi, ruszył dalej.

Kiedyś był bliżej Boga; w latach osiemdziesiątych, miał wrażenie, wszyscy byli. Pamiętał wyraźnie zwłaszcza jeden Wielki Post, już później, na początku lat dziewięćdziesiątych, już po studiach, kiedy z Karolem dopiero zaczynali z oknami. Niedawno urodziła się Wioleta, była mała, ciągle głodna, miała problemy z kolkami i nie mogła spać, a kiedy płakała, czuł się, jakby to jego ktoś szarpał rozpalonymi do białości ostrzami.

Z firmą też nie szło tak, jak zakładali. Dobre lata miały dopiero nadejść; do tej pory Karol nie podpisał jeszcze kontraktu ze znajomym szwagra w strzeszowickim Urzędzie Miasta, trochę na lewo, wiadomo, ale kto wtedy dochodził do pieniędzy bez smarowania po łapach, kurwa wasza mać? Ten kontrakt, jak gwiazdka z nieba, miał im się trafić dopiero za ładnych kilka

miesiący, na razie firma ledwo hibernowała i żeby utrzymać rodzinę, Horowitz zatrudnił się w jednej z pierwszych podwrocławskich kurzych ferm. Przez cały dzień, dziesięć godzin, dwie płatne ekstra, przerzucał ptasie korpusy, nagie, śliskie, różowe, cuchnące mdłym smrodem starego mięsa i konserwantami, korpusy bez głów, foliowane jak noworodki, nie mógł się uwolnić od tej myśli i oblewał go pot, zbierało mu się na wymioty, raz się naprawdę zrzygał, ledwo dobiegł do pracowniczej toalety, kwaśne wymiociny ciekły nosem i ustami, pryskały poza muszlę, aż w końcu nie miał już czym wymiotować, ale poczuł ulgę.

A kiedy było już naprawdę ciężko, kiedy wracał do domu i nie miał siły, żeby porozmawiać z Beatą, a co dopiero posiedzieć chwilę z małą, kiedy budził się o drugiej w nocy i na zmianę z żoną człapał do płaczącej Wiolety, bo nie chciał zrzucić także i tego obowiązku tylko na Beatę, nie chciał wracać do domu jak do noclegowni, żeby coś zezreć i się przekimać, nagle zachorowała matka Beaty, złota kobieta, która pomagała im przy małej. Beata musiała teraz dodatkowo dojeżdżać do szpitala, bo rodzeństwa nie miała, a jej ojciec nie umiał poradzić sobie ze wszystkim. Schudła przez ten czas chyba piętnaście kilo, atmosfera między nimi zgęstniała jak stygnący cement, przez dwa czy trzy tygodnie praktycznie ze sobą nie rozmawiali, żeby któreś z nich nie wybuchło, w eksplozji totalnej, w erupcji wszystkich żali, pokonane przez życie. A potem zepsuł mu się jeszcze samochód, stary duży fiat, siadł tylny most i Horowitz musiał do pracy dojeżdżać busem robotniczym, starym rżęchem z Niemiec, w tamtych czasach prawdziwym rarytasem, który jeździł okrężną drogą, żeby zebrać wszystkich, dodatkowa godzina stracona wieczorem i rano.

To był zły czas, naprawdę zły. Z każdym dniem czuł, jakby oddalał się od świata, jakby świat stawał się coraz bardziej wrogi, bezduszny, najeżony stalowymi kolcami, chrzęszczący żelazem. Jakby jego, Horowitza, próbował z siebie wydalić, wyrzucić obcą tkankę w potężnym cielsku świata, jakby wypychał go coraz bardziej poza obrzeża, jak drzazgę z

rozjątrzonej rany, jakby w całym wszechświecie nie było już na niego miejsca, nigdy nie było. Wszystko, co Horowitz zaczynał, było skazane na klęskę. Gdziekolwiek się obrócił, coś mu się nie udawało, coś się rozpadało, śruby w aucie pękały na gwintach, gubiły się klucze, rwały uszczelki, rozłączały przewody, nie mógł nawet ustawić sygnału z anteny telewizyjnej, żeby łąpać program bez śnieżenia. To był zły czas, naprawdę.

Aż wreszcie, choć nie chciał, zaczął na powrót myśleć o idei Wielkiego Postu, jak za młodych, harcerskich czasów. O świecie bez Boga, przez czterdzieści dni; z Bogiem szykującym się na śmierć. O świecie rdzewiejącym, pękającym ze starości, łuszczącym się, odchodzącym płatami, kruszącym się jak stary piaskowiec, świecie, w którym nic do niczego nie pasuje, nikt nie może nikogo zrozumieć, w niczym nie ma sensu, entropia nieubłaganie pochłania kolejne warstwy rzeczywistości. Najpierw wypadają włosy, z dziąseł wychodzą zęby, naczynka krwionośne samoczynnie pękają pod skórą, rozlewając się w wielkie czarne siniaki, krew gęstnieje, śmiertelnie zmęczone enzymy nie potrafią już trafić w odpowiednie receptory na powierzchni białek, wreszcie spowolnione elektrony zderzają się na orbitalach atomowych, zaburzają swój taniec.

Próbował się modlić, ale modlitwy mu nie wychodziły, nie czuł w nich żaru, tylko znużenie, a w końcu nie czuł już nic. Nie miał nawet siły, żeby recytować znane słowa, zaczynał je szeptać, jak katarynka, tuż przed snem, zbyt zmęczony, by uklęknąć, choć tak uczył go ojciec, a potem nagle zacinał się, przerywał jednostajną recytację, jakby i jego pamięć była stopniowo wymazywana przez świat. Po chwili – długiej? krótkiej? – łąpał się wreszcie na takiej przerwie, zawieszony w bezmyślnym stuporze, nie mogąc sobie przypomnieć, na czym skończył i co powinno być dalej; odchodziły od niego nawet słowa powtarzane przez prawie trzydzieści lat. Chciał się poddać już wtedy, rzucić to wszystko w diabły i nie myśleć, jeździć do pracy, milczeć w domu, zasypiać, jakby wpadał w studnię, w ciemność bez gwiazd. Ale mimo to próbował, nie ustawał, co wieczór

przypominał sobie zapomniane słowa, za każdym razem na nowo, z każdym dniem coraz trudniej.

Potem, po wszystkim, zastanawiał się, w jaki sposób to się skończyło, co się takiego stało, bo przecież na pierwszy rzut oka nie stało się nic. Było jakieś dwa tygodnie po świętach. Matka Beaty dalej znajdowała się w szpitalu, choć najgorszy czas, zaraz po operacji, miała już za sobą. Horowitz wciąż dojeżdżał do pracy z innymi pracownikami, ale już mu to spowszedniało, nie zwracał uwagi na zaduch i smród, przypominał sobie, po co to robi. Beata wciąż żyła w stresie, na krawędzi jawy i snu, ale w końcu jakby dotarła do granicy niewyspania, już bardziej zmęczona być nie mogła, działała jak automat, ale działała, chodziła, karmiła Wioletę, parzyła herbatę, żyła.

Nawet samochód pomógł mu wreszcie naprawić w swoim warsztacie sąsiad, starszy facet, pan Janek – za flaszkę wódki i kolację, na którą Horowitz zaprosił go potem z żoną. Beata tego wieczoru, choć wciąż karmiła piersią, wypila trochę wina, zaczęła się śmiać, w końcu, głośno, swobodnie, nie bojąc się, czy obudzi małą. Obudziła ją, rzeczywiście, ale Wioleta, kiedy tylko zjadła odciągnięty wcześniej pokarm, zaraz znów zasnęła, bez problemów. Beata, w letniej sukience, siedzieli przecież w domu, śmiała się, wypytywała o wszystko panią Halinkę, żonę sąsiada, i wyglądała wspaniale.

Jakby Bóg naprawdę umarł i się odrodził, myślał Horowitz, mając świadomość, jakie te wyobrażenia są dziecinne, jakie naiwne, ale nie wstydził się ich, uśmiechał się tylko do siebie, bo też wypił kilka kieliszków wina, i myślał tak dalej. Jakby umarł i odrodził się, ale naprawdę, nie symbolicznie, dał światu znów szansę, znów o rok przedłużył jego istnienie. Wkrótce dni stały się dłuższe, jaśniejsze, ociepliło się, słońce na dłużej pokazywało się na niebie. Zrobiło mu się jakoś lżej, jakby ktoś ściągnął wreszcie z jego pleców wielki ciężar, jakby uznał za zakończoną próbę, z której Horowitz nawet nie zdawał sobie sprawy, i rzeczy znów

wróciły na właściwy tor, uzyskały dawne proporcje. Miał wrażenie, że nawet oddychało mu się wtedy lepiej. To był naprawdę dobry Wielki Post, choć też naprawdę to był zły czas.

A teraz, na działkach przed szkołą, nie umiał znaleźć wytłumaczenia tego, co się dzieje, bo nikt nigdy, zdał sobie nagle sprawę, nie będzie umiał go znaleźć. Horowitz miał czterdzieści sześć lat i już nie wiedział, co jest dobre, a co złe. Ale gdyby ktoś go zapytał, co jest dobre, a co złe, kiedy jesteś ojcem, wtedy już znał odpowiedź.

Rozejrzał się uważnie, potem jak najszybciej, żeby nie rzucać się w oczy, przeskoczył płot na ostatniej z działek. Pochylony, przebiegł wąską dróżkę, dzielącą teren ogródków działkowych od boiska szkoły, i przycupnął przy jednym z murowanych słupów, na których rozpięto siatkę szkolnego ogrodzenia. Śnieg padał równomiernie, nieprzerwanie, spokojnie. Skulony za murkiem Horowitz rozglądał się, czy nikt go nie zauważył. Budynek szkoły straszył ciszą (błogosławioną ciszą) i powybijanymi szybami. Pod nimi zobaczył ślady szkła i krwi. Kilka ciał, nienaturalnie wykręconych, leżało na ziemi. O Boże, co tu się musiało dziać... Zamknął oczy i przez chwilę oddychał zmrożonym powietrzem. Tylne drzwi do budynku, wychodzące na szkolne podwórko, były uchylone. Czekał, uspokajając tętno i sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje. Zważył w dłoni klucz do opon.

Bał się, bał jak cholera, to oczywiste – ale czy miało to jeszcze jakieś znaczenie? Przecież nie.

Wiedział, co robić.

Szmer na korytarzu się nie powtórzył. Nauczycielka łagodnie rozglądała się po klasie, jakby obudziła się z głębokiego snu, wstała, miękko podeszła do drzwi.

Już się nie bała.

Odprowadzały ją zdziwione, nierozumiejące spojrzenia uczniów, patrzących na nią tak, jakby nagle wynurzyła się spod wody, jakby widzieli ją po raz pierwszy; jakby coś było z nią nie tak.

Stała przy drzwiach i nasłuchiwała.

— Co... co pani robi...? — syk jednego z chłopców zabrzmiał jak rozpalony żelazny pręt włożony do wody.

Bezszelestnie położyła dłoń na zamku.

— Co pani robi?! — Zdenerwowany chłopak zbliżył się do nauczycielki. Część uczniów wciąż kołysała się katatonicznie pod ścianami, ale niektórzy zaczęli im się przyglądać z przerażeniem i uwagą. Nawet szept ciał ciszej jak żyletka, powodował fizyczny ból. — ... pani nie może...! przecież... a jeśli to pułapka...? jeśli tam znowu stoją oni?!

Przypomnieli sobie szarpanie za klamkę, i strzały, i to, jak nikt nie zdobył się, żeby otworzyć drzwi, bo wtedy może wszyscy leżeliby już w klasie martwi, i dźwięki umierania.

— A jeśli to ktoś z uczniów? — zapytała.

— A nawet gdyby...! — Chłopak wciąż próbował szeptać, ale mu nie wychodziło, tłumił wściekle słowa, jakby na kartkówce nauczycielka nagle wyszła z klasy, a on gorączkowo musiał poznać odpowiedzi na wszystkie pytania, zanim wychowawczyni wróci, a on znów zostanie sam nad białą kartki, z pustką w głowie i wilgocią na karku. — I co z tego...? Przecież on już i tak jest martwy, przecież... pani nie może...!

Przysłuchujący się im uczniowie spoglądali na siebie nerwowo, nie mieli pewności, co chce zrobić nauczycielka. Chłopak nie wytrzymał.

— ... ty kurwo — wysyczał jak zwierzę zza krat. — ... wypierdalaj od drzwi... przecież my tutaj... on nas wszystkich pozab...

— A gdybyś to ty tam leżał? — odezwała się łagodnie, jakby tłumaczyła coś dziecku, i tak było w istocie.

Chłopak zamilkł. Po raz pierwszy w krótkim życiu, w którym zawsze wiedział wszystko najlepiej, znał każde z przysługujących mu praw, nie

miał pojęcia, co mógłby odpowiedzieć.

Odwróciła się ponownie w stronę drzwi.

Przekręciła delikatnie wyższy, nienaruszony zamek, raz, bez zgrzytu, jakby był zrobiony z wody, nacisnęła klamkę. Drzwi się uchyliły. Wyjrzała na korytarz.

Do klasy wlała się ciemność. Korytarz był skąpany w długich półcieniach. Za oknami padał śnieg, duże płatki kołowały wolno, osiadały mokro na szybach, wirowały, układając się w powietrzu w skomplikowane rozety i wzory, w trójwymiarowe fraktale i splątane według pokrętnej logiki siatki izometryczne. Wyglądało to tak, jakby ktoś porozwieszał na wietrze wielkie modele nieznanym wcześniej figur geometrycznych. Konstrukty ze śniegu długą chwilę unosiły się w powietrzu, obracały wokół własnej osi, żeby nagle rozszczepić się, złączyć z inną częścią śnieżnej pajęczyny, zacząć na nowo swój niespieszny taniec. Tak śnieg mógłby padać w Krainie. Tak śnieg padał w Krainie.

Po ścianach korytarza spływała czarna, pieniąca się krew, układająca się w spirale, równoboczne trójkąty, koła poprzecinane ukośnymi krzyżami, niedokończone pentagramy. Powietrze falowało, drżało, Ewę owionął żar, jakby wdychała czarny ogień, włosy zwinęły się, skręciły z nadpalonymi końcówkami. Popatrzyła w jedną i drugą stronę korytarza. Na jednym końcu przejście zaczynało się wić, odginać, jak schnący na słońcu długi fragment drewna, ginęło w ciemnościach. Na drugim, przy zakręcie i schodach na niższe piętra, pomiędzy smugami gęstego powietrza coś zajaśniało słabo, pulsując biało, jakby ktoś wymazywał fragment rzeczywistości, przeredzał strzępy cienia. Wydawało jej się, jakby ściany korytarza porastał czarny mech, jak narodził się, jak pleśń, jakby ciemny tunel pulsował, kamienne jelito, oddychał w nierównomiernym, niesymetrycznym tempie.

Stała w drzwiach klasy. Wijące się pod nogami cienie wyglądały jak stalowe ciernie, to wysuwające się, to znów chowające, jeszcze nie czas,

spokojnie, jeszcze nie czas, jakby tylko czekały na moment, kiedy będą mogły owinać się wokół stóp. Przed sobą widziała martwe ciała.

Spojrzała w stronę schodów. Ciemnowłosa, postrzelony chłopak doczołgał się tam, w szoku, nie wiedząc, co się wokół niego dzieje. Dalej już nie umiał, ze strzaskaną ręką, powłócząc nogami, jego trasę znaczyła ognista, krwawa smuga. Oparł się o ścianę, ciężko oddychał. Cytrynowe światło wokół niego drgało, jak plama bieli na przepalającej się taśmie celuloidowej. Zdrową ręką przyciskał do ciała strzaskany kikut dłoni, okrwawione ostrze kości, mozolnie dyszał z zamkniętymi powiekami. Z rany pod obojczykiem sączyła mu się wąska strużka krwi, rozlewając się na koszulę, która już nigdy nie miała być biała.

— Otwórzcie nam drzwi, jak z nim wrócę — powiedziała tym swoim miękkim głosem do stojącego obok roztrzęsionego ucznia. — Inaczej on umrze.

I tak umrze, odpowiada jej przerażone spojrzenie ucznia, i tak umrzemy, my wszyscy, tutaj, i tak już umarliśmy, nawet jeśli stąd wyjdziemy, coś w nas umarło i już nie wróci, nieodwołalnie, na zawsze, zostawiając tylko wypaloną bliznę. Ale chłopak kiwa głową.

Nauczycielka słyszy suche szepty na korytarzu, złe głosy, pojawiającą się na granicy słyszalności mantrę, jak szelest ognia, odgłos wojen toczonych przez jesienne liście. Ale już nie zwraca na nie uwagi. Uczniowie za plecami patrzą na nią jak na wariatkę, wie o tym, ale to przecież nie szkodzi, już nie.

Stąpając miękko, Hawwa wychodzi na korytarz, ciemności napierają, zerka w bok i się uśmiecha. Kapitan Krzyżak delikatnie bierze ją za rękę.

Czekali.

Rafał nienawidził świata i siebie, tego gnoja Brudziaka, antyterrorystów-sukinsynów, leniwych skurwieli, nienawidził morderców i pierdolonych dzieciaków, które umierały na jego oczach, ich nienawidził najbardziej.

Chciał wyć, do wyplucia strzępków płuc, przegryźć sobie żyły na przedramieniu, roztrzaskać łeb o kant uchylonych drzwi policyjnej suki, wrzeszczeć jak potępiany anioł, chciał płakać.

Czekali.

Po prostu, kurwa, czekali.

Leżał na plecach i szeroko otwartymi, napuchłymi oczami wpatrywał się w niebo. Śnieg padał coraz gęstszy, wolno, niespiesznie, spadał dużymi mokrymi płatami, topił się na twarzy. Krew powoli krzepła.

Ostrożnie badał językiem dziury po zębach. Naliczył je cztery, w tym dwie po jedynkach, górnej i dolnej, z każdym muśnięciem języka czuł, jakby ktoś wbijał mu w szczękę gwóźdź, oprócz tego jeszcze co najmniej trzy zęby były ukruszone lub złamane równo na linii dziąseł, cięty język ostrymi krawędziami. Zastanawiał się, czy może się ruszać, ale na razie nie próbował tego sprawdzić. Oddychał tylko, wolno, ostrożnie, a oddechy parowały w wilgotnym chłodzie, rzeził i próbował rozpoznać, czy ma złamane żebro i czy w przebitym płucu nie zbiera się teraz krew, topiąc go, rozciągniętego na asfalcie, pół tysiąca kilometrów od morza, nie czuł jednak bólu w piersi. Twarz – to, co kiedyś było twarzą – bolała go za to tak, jakby ktoś zanurzył mu głowę w płynnej stali, chlusnął w oczy palonym wapnem. Patrzył w niebo.

Radiowozy już odjechały, ale policjantom zabrało dużo czasu, zanim się wycofali, zepchnęli z drogi ich kangoo z oderwanym tylnym zderzakiem, zanim kierowca ciężarówki – kolejnej na ich drodze, ludzie są popierdolonymi, skończonymi kretynami, jak można tak zablokować przejazd?! – zjechał z drogi. Ubrany na czarno mężczyzna, dowodzący antyterrorystami w ciemnych furgonetkach, klął, chciał ich zamknąć, wrzeszczał, gdyby to była wojna – ale nie była – kazałby ich pewnie rozstrzelać. Wreszcie sprawdził, czy pobity przeżyje, zgłosił przez radiostację zapotrzebowanie na ambulans, kazał rannemu zejść z jezdni,

choć miał to tak głęboko w dupie, że już bardziej nie można, chciał, żeby ktoś rozsmarował skurwiela oponami po asfalcie, i odjechał.

Adam już tego nie słyszał. Sznur aut ciągle stał po prawej, ruch wciąż był zablokowany. Kierowcy w swoich samochodach przyglądali mu się z przerażeniem, żaden nie odważył się podejść. Ale to nie miało już znaczenia. Adam patrzył w niebo i próbował zrozumieć.

Śnieg wirował spokojnie, zataczał kręgi, czasem Braksatorowi wydawało się, jakby układał się w powietrzu w dziwne, niezrozumiałe figury, delikatne abażury, zaraz rozwiewane przez wiatr. Padało coraz bardziej.

godzina 10.07

Gdyby ją zapytać, kiedy między nią a ojcem zaczęło się psuć, Wioleta umiałaby znaleźć mnóstwo odpowiedzi. Kiedy mama zadzwoniła i powiedziała mu o swojej decyzji. Albo wcześniej, kiedy mama wyjechała, jak on mógł pozwolić, żeby pojechała tam sama? Albo wcześniej, kiedy nie chciał puścić córki na sylwestra w góry, do domku ojca Lidki, bo jest na to jeszcze za młoda, szesnaście lat to za wcześnie na takie wyjazdy, nie, powiedziałem, nie i koniec, możesz płakać, możesz próbować przekonać mamę, ja swojej decyzji nie zmienię. Albo wcześniej, kiedy przyszedł na komers na zakończenie gimnazjum, cały wieczór pił tylko wódkę porozlewaną do butelek po oranżadzie i rozmawiał z dyrektorem, nie zatańczył z nią ani razu, ani razu, a była taka piękna, założyła tę sukienkę specjalnie dla niego. Bo nie chciał jej robić wstydu, jasne, no jasne, tylko czemu wobec tego tak się uchlał? Albo wcześniej. Albo jeszcze wcześniej. Ale kiedy zadawała to pytanie sama sobie, wtedy nie wiedziała, już nie umiała znaleźć prostej odpowiedzi.

Przestawali ze sobą rozmawiać powoli, stopniowo, tak jak przestaje ze sobą rozmawiać ojciec z dorastającą córką, która zaczyna miesiączkować, oglądać się za chłopakami, płakać wieczorami w poduszkę, po cichu, żeby

widział to tylko Pan Rudolf, pluszowy miś, towarzyszący jej od zawsze w ciemnościach nocy. Która przed wyjściem z domu zaczyna wkładać coraz krótsze koszulki i coraz bardziej obcisłe spodenki.

Kiedy poszła do gimnazjum, przestała z ojcem jeździć do lasu, na pikniki i ogniska, bo to obciach, żeby dorosła gimnazjalistka spała pod namiotem z tatą. Kiedy zaczęła naukę w liceum, już nie rozmawiali ze sobą po szkole, bo o czym mieli rozmawiać, o kieszonkowym, o wieczornym wyjściu w piątek albo żeby podzucił ją samochodem do galerii czy odebrał z Wrocławia? A co to za rozmowa, o czym tu rozmawiać? Przecież wszystko było między nimi jasne, to był jej ojciec, a to córka jego. Były skarpetki i pocałunek w policzek na jego urodziny, przecież szczery, były porozumiewawcze mrugnięcia okiem, kiedy podwoził ją do kina, a w gromadce znajomych stało kilku kolegów z klasy. O czym tu rozmawiać, przecież nie o gatunkach ryb i rodzajach drzew, tak jak kiedyś, nawet jeśli do dziś potrafiła je rozpoznać, gdy szła przez park?

Nie umiała sobie odpowiedzieć, kiedy zaczęło się między nimi psuć. A teraz nie miało to już znaczenia i na wszystko było za późno.

No, chodź.

A co, zdała sobie sprawę, a co jeśli ojciec nie będzie umiał tu trafić? Albo już stoi pod drzwiami, właśnie on, to musi być on, no przecież, i nasłuchuje, czeka na jakiś znak, potwierdzenie, czy to te drzwi, czy jest za nimi Wioleta? A co jeśli odejdzie, kiedy nie otrzyma od niej potwierdzenia? Jeśli Wioleta nie otworzy mu, nie wpuści do środka, jeśli się nie odezwie? Odejdzie, a ona zostanie tu już na zawsze: na wieczność w kiblu, w czyścucu o wymiarach kabiny toaletowej, metr na metr i już, tyle, więcej nic.

Próbowała nie zastanawiać się, tak naprawdę, na chłodno, czy to w ogóle możliwe, żeby ojciec tu przyszedł, żeby ją odnalazł, krocząc ponad ciałami. Czy ona w ogóle ma prawo, żeby go o to prosić, choćby w myślach. Ale przecież obiecał.

No, chodź.

Spojrzała na godzinę na wyświetlaczu telefonu, ostatni raz. Wydawało jej się, jakby czas nagle przyspieszył, po dziesięcioleciach minut w bezruchu teraz właśnie wyrwał do przodu, przesuwając się w obłądnym tempie. Spuściła nogi z klapy sedesu na podłogę, cicho, bardzo cicho, cichutko. Wstała. Uchyliła drzwi kabiny, troszkę, i jeszcze mały kawałeczek, a potem jeszcze odrobinę, wystarczy, już się zmieści. Zawiasy nie skrzypnęły. Nie powinna wychodzić, wiedziała o tym, na horrorach po takim wyjściu z bohaterem zawsze dzieje się coś niedobrego, czemu poza ekranem miałyby być inaczej?

Tymczasem jeden mały kroczek, drugi, jeszcze mniejszy, serce w gardle, i jeszcze jeden, o tak, obok umywalek, bardzo ładnie. Wstrzymywany oddech sprawiał, że powietrze rozsadzało płuca, ale nie odważyła się odetchnąć, jeszcze nie. I znów mały kroczek, i jeszcze jeden. Stała przed drzwiami na korytarz. Nasłuchiwała. Wypuściła wolno powietrze (to było najtrudniejsze), wolno je nabrała, milimetr, pół milimetra przed drzwiami. Nasłuchiwała.

Ktoś tam był.

Kiedy już upewnił się, czy nikt nie obserwuje szkolnego podwórza, Horowitz przeskoczył płot i pomknął w stronę uchylonych drzwi budynku. Wcześniej próbował przygotować się na to, co zobaczy w środku, spoglądał na rozbite szkło i nienaturalnie powykrzywiane ciała na betonie, na których nie topił się śnieg, płatki układały się w cienką warstwę bladego całunu, ale kiedy wszedł do szkoły, wkroczył w ciemność, kiedy wzrok przyzwyczał się do wszechobecnych sinych cieni, widok go poraził.

Wykrzywione przerażeniem twarze, lepkie, ciemne, czarne plamy, rozjechane na posadzce, jakby rozciągnął je monstualny ślimak. Powybijane okna. Otwarte drzwi klas na parterze, do których nie chciał zaglądać, tak bardzo nie chciał, ale oczywiście spojrzał, krew przyciągała wzrok. To już nie była jego szkoła.

Korytarze kiedyś wydawały się wyższe, tak je zapamiętał, kwiaty w glinianych donicach stały w innych miejscach, drzwi miały inny kolor i były większe, lecz może obraz zniekształcał teraz jedynie ten brak światła, niskie chmury za oknami i wirujący wolno śnieg. Miał wrażenie, jakby wszedł do jakiegoś zupełnie innego budynku, który tylko z zewnątrz wyglądał jak ten ze wspomnień, jakby ktoś go oszukał, wciągnął do wnętrza potwornego gotyckiego labiryntu, w którym drogi prowadzą donikąd, korytarze kończą się ślepyimi uliczkami, w którym pomieszczenia, wybudowane według pokrętnej geometrii, nie pełnią swoich funkcji, przyciągają tylko spojrzenie, zachęcająco otwierają drzwi, żeby uwięzić wzrok w swoim wnętrzu.

Szedł wolno przy ścianie i liczył uderzenia serca. Czy za zakrętem prowadzącym na schody będzie stał on – on – o Boże, on; czy w szkole ciągle ktoś jeszcze jest, oprócz niego i Wiolety? A może on – on – wcześniej znalazł tę toaletę na drugim piętrze, może nikt już w niej na Horowitza nie czeka?

Nie.

Dosyć.

Takie myśli mu nie pomagały. Trzymał w dłoni klucz do opon i sunął przy ścianie. Odetchnął raz, drugi raz, trzeci raz, wychynał za załom. Spojrzał na schody i w ciemną pustkę korytarza. Nikogo. Przyłgął do ściany przy schodach, cicho, jak najciszej. Potknął się o coś miękkiego, z trudem odzyskał równowagę, klucz prawie wyleciał mu z dłoni. Horowitz zacisnął z całych sił powieki. Byleby tylko nie spojrzeć pod nogi, byleby tylko nie zobaczyć, nie oglądać się za siebie. Zaczął wchodzić po stopniach.

Wkraczał w kolejne kręgi piekła i próbował się zmusić, żeby nie myśleć o niczym, odbierać rzeczywistość tylko w czasie teraźniejszym, głód, strach, ból, światło, bez refleksji, same odruchy, jak automat, jak zwierzę. Żeby działać instynktownie, patrzeć, lecz nie dostrzegać, reagować, ale nie zapamiętywać. Nie mógł tylko odpędzić pytania, czy te obrazy już z nim

pozostaną: czy już zawsze – jeśli jakieś zawsze jeszcze w ogóle dla niego istnieje – będzie się budził, widząc pod powiekami usta poplamione krwią i rozmazane czerwienią ślady dłoni na ścianach, ciała, jeszcze więcej ciał, kwiaty ścięte w środku lata; wydawało mu się, choć nie było to prawdą, jakby ciała leżały wszędzie, jakby musiał w nich brodzić po pas, po szyję, przedzierać się jak przez śnieżne zasy. Czy już zawsze?

Cisza przygniatała, dławiała, niczym kleista substancja wciskająca się pod powieki, zapychająca uszy, serce dudniło jak wystrzał.

Pierwszy raz zetknął się ze śmiercią, kiedy umierała ciotka Ewelina. Wtedy też było cicho, choć nie tak jak teraz, to była inna cisza. Ciotka przeżyła dwie wojny, urodziła się jeszcze pod zaborami, miała dziewięćdziesiąt dwa lata i ostatnie trzy z nich przeleżała w domu rodziców Horowitza, powoli pokonywana przez chorobę. Miał wtedy trzynaście lat, ciotka zamieszkała w pokoju obok. Zza uchylonych drzwi wydostawał się stamtąd zapach jodyny i medykamentów, ale Horowitz i tak lubił tam przesiadywać po szkole, nawet kiedy ciotka już się nie odzywała i zazwyczaj wydawało się, jakby w ogóle nie reagowała na otoczenie. Lufcik w pokoju zawsze był bowiem otwarty – inaczej niż u Horowitza, jemu rodzice zabraniali uchylania okna, zwłaszcza zimą – tak zarządziła ciotka, do pomieszczenia wpadało chłodne, świeże powietrze. Najpierw do tego pokoju zapraszała go mama. Cioci będzie przyjemnie, Jurek, jak ktoś z nią chwilę pobędzie, ty byś chyba nie chciał tak leżeć cały dzień sam, w czterech ścianach? Potem już nikt nie musiał go zachęcać, przyzwyczaił się, sam przychodził na kilkanaście minut zaraz po powrocie ze szkoły i wieczorem, przed pójściem do łóżka.

Siadał wtedy obok ciotki, przesuwając fotel pod okno, tak żeby przeciąg chłodził mu kark, owiewał głowę, potem zapalał lampkę, rozkładał książkę i trzymał ją tak, jakby po cichu czytał. Nigdy się nie dowiedział, czy ciotka poznała się na jego mistyfikacji, ale to nie miało większego znaczenia. Czasem zresztą naprawdę czytał, także głośno, dla niej; czasem, głównie na

początku, próbował z nią rozmawiać. Później, pod sam koniec, staruteńka Ewelina uśmiechała się słabo już tylko wtedy, kiedy on wchodził do pokoju, i to mu wystarczało.

Gdy już przyzwyczaili się do siebie i gdy jeszcze ciocia Ewelina miała siły bądź chęci, żeby cichym głosem odpowiadać na jego pytania, rozmawiali. Najpierw pytał ją o wojnę, to oczywiste. O obóz, o niewolę, o to, co jedli, gdzie walczył wujek. Potem – wspierany wiedzą z książek do historii – o życie, w Krakowie pod zaborami i pomiędzy wojnami, i we Wrocławiu, już po wojnie. Mówiła do niego cicho, wolno, słabym szeleszczącym głosem, jakby mówienie to był dla niej utajony wysiłek. Ale jak wkrótce uświadomił sobie ze zdumieniem, tym ledwo słyszalnym głosem opowiadała mu dużo, zadziwiająco dużo. Jednak nie wszystko, także to wkrótce stało się dla niego jasne. A on nie pytał o to, czego powiedzieć nie chciała. Miał już tyle lat, żeby wiedzieć o istnieniu tajemnic, których wypowiedzieć nie sposób. Więc nie pytał. Ale myślał nad tym, czego opowiedzieć mu nie mogła.

Patrzył na coraz drobniejsze, pomarszczone ciało ciotki, wychudzonej, przyjmującej jedynie leki i drobnymi łykami pijącej zimną wodę, jak ptak, i zastanawiał się, czemu nie umiera, czemu tak kurczowo trzyma się życia, czemu jeszcze nie chce, czemu nie umie odejść. To wtedy były myśli naturalne, pytania, które można zadawać na spokojnie, jak pytanie o koniec książki i o to, czy się komuś podobała; nie wiedział wtedy jeszcze nic o nieodwracalności śmierci, nie pochował dotąd nikogo z bliskich, nawet zwierzątka, domowego pupila, trzymanego w domu także po to, żeby w ostatniej drodze, oplakiwane przez dziecko, mogło również przyjąć na siebie rolę nauczyciela tajemnicy.

A więc ciotka Ewelina, myślał. Przez ten czas, kiedy żyła – wojna jedna i druga, czasy niewoli, a potem znów, pod czerwoną okupacją, tak mówiła, bo tak zawsze powtarzał wujek partyzant, kiedy jeszcze żył – musiała widzieć dużo złego, i więcej, myślał, choć kończył dopiero szóstą klasę,

sporo z tego mogła zrobić sama, to już wiedział. Była w obozie uchodźców i przeżyła marsz karny w Bergen-Belsen, słuchał z wypiekami na twarzy jej opowieści, a nocą śniły mu się długie korowody pustych twarzy i postacie okryte burymi łachmanami. Szli wtedy pieszo, z rozporządzenia komendanta obozu, szli jesienią, w deszczach, dla zdrowia, jak śmiali się niemieccy strażnicy. Szli i umierali, bo o to chodziło, nieważne, jak brzmiał oficjalny rozkaz, taki był pomysł na zredukowanie stanu więźniów, kiedy pod koniec wojny sytuacja robiła się coraz trudniejsza, a z frontu nadchodziły sprzeczne informacje. Więc szli, szli i umierali, umieranie wkrótce przychodziło łatwiej niż marsz. A ona przeżyła.

Ile osób zostawiła za sobą? Ilu przyjaciół? Ilu wrogów? Czy ktoś umarł, bo – w piskliwych wrzaskach, w zwierzęcej walce – odebrała mu rację żywnościową? Zupy z brukwi i chleba z trocin, jeśli w ogóle były, przecież nie starczało dla wszystkich. Ile razy wymieniła po drodze potargane łapcie z łyka, choć trochę chroniące stopy? Czy ściągała z trupów ubłocone trepy? A może zsuwała je jeszcze z żywych, w nocy, w czasie krótkich, zawsze za krótkich przerw, ściągała je ze stóp najsłabszych, którzy i tak byli już skazani na śmierć, i może rzeczywiście właśnie umierali, ale czy przez to grzech stawał się mniejszy? Czy w piekle w ogóle można myśleć o grzechu, zastanawiał się, już wtedy, już w szóstej klasie, może tylko wtedy – i czy jeśli o nim nie myślisz, to właśnie w tym momencie przeszedłeś na stronę diabłów? Czy zatem ściągała je z umierających, gdy gwiazdy błyszczą w otwartych szeroko, suchych oczach, a leżący nie mają już sił, żeby nawet szeptać, żeby zaprotestować? Czy teraz żyła, nie umierała, bojąc się kary za takie życie? Bojąc się wiecznego marszu, wiecznej wojny, wiecznego strachu, wiecznej walki o życie, tylko swoje, czyż nie tak musiałoby wyglądać jej piekło?

Ale potem, po latach, kiedy już odeszła – umarła cicho, tuż po przebudzeniu, z otwartymi wodnistymi oczami – naszła go inna myśl. A co, jeśli ciotka nie bała się śmierci, tak jak nie bała się życia – przecież mogło

być i tak. Co, jeśli nie mogła umrzeć, bo tak mocno ukochała świat, nawet w ostatnich latach, w czasie choroby, przykuta do łóżka: widok nieba i drzew za oknem, cienie na ścianie, poruszające się wraz z wędrującym wysoko słońcem, barwy zmieniających się pór roku, chrapliwe głosy odlatujących na zimę ptaków? Co wtedy? To może też był grzech, takie ukochanie, ale podobne grzechy Bóg musiał zapewne wybaczać najłatwiej. Co zatem, jeśli nie chciała odejść, bo tak ukochała świat?

Nie wiedział, czy to prawda, nic za tym nie przemawiało bardziej niż za tłumaczeniem odmiennym, ciotka pod koniec życia już niewiele mówiła, w końcu tylko leżała i patrzyła przez okno. Jego rodzice nie wiedzieli nawet, czy w ogóle coś jeszcze do niej dociera, bo na wszystko się godziła, piła niewiele wody i wydawało się – choć to niemożliwe; wielkie rany odleżyn na plecach były jak mapy nieznanych kontynentów – jakby nic jej nie przeszkadzało. Horowitz nie wiedział zatem, czy takie wytłumaczenie jest prawdziwsze niż inne. Ale kiedy zdał sobie sprawę z podobnej możliwości, jej ostatnie lata zobaczył nagle w zupełnie innym świetle, w innej perspektywie, zmieniającej wszystko. I później tylko tak chciał o tym myśleć. Tak chciał ją zapamiętać. I tak o niej odtąd myślał, i tak ją zapamiętał.

A teraz wchodził w szkołę, w dominium śmierci, jakby zanurzał się w jakąś monstrualną i głodną roślinę, rozrośniętą ponad miarę, żywiącą się strachem, która pochłania go myśl po myśli, dobre wspomnienie po wspomnieniu, obraz po obrazie. Ale szedł. Nic już nie mogło być takie, jak przedtem; droga wyjścia ze szkoły wiodła tylko przed siebie.

Usłyszał jakiś szmer. Przystanął. Słaby dźwięk, miał wrażenie, dobiegał z daleka, z góry, może nawet z trzeciego piętra. Odetchnął. Rozglądnął się, liście fikusa postawionego w donicy na półpiętrze pokrywały kokony pajęczyn. Szmer się nie powtórzył. Ruszył dalej.

Wszedł na drugie piętro.

I zamarł.

Serce uderzyło o podstawę czaszki, adrenalina prysnęła na mózg, zasyczała, w żyłach rozlał się ogień.

Przed nim, niedaleko, w cieniu, prawie na wyciągnięcie ręki, tak mu się wydawało, ale to też nie była prawda, tuż przed drzwiami, za którymi powinna znajdować się toaleta, tak jak to zapamiętał, stał jakiś czarny kształt.

Szła przez piekło. Gęsty, czarny mech pod jej stopami był szorstki i ostry, giął się z trudem, jakby stąpała po żelaznej sierści nieznanego zwierzęcia. Spirale na ścianach wirowały cieniem, niespiesznie, przyciągały wzrok, budziły pod czaszką suche szepty i lepkie słowa. Było ciemno, ciemniej niż powinno być o tej porze dnia, ciemność falowała, czerń lizła ściany, jakby cały korytarz zapłonął martwym ogniem. Z ust leciała para. Ale ona szła dalej.

Kapitan Krzyżak kroczył obok, sztywno, jakby każdy krok jemu także sprawiał trudność i ból. Ale nie puszczał jej dłoni, a ona czując na skórze delikatne drapanie pazurków, odwracała wzrok od ścian, robiła kolejny krok, i znów kolejny, i tak raz za razem. Szkolny korytarz szeptał, szemrał, chichotał, śmiał się piskliwie, żeby za chwilę, na granicy słuchu, wybuchnąć triumfalnym, metalicznym jazgotem. Spod porostów pokrywających podłogę wybrzuszały się różne kształty, twarze, nie były to jednak ludzkie twarze, nie wiedziała nawet, czy to w ogóle oblicza, ale wtedy podłużne paszcze otwierały się jak pęknięcia na poparzonej skórze, obłe rysy wykrzywiały nagle w przyprawiających o dreszcze grymasach. Stopy w lekkich pantoflach zaczęły jej krwawić, pocięte i pokłute żelazną nietrawą.

Doszli do załomu korytarza i pochyliła się nad leżącym tam dzieckiem, uklękła tyłem do biegnących w dół schodów, ją także objęła cytrynowa poświata.

Chłopak umierał. Miał strzaskaną dłoń, w której nie umiał zatamować upływu krwi, wąska strużka ciekła również z rany wlotowej pod obojczykiem. Jedna noga była złamana i wygięta w pieszczelu pod nienaturalnym kątem, spomiędzy uszkodzonego materiału spodni prześwitywała kość. Ból musiał być nie do zniesienia. Ale kiedy delikatnie położyła mu dłoń na czole, chłopak otworzył oczy. Oddychał płytko, gorączkowo.

— *Ciii...* leż spokojnie — wyszeptała jak matka. Popatrzyła na Kapitana Krzyżaka. Ten wolno skinął głową. — ... *ciiii*, już wszystko w porządku... już nic ci nie grozi... spokojnie...

Skóra pod jej dłonią była sucha i rozpalona. Po twarzy chłopca zaczęły płynąć duże, przezroczyście łzy.

— Czy ty...? czy ty jesteś...? — krztusił się, mówił z trudem. Spróbował opanować drżenie warg. — Czy ty jesteś moim...? Czy... — Odetchnął. — Czy to już koniec?

— *Ciii*, głuptasie... — Ucisnęła mu ranę na piersi, zatamowała krwawienie. — Nic ci już nie grozi. Tak, na szczęście dla ciebie, to już koniec.

Kapitan Krzyżak dotknął ostrożnie jej ramienia. Popatrzyła w kierunku, w którym wskazywał gestem. Skinęła głową. Skupiła się, przymknęła powieki. Niżej, na piętrze, daleko, przy schodach po drugiej stronie korytarza, rzeczywiście usłyszała jakieś kroki. I drugie, inne, chrzęszczące żelazem, tuż obok, skradające się na półpiętrze po jej stronie korytarza, które nagle ucichły, jakby też nasłuchiwały, a potem zaczęły się wolno oddalać. Szczękoczułki na twarzy Kapitana Krzyżaka poruszały się szybko, szybciej niż zazwyczaj.

— Proszę pani... *psssst...* proszę pani...! — usłyszała stłumiony syk od strony klasy. Odwróciła się, z trudem dostrzegła coś przez falujące ciemności. Uśmiechnęła się, kiedy w drzwiach zobaczyła chłopaka, tego, który nie chciał ich otworzyć, jak stoi w progu i gorączkowo daje jej znaki,

żeby brała leżącego, jeśli zdoła, i żeby wracała. Był przerażony. Ale stał, czekał. Pokręciła łagodnie głową. Przecież go nie uniesie. Odwróciła się znów w stronę rannego ucznia.

— No, chodź — wyszeptała wyraźnie, przez korytarz przeszły matowe echa. Kroki na półpiętrze znów się zatrzymały, potem zawróciły. — *Ciii*, już wszystko w porządku... — mówiła do leżącego. — Jestem z tobą.

Kroki się zbliżyły, ktoś za nią stanął. Ciemność zgęstniała, przesłoniła korytarz. Po ścianach przemknęły wielkie cienie, jak ogromne ptaszyska, przedpotopowe gady. Przeszedł ją dreszcz.

— *Ciii...* — uspokajała. — Już nie musisz się bać.

Kiedy już zdał sobie z tego sprawę – ale tak naprawdę, całym ciałem; tak jak nigdy dotąd – Rafał Madera uspokoił się. Dopalił papierosa. Wolno wydmuchiwał dym, śledząc mokre płatki, wirujące w powietrzu, topiące się na karoserii radiowozu, spływające po skórze. Wciąż czekali. Antyterrorysty nie zdążyli. Już było za późno. Kątem oka widział krzątających się nerwowo kolegów policjantów: postacie przykucnięte przy samochodach, funkcjonariuszy rozpędzających coraz większy tłumek gapiów u wylotu ulicy (czy byli tam też rodzice, których dzieci pozostały w szkole?), Brudziaka o nieobecnej twarzy, policjantów ściskających nerwowo broń – większość pierwszy raz w życiu na ulicy – czekających, aż w końcu coś się stanie, aż ktoś wykona za nich jakiś ruch, dzięki któremu będą mogli, bo będą musieli, działać; widział oficera, rozmawiającego przez krótkofalówkę. „Tak, jeszcze kilka minut. Mieliśmy wypadek, uwierzysz? No kurwa, a czy ja to sam tak zaplanowałem?!”.

Uśmiechnął się, jak gdyby był gdzieś indziej, w końcu, po raz pierwszy tego dnia. Nawet czas zaczął jakoś inaczej płynąć, szybciej, ale łagodnie, jakby lżej. Bezwiednie, w nieświadomym odruchu, odpinał i zapinał kaburę pistoletu. Pomyślał o Agnieszce, której wcale nie znał, ale z którą, gdyby

decyzję miał podjąć tutaj, w tej chwili, gotów był spędzić całe życie, nie zawahałby się nawet sekundy.

Brudziak miał rację. Życie było niezwykle. Dopalił papierosa.

Kiedy to sobie uświadomił, pogodził się z tym, był już spokojny. Już wiedział.

Ktoś tu jeszcze umrze dzisiaj.

Adam leżał i patrzył szeroko otwartymi oczami. Po niebie przepływały niskie chmury, roniąc coraz gęściej zimne łzy śniegu. Jak witraże, myślał.

Adam Braksator płakał.

godzina 10.11

Kierowana przemożnym odruchem, jakby już nie ona znajdowała się w głębi swojego ciała, jakby mogła tylko patrzeć, kiedy ktoś inny pociąga za sznurki ścięgien, wyciąga jej rękę, przechyla ramię, nie zastanawiając się, co robi, Wioleta wyciągnęła dłoń, żeby dotknąć drzwi.

Nie wiedziała, skąd wzięła jej się ta myśl, ale była przekonana, że ich powierzchnia będzie ciepła, gorąca, jakby w ciszy korytarza huczał wielki ogień. Opuszkami musnęła gładką farbę. Coś gwałtownie, od zewnątrz, uderzyło o drewnianą płytę, toaleta zadudniła odgłosami zza drzwi.

Zrobiło jej się ciemno przed oczami, serce skurczyło się niczym pięść, krew zalała falami żaru, poczuła, jak miękną jej nogi. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, gdzie stoi, co robi, jakby zobaczyła się na filmie, z boku, na ekranie w kinie. Zrobiło jej się słabo.

Znów coś łupnęło o drzwi, klamka odskoczyła, szczęknięto i drzwi się uchyliły. Kotłowanina trwała. Coś z metalicznym pogłosem uderzyło o ziemię. Usłyszała jeszcze dziwny, przerażający dźwięk, jakby pruł się stary materiał albo ktoś, bezskutecznie, próbował złapać łyk powietrza przez ściśnięte gardło. Coś zaszurało po podłodze, drzwi odskoczyły ponownie, uderzone z zewnątrz i odbite od futryny. I zapadła cisza.

Drzwi, sunąc leniwie na zawiasach, otwierały się powoli na korytarz, jakby ktoś stał za nimi i specjalnie, według zaleceń reżysera, ciągnął je niespiesznie za klamkę, żeby ujęcie wyszło tak, jak uczyli na studiach.

Teraz, powtarzała cichutko samymi wargami, teraz, ponieważ doszła do kresu i jak wiedziała, z tego miejsca również nie było już odwrotu.

Teraz.

Proszę, teraz, niech to się stanie. Niech przyjdzie. Ten jeden raz. Niech to będzie on. Proszę, tak bardzo proszę, naprawdę nauczę się modlić, naprawdę, ale teraz proszę, niech przyjdzie. Ten jeden raz.

Bez skrzypnięcia, drzwi otworzyły się na całą szerokość.

Teraz.

Zobaczył zarys ciała i wypuścił z dłoni nóż do tapet. Plastik rączki zagrzecotał o posadzkę. Horowitz stał i ciężko dyszał, z trudem rozpoznawał kształty. Dłonie miał zdrętwiałe, lepkie i zdrętwiałe, i ciało też zdrętwiałe, i mózg zdrętwiał, mózg najbardziej, jakby ktoś zanurzył go w formalinie, jakby wysmarował go maścią do miejscowego znieczulenia, tak jak przed operacją. Dopiero po chwili, dopiero jak przez krwawą mgłę, zobaczył twarz, po której ciekły łzy. Dopiero wtedy, kiedy już wszystko w nim pękło, kiedy już wszystko się przemieniło, kiedy nic nie miało znaczenia, bo wszystko ważne już się dokonało. I zrozumiał.

Wioleta stała nieruchomo w drzwiach toalety. Jej ciałem wstrząsał płacz, wyglądało, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła nic wykrztusić, dławiła się szlochem, łzy ciekły po twarzy, nawet nie próbowała ich wycierać. Taka mała i bezbronna, jak wtedy, jak siedemnaście lat temu, kiedy też płakała i przychodziła na świat, też w bólu i krwi. Spróbował coś powiedzieć, ale z gardła wydostał mu się tylko zduszony skrzek. Milczeli, daleko od siebie, może dalej niż kiedykolwiek w życiu, choć czuł jej dreszcze i mógł się przejrzeć w jej oczach. Bez padania sobie w ramiona,

bez wybuchów radości. Jak obcy ludzie. Ale to nie miało przecież znaczenia. To była jego córka.

Wyciągnął dłoń.

— Chodź, maleńka... — wyszeptał wreszcie. — No, chodź, nie bój się. To ja. — Słowo długo nie chciało mu przejść przez gardło, jakby mógł nim kogoś zawstydzić, ją albo siebie, albo jeszcze kogoś. Jakby na powrót uczył się mówić, przypominał sobie, jak to jest być człowiekiem. — Twój ojciec.

Wioleta zaszlochała przeraźliwie, i już była w jego ramionach, już próbowała coś szeptać, wtulona w szyję, a choć słowa nie przychodziły, to słowa nie były potrzebne. Widziała białą, przemoczoną koszulę przylegającą do jego ciała, rozdartą na rękawie, umazaną krwią, głęboką ranę na przedramieniu, spodnie rozcięte na nogawce, buty oblepione błotem, ślady błota i krwi na podłodze... i, na podłodze... i...

— No, już... szzz... cicho...

Horowitz odwrócił ją od ciała, ale zdołała jeszcze dostrzec twarz, przeraźliwie dziecięcą, makabrycznie niedojrzałą, leżącą w krzepnącej krwi jak pieczęć w stygnącym wosku, twarz jak u monstrualnie przerośniętego, niedorozwiniętego niemowlaka. Odsunął córkę do siebie na odległość ramion, sprawdził wzrokiem, czy nic jej nie jest. Po korytarzu, jak kręgi na wodzie, niosły się stłumione echa. Za oknami korytarza wirował śnieg. Zrobiło się cicho, bardzo cicho. Musieli się jeszcze stąd wydostać.

I w tym momencie padł strzał.

Kapitan Krzyżak stał i patrzył na nią nieprzeniknionym spojrzeniem; gdyby podniosła wzrok, mogłaby dostrzec swoje odbicie w jego zwielokrotnionych oczach. Powietrze było gorące i drżało, ciemności napierały. Klęczała nad rannym uczniem i wciąż przyciskała mu dłoń do rany.

— A więc to już, Kapitanie?

Kapitan Krzyżak nie odpowiedział. Jego pajęcza twarz nie skrzywiła się nawet na milimetr, ale pierwszy raz odniosła wrażenie, jakby właśnie teraz, właśnie w tej chwili, chciał porzucić tę maskę obcości, choć jeden raz.

— A więc to już? — powtarza cicho, jakby mówiła do siebie.

Kapitan Krzyżak wreszcie kiwa wolno głową. Cienie na ścianie rosną, pęcznieją, dziko pączkują, odrywają się od tynku tkanymi z nicości mackami.

— Tak, Hawwa, już czas.

— Ale... ale... — głos jej się łamie, choć tak bardzo chciałaby nad nim zapanować. Szepcze — ale to takie cholernie niesprawiedliwe...

Wielki, niewyobrażalny smutek.

Kapitan Krzyżak milczy.

— Wiem — wyciąga okaleczoną dłoń. — Chodź, nie bój się. Nie zostawisz ich.

Wstaje. Jest jej dziwnie lekko, choć w piersi dławi i ciąży, boli tak mocno, jakby właśnie pękało jej serce.

— Nigdy się nie bałam — mówi przez zduszone gardło, i jest to prawda, a w oczach Kapitana Krzyżaka pojawia się coś, czego tam wcześniej nie widziała, coś, czego do końca nie rozumie, ale jest to coś ważnego, może najważniejszego.

Kapitan odpowiada dopiero po chwili, dziwnie głuchym głosem.

— Wiem, córko. Przecież wiem, Ewo.

Bierze ją za rękę i przed nimi otwiera się Kraina, skąpana w rudym ogniu, płonąca miedzianą czerwienią ognistych gór, wiecznym ogniem żarzącym się na horyzoncie.

Za jej plecami pada strzał.

Rafał Madera wyrzucił niedopałek i choć był na to przygotowany, wzdrygnął się, gdy od strony szkoły usłyszał kolejny stłumiony pomruk.

godzina 10.13

Horowitz i Wioleta drgnęli, kiedy pomiędzy ścianami przetoczył się trzask wystrzału. Strzelał ktoś po drugiej stronie korytarza, może na piętrze wyżej, spróbował ocenić Horowitz. Przeraził się. Ich jest tu więcej, zdał sobie sprawę. Jeszcze więcej śmierci. I zaraz tu przyjdą. Jeśli on mógł usłyszeć strzał, to oni mogli usłyszeć również to, co działo się tu przed chwilą. To jeszcze nie koniec, uświadomił sobie z bolesną jasnością, jak wtedy, kiedy wiertło trafia na nieosłonięty miazgą zęba żywy nerw.

— Wioleta — szeptał szybko, nie mieli czasu. — Wioleta, posłuchaj mnie...

Ale ona go nie słuchała – słuchała kroków. Chwyliła ojca za rękę, nie pozwalając mu dokończyć. Tu są też inne dzieciaki, pomyślał Horowitz. Chciał zaprotestować, nawet wbrew sobie, ale zobaczył wzrok córki i już nie umiał, po prostu. Byleby nie myśleć, byleby nie myśleć, powtarzał. Niech ciało, dusza, decyduje sama. Potępienie albo zbawienie, bez myśli, za wszystkie grzechy i słabości, i za słabą walkę z nimi, przez drgnienie serca. Niech dusza decyduje sama.

— Chodź, tato, trzeba iść — powiedziała gorączkowo. — Tak nie pomożemy nikomu.

Pociągnęła go za rękę, a on, wciąż otumaniony, poddał się temu ruchowi. Zaczęli zbiegać po schodach.

Po kolejnym dudniącym kroku opanował się, otrząsnął. To jeszcze nie koniec, skłął się w duchu. Może i powinien nie myśleć, Horowitz, ale nie bądź głupi. Weź się, człowieku, w garść. Ścisnął dłoń Wiolety, zatrzymał ją. Popatrzyła zdumiona. Nie tędy, pokiwał przecząco głową. Słyszeli nas, oni też skierują się do tylnego wyjścia. Zapytała gestem, co dalej. Jerzy Horowitz oddychał głęboko.

Nie pił często wódki z kolegami, bo miał ich niewielu, a jeśli już pił, najczęściej w interesach, to upijał się rzadko; z nikim nie załatwiał aż takich biznesów, żeby musiał częściej. Ale kiedy już zapłonął mu ogień w głowie, a potem przygasał, kiedy drętwiały wargi i rozwarstwiały się wzrok, Horowitz obnażał się wtedy jak cebula, warstwa po warstwie, bez wstydu, to już najczęściej był ten stan, kiedy odchodzi wstyd, do nagiej kości, żywego mięsa, do sedna człowieka. Niektórzy, równie pijani, ale nieszczęśliwi, pytali go wtedy w końcu – jakby chcieli poznać największy z sekretów życia, z ukrytego w cudzych sercach skarbcu świata wydrzeć największą z tajemnic, receptę na szczęście – o najlepszy dzień jego życia. Najszczęśliwszy. Czy ma taki? I kiedy to było – czy kiedy zdał maturę, pierwszy raz wyjechał nad morze, całował się z dziewczyną, pierwszy raz się z którąś przespał? Horowitz, patrząc leniwie na odpływające myśli, nie zastanawiał się wtedy ani chwili, zawsze udzielał takiej samej odpowiedzi, czasem może tylko bardziej, a czasem mniej bełkotliwie, nie udawał, nawet przed samym sobą, i nigdy nie kłamał. To było wtedy, kiedy urodziło mi się dziecko. Wioleta? Tak, Wioleta. A, przyznaj szczerze, no wiesz, jak ojciec... To nic nie zmienia, jasne, ale... Nigdy nie chciałeś, żeby to był syn? Horowitz wtedy uśmiechał się tajemniczo, jakby spodziewał się właśnie tego pytania, uśmiechał się do swoich myśli, teraz nagle klarownych, jasnych jak nigdy na trzeźwo, i nie odpowiadał. Nalewał tylko

wódki do kieliszków, przepijał, swobodnie zmieniał temat. Wiedział, jaki był jego najszcześniejszy dzień w życiu.

— Chodź — szepnął Wiolecie prosto do ucha. — Wyjdziemy przodem. Tam się nas nie spodziewają.

Kiwnęła głową. Przeskoczyli korytarz, zmienili drogę, zaczęli kluczyć po przejściach. Horowitz próbował nie patrzeć na ściany i te drzwi do klas, które wciąż były pozamykane na głucho. Zastanawiał się, ile osób może się tam jeszcze ukrywać. Czy, myślał, gdybyśmy ich teraz wypuścili, zawołali do siebie, na korytarz, żeby uciekali z nami, przynieśliśmy im ocalenie czy zgubę?

Zeszli na parter. Śnieg za oknami wirował, układał się w dziwne kształty. Horowitz przystanął, spróbował ogarnąć spojrzeniem ten fragment skręcającego pod kątem prostym korytarza, który mógł dostrzec. Do drzwi wyjściowych pozostawało im kilkanaście metrów – przed opustoszałym sklepikiem rozciągał się szerszy plac lastryko, na którym teraz walały się przewracane plecione krzeselka i okrągłe plastikowe stoły. Lewe przedramię miał całe mokre. Popatrzył. Zdziwił się. Krew. Sprawdził, na szczęście jego. Wzruszył ramionami. Popatrzył na córkę. Szeptła coś samymi wargami, pospiesznie, gorączkowo. Cała drżała. Wioleta... Coś go ścisnęło za gardło. Nie wyjdę, nie wyjdę stąd żywy, zdał sobie nagle sprawę. To poszło za łatwo, tak trudno, tak cholernie trudno, ale przecież za łatwo. Ech... Szkoda. Pomyślał o córce, o życiu, o Beacie, którą ciągle kochał, o niej myślał nieustannie, o tym, co nie byłoby już nigdy takie samo, gdyby udało im się jednak wyjść, i o tym, jak by wyjechali, nie do Anglii, no jasne, nie, to by było zbyt cukierkowe, ale gdzieś indziej, daleko od Wrocławia, i może nawet Wioleta zostałaby z nim ten rok, choć jeden rok jeszcze, tyle by wystarczyło (nie, nie wystarczyłoby, wiesz o tym; ale to nieważne, ważne, że by została), może nawet Beata przyjechałaby do nich, sama albo z nowym mężem, już lepszym, miała rację, i wszystko by się ułożyło, wszystko by było tak, jak trzeba, wbrew światu, wbrew

wszystkiemu, choć nic już nie może być takie, jak było. Ech, Boże, stary Apaczu. Żal. Wielki, niewypowiadalny, chwytający za gardło, przepelniający do głębi, większy niż wszechświat.

Cokolwiek by... cokolwiek by nam się stało, Wioleta, strasznie cię Kocham, moja królewno, pomyślał, ale nie odważył się tego wypowiedzieć, choć chciał, pragnął tego teraz najbardziej na świecie.

— Chodź, królewno — wyszeptał, pół uderzenia serca po tym, jak zatrzymali się u podnóża schodów, i pobiegli znów, do drzwi, już nie oglądając się za siebie.

Jeszcze przystanął przy wyjściu, ścisnął mocniej jej dłoń, gorącą, spoconą, zamknął oczy. Ale weź tylko mnie, powtórzył w duchu, obiecaj mi, proszę, błagam, za całe to kurewskie życie. Weź tylko mnie. I wtedy usłyszał, co szeptała jego córka. Gorące „Teraz...” owiało mu policzek, rozlało się po ciele, coś zamgliło mu wzrok, jakby przechodziła przez niego jasna, gęsta fala. Poczował się tak, jakby usłyszał coś więcej niż prosty szept, jakby na twarzy pękły mu cienkie niteczki babiego lata, pajęczyna wirująca w świeżym powietrzu, podświetlana złoto przez jesienne słońce. I nagle zwątpił, stracił pewność, nie wiedział już, jak to wszystko się skończy, jakby los mógł się jeszcze odwrócić; w środku, w piersi, zakiełkowało mu niewielkie światełko, które bał się nazwać, o którym bał się myśleć, ponieważ przerażało najbardziej, wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby się już pogodził. „Teraz” płonęło żarem na skórze. No, Horowitz!

Teraz.

Zrobił głęboki oddech i pchnął mocno drzwi. Wybiegli na dziedziniec przed szkołą, schyleni, byle szybciej, byle do pobielanych murów, byleby nie zagubić się w mokrym śniegu i śmierci.

I wtedy, po kilku krokach, wokół wybuchła dzika strzelanina, okna posypały się z brzękiem, ktoś coś krzyczał, ale tego już nie słyszał, już nie, coś musnęło mu bark, bardzo delikatnie, podcięło nogi, i potem jeszcze raz, ale ustał, córka płakała i ciągnęła go dalej, widział jej twarz, więc biegł,

szedł, potem znowu biegł, póki mógł, tak jak przez całe życie. Tylko mnie, szeptał jeszcze gorączkowo, choć już tego nie słyszał, nie było już nic, zostały tylko najprostsze słowa, te najprawdziwsze, pamiętaj, proszę, kurwa mać. I biegł.

Tylko mnie.

Rafał odetchnął zimnym, wilgotnym wiatrem, ostatni raz, odpiął kaburę i wyciągnął z niej przepisowy P-64.

Ruszył, odprowadzany zdumionymi spojrzeniami przełożonych, na chwilę przed tym, zanim na podwórku szkoły, tym razem czysto i wyraźnie, znów wybuchły strzały.

EPILOG

godzina 23.46

Wielka, wielka cisza.

Byłem tam, już później, już po wszystkim, kiedy odjechały radiowozy i karetki, kiedy uprzątnięto szkło i zabrano ciała. Jeszcze przed wami, jeszcze zanim zaczęto palić tam znicze. Nie, nie odważyłem się wejść dalej. Nie z powodu taśm policji, ale – nie odważyłem się. Kto tam był, ten wie dlaczego. Morze krwi, ocean strachu, wszechświat śmierci. Wielka, wielka cisza.

A potem widziałem was, i wy widzieliście być może mnie. I te nalane mordy w telewizji, te grobowe głosy, i ciche, zrozpaczone twarze, złapane przez kamerę w czasie największej trwogi, największego osamotnienia, obnażone bezlitośnie, z każdym szczegółem. Już widzę te zdjęcia, jutro w „Fakcie” i „Super Expressie”, historię tej nauczycielki, o której trąbiły dziś wszystkie wiadomości, tej, co wyszła ze szkoły, a zastępstwo za nią wzięła ta druga dziewczyna, ta, która tam zginęła, która uratowała tego dzieciaka, przykrywając go, jak na filmach, własnym ciałem. Widziałem w telewizji

twarz jej męża, tak jak widzieliście ją też wy wszyscy. Młody facet, chłopak jeszcze. Musiał ją bardzo, naprawdę bardzo kochać.

Razem z nią zginęło trzydziestu dwóch uczniów, wśród nich moja Lidia, śliczna Lidia, o Boże, wybacz mi, bo ludzie już nie potrafią, dziewiętnastu zostało rannych, ośmiu dalej pozostaje na OIOM-ie. Zginęło jeszcze troje nauczycieli, znalezionych w klasach, złapanych na korytarzu, ze zdziwionymi minami, jednego dobito już na podwórku, po tym jak wyskoczył z okna. Myślę o nich i o tym facecie, który przedostał się na teren szkoły, który wyciągnął stamtąd swoją córkę i teraz walczy o życie w wojskowej klinice we Wrocławiu, który dostał sześć postrzałów, przynajmniej trzy śmiertelne, i który dalej walczy o życie, lekarze nie dają mu od południa żadnych szans, a on dalej walczy, nie potrafię tego pojąć, nikt nie potrafi, wczepił się w to życie jak pająk we włosy, jak jakiś kleszcz, a w telewizji potrafią tylko mieszać z błotem służbę zdrowia i pokazywać plastikowe, pokryte pajęczynami kwiatki na jego stoliku, potrafią tylko pokazywać jego córkę, na dalekim planie, z zamazaną twarzą, posiniaczoną, która trzymała go za rękę w karetce do samego szpitala. Przerwała tylko na czas operacji, a potem, kiedy próbowano ją wyprosić z jego sali, zaczęła dziko wyć i się szarpać, jakby miała padaczkę, jak zwierzę, trzech pielęgniarzy nie mogło jej dać rady, jednemu wybiła ząb, złamano jej w ręce dwie igły, zanim wreszcie dali spokój. Zanim pozwolono jej zostać. Pokazywali też rodzinę tego policjanta, tego, który wszedł do szkoły, pociągnął za sobą resztę z kordonu, który zabił jednego z napastników jeszcze na podwórku, strzelając po oknach, pewnie uratował im życie, kiedy wychodzili, a potem przetrząsnął budynek, klasę po klasie, piętro po piętrze, aż wreszcie znalazł trzeciego, który go postrzelił, ale była to już jego ostatnia ofiara. Myślę o nich i nie potrafię przestać. Twarze rodziny tego chłopaka widziałem w telewizji, nie odpuszczą nikomu, wiem, też kiedyś tam pracowałem, dawno temu. Matka i rodzeństwo nie umieli powstrzymać płaczu przed kamerami, nie przestali ich filmować nawet na chwilę, tylko ojciec milczał, taki zacięty,

płakał, ale milczał, Boże, to była straszna twarz, jak on musiał być z tego swojego syna dumny, wściekły na niego i na świat, zraniony w samo serce, i tak potężnie dumny.

Minister już zapowiadał w tej sprawie dochodzenie, kim byli zabójcy, dlaczego tak długo nie udaje się ustalić ich tożsamości i przede wszystkim czemu policjant wszedł do szkoły sam, jak znalazł się tam ten ojciec i czemu cała akcja zaczęła się tak późno, gdzie przez cały czas podziwiali się antyterrorysty. Co było do przewidzenia. Ale telewizja już dziś, a gazety jutro zrobią z chłopaka bohatera, ci na górze będą musieli poszukać innego kozła ofiarnego. A ja myślę o tym wszystkim, nie potrafię przestać, nie mogę się uwolnić, ten post miał mi pomóc wyrzucić to z siebie, ale nie pomoże, już wiem, nie potrafię jednak przestać. Więc piszę.

I myślę o wszystkich, którzy będą żyć tą hekatombą przez tydzień, przerażeni makabrą, zafascynowani śmiercią, a potem zapomną, zostaną tylko rodzice i opuszczeni kochankowie, myślę o wszystkich, którzy będą próbowali zrobić na ten temat najpierw reportaż, potem film dokumentalny, wreszcie pełnometrażową fabułę i książkę sensacyjną. Którzy będą mówili, jak bardzo w swoich filmach, w swoich książkach, próbują zrozumieć to, co się stało, ale będą kłamali, bo co tu można zrozumieć? Jak to ogarnąć, jak opowiedzieć o śmierci? Nie można, nie da się, można tylko milczeć, tylko milczeć. Nie można nawet opowiedzieć ich życia, życia tak banalnego i tak wyjątkowego, życia dziś przerwanego, dziś skończonego, już na zawsze niedopowiedzianego. Życiorysów rozrzuconych jak fragmenty rozbitego witraża, kiedyś pod światło opowiadającego tyle historii, mieniącego się szczegółami – dziś roztrzaskanego w niepasujące do siebie odłamki, zgaszonego w cieniu. Wszystko to banał, banał, zgroza, wielki bezrozumny ryk, niecichnący skowyt. Morze krwi, ocean strachu, wszechświat śmierci. Wielka, wielka cisza.

O Boże, i ty, Lidio, przebacz mi, skoro ludzie już nie potrafią.

Horror.

wpis Adama Braksatora na Stronie Ofiar Tragedii ze Strzeszowic, na drugi dzień po umieszczeniu skasowany na mocy decyzji administratora forum

